

**In vitro: państwa sprawa ■ Abp Wojda musi odejść ■ Po co nam Boże Ciało
Byłam pod Charkowem ■ Nasz 4 czerwca ■ Thermomix od kuchni ■ Złote Cannes**

Kraków 29 maja – 4 czerwca 2024 nr 22 (3908) cena 13 zł (w tym 8% VAT)

TYGODNIK POWSZECHNY

Katolickie pismo społeczno-kulturalne
TygodnikPowszechny.pl

Roman Giertych: wytrych do polskiej polityki

ISSN 0041-4808 NR INDEKSU 379 425



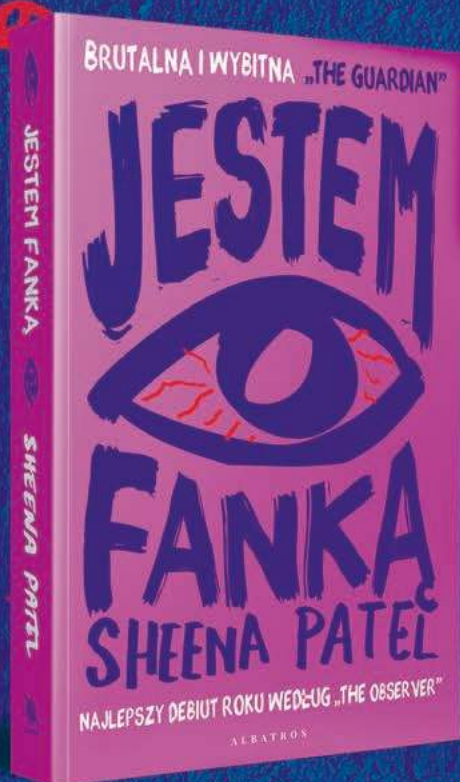
9 770041 480406

Stalkuję w internecie kobietę,
która sypia z tym samym mężczyzną, co ja.

KSIĄŻKA BĘDĄCA GŁOSEM FURII.

DEBIUT ROKU WEDŁUG „OBSERVERA”
KSIĄŻKA NOMINOWANA M.IN.
DO NAGRODY IM. DYLANA THOMASA
ORAZ WOMEN’S PRIZE FOR FICTION

ZDUMIEWAJĄCA, UZALEŻNIAJĄCA I ORYGINALNA
– NIESAMOWICIE INTELIGENTNA
POWIEŚĆ O OBSESJ I UPRIZYWILEJOWANIU.



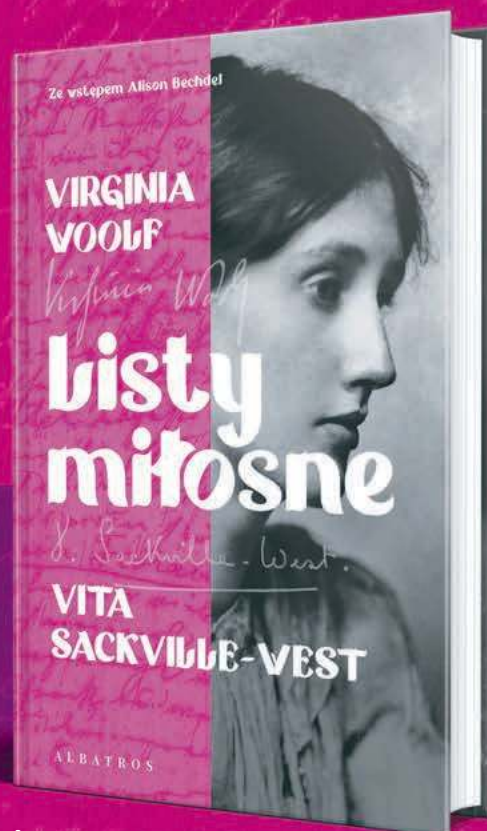
Więcej niż listy miłosne: przepysznie zmysłowa rozmowa VIRGINII WOOLF i VITY SACKVILLE-WEST.

Prawdziwy rarytas dla miłośników
literatury i epistolografii miłosnej.

Doskonale uzupełnienie portretu intelektualistki,
literatki i ikony feminizmu, Virginii Woolf.

Gdyby Virginia i Vita miały smartfony, to zamiast tych wspaniałych śladów
na papierze przelatywałyby nam przez palce strumienie erotycznych
wiadomości z gierkami słownymi, niezrozumiałe emotikony, tweety z linkami
do recenzji w magazynie literackim „TLS” oraz niezliczone fotki owczarków
alzackich i spanieli. Ale na szczęście dla nas pisały, pisały i pisały...

fragment wstępu Alison Bechdel



WYDAWNICTWO ALBATROS

Premiera: 05.06.2024

KS. ADAM

Boniecki: Obecność

W PROCESJACH BOŻEGO CIAŁA BRAŁEM UDZIAŁ od młodości – i te procesje nakładają się teraz na siebie, mieszają. Także procesje prowadzone przez kard. Stefana Wyszyńskiego zlewają się w pamięci w jedną. Zawsze tłumy. Zdawało się, że cała Warszawa tam się gromadziła. I zawsze było oczekiwanie na to, co powie kardynał. Mówił przy ostatnim ołtarzu. Nie pamiętam, co mówił, ale pamiętam, że zawsze było to przemówienie ważne. Religijne i polityczne, pokojowe, a mobilizujące do trwania w oporze. Akcenty polityczne zawsze były wychwytywane, okłaskiwane. W moich wspomnieniach procesja zawsze odbywała się na Krakowskim Przedmieściu, choć pewnie jeszcze gdzieś skręcała, gdzieś szła, nie pamiętam. Na pewno ostatni ołtarz, ten, przy którym kardynał przemawiał, był w okolicach ruchomych schodów, nie wiem dokładnie gdzie, byłem za daleko. Mógłbym to oczywiście sprawdzić, ale po co. Chodzi mi o ten tłum, o oczekiwanie na słowa kardynała. I oczywiście o sposób mówienia.

Potem Kraków i procesje Bożego Ciała prowadzone przez kard. Franciszka Macharskiego. Tłumy, chyba nie aż takie jak w Warszawie. Kardynał mówił krótko, ale przy każdym z czterech ołtarzy. Procesja nie wchodziła wtedy na Rynek Główny. Taka była niegdyś decyzja kard. Adama Sapiehy i potem władze się na nią z reguły powoływały, nie dając pozwolenia na Rynek. Procesje warszawska i krakowska były, jak sądzę, manifestacjami protestu przeciw systemowi. Były manifestacjami obecności.

W pamięć szczególnie zapadła mi jednak inna procesja: w Rwandzie. To było niebawem po zakończeniu tamtej strasznej wojny. Była bieda. Parafia miała jakieś środki na żywienie dzieci, codziennie w szkole wydawano ciepły posiłek. Pamiętam system wpuszczania dzieci grupami. Tłumy dzieciaków czekających, wchodzących na dziedziniec szkolny, wychodzących; pamiętam dorosłych – rodziców? – pilnujących porządku. I Boże Ciało w tej właśnie miejscowości. Nie było



w tym dniu lekcji, była msza św. (chyba przed kościołem) i procesja. Szliśmy wśród pól, przez zagajniki, ze śpiewem, muzyką, różnymi przedmiotami kultu. Tłum ludzi ze śpiewem, modlitwami. Wiem, że niedawna wojna dotknęła bardzo wielu z nich. Wiem, że zmieniono system osiedlania się: zniknęły samotne chaty stawiane w pobliżu pola. Teraz wszyscy mieszkali w skupiskach. O co się na tej procesji modlili, nie wiem. Byli ostrożni w mówieniu o powojennej sytuacji. Jeszcze trwały aresztowania, jeszcze był lęk przed donosicielami.

Ta trwająca wiele godzin procesja była im chyba potrzebna, inaczej by nie przyszli. Robiłem zdjęcia, wiele zdjęć, wiedziałem, że takiej procesji nigdy już nie zobaczę.

Czytam: „Boże Ciało, czyli uroczystość Najświętszego Ciała i Krwi Chrystusa, zostało ustanowione po widzeniach bł. Julianny z Cornillon, augustianki. W 1245 r. miała ona wizję, podczas których zobaczyła jasną tarczę księżycą z ciemną plamą. Zinterpretowano ten fakt jako brak należytego święta, które byłoby uczczeniem Ciała i Krwi Pańskiej...” (za pl.aleteia.org). Ostatecznie ustanowienie święta dla całego Kościoła potwierdził Jan XXII w 1317 r. Było ono traktowane m.in. jako zadośćuczynienie za niewiarę w prawdziwą obecność Chrystusa w Eucharystii, za znieważanie Najświętszego Sakramentu, za błędy heretyków.

A w tym numerze „Tygodnika” katolicko-luterańska debata o sposobie rozumienia Eucharystii – sakramentu Ciała i Krwi Chrystusa. To pytania, które padają nie tylko przeciw w piśmie, ale też w życiu. Różnimy się sposobem rozumienia „prawdziwej obecności”, ale na szczęście już nie rzucamy w siebie kamieniami. Świadomie niedopowiedziane argumenty, ostrożność w formułowaniu przekonań nasuwają mi myśl, że Bóg jakoś sobie z tym radzi. Niech każdy będzie wierny swojej wierze, interpretacji, rozumieniu. Przecież każda z tych interpretacji wymaga wiary. Nie mówię, że jej treść jest obojętna – mówię, że Bóg jakoś z tym sobie radzi. Jak? Zobaczymy tam, po drugiej stronie. Tymczasem... ©®

ZAPRASZAMY NA SPOTKANIE „Historie ludowe – stan krytyczny”

Historie ludowe zajmują dziś nie tylko historiografię, ale wybrzmiewają także w rozmaitych opowieściach literackich. Ich popularność tyleż otwiera, co problematyzuje dominujące sposoby upamiętniania przeszłości. Jakie są konsekwencje tej rosnącej tendencji? Czyje głosy ją tworzą, a kto wciąż pozostaje niesłyszalny w rewizjach chłopskiej tożsamości?

Pracownia Pytań Krytycznych Wydziału Polonistyki UJ zaprasza na spotkanie, którego punktem wyjścia będą przykłady zainteresowania ludowymi historiami i ich rewizjami. W dyskusji o ludowości w polskiej humanistyce i literaturze udział wezmą: Jerzy Franczak, Barbara Klich-Kluczeńska, Dorota Kozicka i Michał Okoński. Rozmowę poprowadzą Bartosz Piech i Katarzyna Trzeciak.

3 czerwca, godzina 18.30

Wydział Polonistyki Uniwersytetu Jagiellońskiego,
ul. Gołębia 16, sala 42

ORGANIZATORZY:

PRACOWNIA
PYTAŃ
KRYTYCZNYCH

TYGODNIK
POWSZECHNY



OGŁOSZENIE WŁASNE WYDAWCY

TEMAT
Z OKŁADKI**20 Giertych: wytrych do polskiej polityki**

PIOTR ŚMIŁOWICZ
Był pionierem psucia jej standardów, stał się ofiarą jej brutalności, a w końcu dowiódł, że ludziom od brudnej roboty powrotu na szczyt nie zamykają nawet biograficzne obciążenia. Dziś triumfuje, prezentując „skruszonego” świadka przestępstw PiS.

**56 Nam się udało**

ROZMOWA Z PROF. ANDRZEM PACZKOWSKIM, HISTORYKIEM:
W 1988 i 1989 r. władze PRL prowadziły politykę dwutorową. Podejmowały rozmowy z Solidarnością, a równocześnie potajemnie przygotowywały powtórkę stanu wojennego.

**64 Starość to puste miejsce**

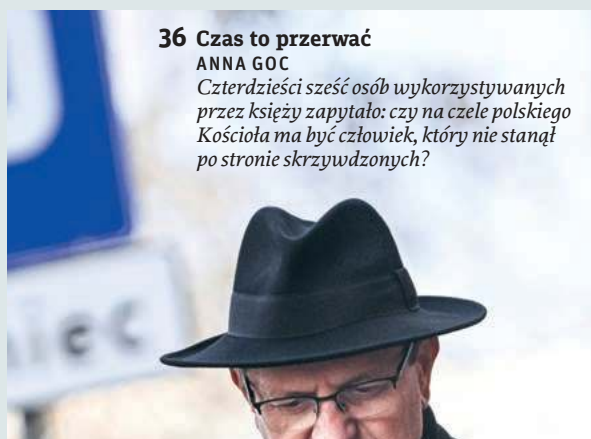
ROZMOWA Z DIDIEREM ERIBONEM, FILOZOFEM I SOCJOLOGIEM:

Matka dzwoniła do mnie nocami i nagrywała długie wiadomości – lament samotnej i nieszczęśliwej kobiety. Wyobraziłem sobie, że w tym samym momencie dziesiątki, setki tysięcy starych kobiet i mężczyzn dzwoni do swoich dzieci i mówi to samo.

**46 Szkło wymyślono w czasach pokoju**

ANTONINA PALARCZYK Z UKRAINY

Na ulicach Wołczańska trwa regularna walka. Ludzie opuszczają miasto pieszo. Z drogi na południe zabiera ich wojsko albo policja. Dotarła tam też nasza dziennikarka.

**36 Czas to przerwać**

ANNA GOC

Czterdzieści sześć osób wykorzystywanych przez księży zapytało: czy na czele polskiego Kościoła ma być człowiek, który nie stanął po stronie skrzywdzonych?

**78 Wszystkie odcienie Cannes**

MICHAŁ WALKIEWICZ Z CANNES

W tym roku Złotą Palmę zdobył reprezentant Stanów Zjednoczonych. „Anora” w reż. Seana Bakera to opowieść o tancerce erotycznej, która bierze ślub z synem oligarchy. I zarazem kapitalna metafora paradoksów konstytuujących tożsamość festiwalu.

■ ■ OBRAZ TYGODNIA

6 Na unijnych granicach
MARCIN ŻYŁA**7-9 Komentarze****10-11 Informacje**

■ ■ CZYTANIA

18-19 MAŁGORZATA
KORDOWICZ,
O. WACŁAW OSZAJCA, PIOTR
SIKORA, KARD. GRZEGORZ RYŚ

■ ■ KRAJ

**20 Giertych: wytrych
do polskiej polityki**
PIOTR ŚMIŁOWICZ**25 Czekając na reaktor**
ROZMOWA Z MICHAŁEM
HETMAŃSKIM:
*W Polsce ery węgla i atomu
prawie się nie spotkają***29 Thermozagadka**
MAREK RABIJ: *Co ma
wspólnego robot kuchenny
ze statusem społecznym*

■ ■ WIARA

36 Czas to przerwać
ANNA GOC**40 Po co nam Boże Ciało**
PIOTR SIKORA, JERZY SOJKA,
TEOLODZY KATOLICKI
I EWANGELICKI,
*rozmawiają o sensie liturgii***43 Parafia po ludzku**
JACEK TARAN: *Wspólnota dla
świeckich czy dla księży?*

■ ■ ŚWIAT

**46 Szkło wymyślono
w czasach pokoju**
ANTONINA PALARCZYK
Z UKRAINY**49 W jednej lidze z Putinem**
MAREK MATUSIAK
*o nakazie aresztowania
Benjamina Netanjahu
„za zbrodnie wojenne”*

TEMAT TYGODNIKA

12 Cena cudu

MAŁGORZATA NOCŃ

„Boże, jaki on piękny”, powtarzała ze łzami Anna. W jednej chwili poczuła, że jej dziecko poczęte przy pomocy *in vitro* jest takim samym cudem jak każde inne.

Od 1 czerwca zapłodnienie pozaustrojowe jest refundowane przez państwo.



■ ■ FELIETONY ■

31 TOMASZ STAWISZYŃSKI**45** WOJCIECH BONOWICZ**76** OLGA DRENDĄ **77** PAWEŁ BRAVO**82** STANISŁAW MANCEWICZ**82** BARTOSZ MINKIEWICZGRAFIKA NA OKŁADCE:
MICHAŁ DYAKOWSKI DLA „TP”Redaktorka prowadząca:
EWELINA BURDA**50 Sekwana warta igrzysk**SZYMON ŁUCYK:
*Jak Francja odlicza dni
do sportowego święta***53 Ostatni świadkowie
wracają do Niemiec**ŁUKASZ GRAJEWSKI:
*Przymusowi robotnicy i mniej
znany rozdział III Rzeszy*

■ ■ HISTORIA

56 Nam się udałoROZMOWA Z PROF.
ANDRZEJEM PACZKOWSKIM

■ ■ NAUKA

60 Faj, ale ciekawe!ŁUKASZ JACH:
*Dlaczego ciekawą nas
obrzydlivości*

■ ■ KULTURA

64 Starość to puste miejsceROZMOWA Z DIDIEREM
ERIBONEM**68 Zdarzyło się jutro**MACIEJ MIŁKOWSKI:
*George Saunders nawet
w najbardziej ponurych
wizjach zostawia czytelnikom
furtkę nadziei***70 Wędrowni Wikinga**MONIKA OCHĘDOWSKA
*o komiksach Grzegorza
Rosińskiego i jego bohaterach***74 Komedie omyłek**ANITA PIOTROWSKA
*o filmie „Hit Man”
Richarda Linklatera***75 Powrót do Kostelca**LEKTOR
*o „Zwyczajnych żywotach”
Josefa Škvoreckého*

■ ■ ZMYŚŁY

78 Wszystkie odcienieCannes
MICHAŁ WALKIEWICZ
Z CANNES

TYGODNIKPOWSZECHNY.PL

➤ **Bunt przeciwko francuskim rządóm w Nowej Kaledonii***Dlaczego buntowników wspierają Azerbejdżan, Chiny i Rosja*
– tłumaczy **WOJCIECH JAGIELSKI**
TygodnikPowszechny.pl/stronaswiata➤ **Mocne dokumenty z historią w roli głównej***Filmy „Hollywoodgate” i „Ścieżka dźwiękowa zamachu stanu”*
– recenzuje Anita **PIOTROWSKA**
TygodnikPowszechny.pl/weekend**Wybierz swoją prenumeratę...
... na stronie 35**

f /TYGODNIKPOWSZECHNY ■ t /TYGODNIK ■ i /TYGODNIK ■ y YouTube /TYGODNIKPOWSZECHNY



NA UNIJNYCH GRANICACH

Od polskiej Włodawy po fińską Lappeenrantę zawracanie ludzi usiłujących nielegalnie przejść granicę staje się normą.

MARCIN ŻYŁA

POWYŻEJ:

Donald Tusk przy granicy z Białorusią. Ozierany Wielkie, 11 maja 2024 r.

DOBRA ZMIANA, DO KTÓREJ PO OBJĘCIU władzy przez koalicję KO–Trzecia Droga–Lewica doszło w polityce równościowej oraz tej dotyczącej praw kobiet i mniejszości, ominęła migrantów. Na granicy z Białorusią trwa praktyka zawracania ludzi usiłujących ją nielegalnie przekroczyć (tzw. pushbacki), a kilka dni przed wyborami do Parlamentu Europejskiego premier, nie pierwszy raz, ludzi nielegalnie przekraczających granicę opisuje jak masę – bezkształtne narzędzie, o którym można opowiadać językiem wojсковych.

W BIAŁYMSTOKU I WARSZAWIE Tusk mówił o ostrzeżeniach służb przed eskalacją kryzysu na polskiej granicy wschodniej. Organizacją przemytu ludzi ma zajmować się już bezpośrednio Rosja; rolę hubu przesiadkowego

przejęły Zjednoczone Emiraty Arabskie; obywateli głównie irackiego Kurdystanu zastępują Syryjczycy i Afgańczycy.

Co więcej, prowokacje z wykorzystaniem migrantów mogą dotyczyć całej, długiej na 2,5 tys. km granicy Unii z Rosją i Białorusią. Zmianę potwierdzają liczby: w trzecim tygodniu maja Straż Graniczna odnotowywała średnio ćwierć tysiąca prób nielegalnego przejścia przez granicę (przy czym za część trendu odpowiada cieplejsza pora roku, a w przeszłości za „usiłowanie przekroczenia” SG uważała samo zauważenie ludzi blisko granicy). W kwietniu na wschodniej granicy Niemiec zatrzymano 670 osób próbujących wjechać pomimo braku zgody na pobyt (w styczniu było ich tylko 30). Nie ma więc wątpliwości, że ruch migracyjny rośnie, choć niemiecka prasa zaznacza, że tylko połowa

zatrzymywanych ma wizy rosyjskie (według Tuska: ponad 90 proc.), a większość dociera tam trasą bałkańską, przez Słowację i Czechy lub Polskę.

TUSK ZAPOWIADA wyłożenie 10 mld zł na projekt budowy „bezpiecznej granicy wschodniej”, w tym „systemu fortyfikacji, a także takiego ukształtowania terenu, decyzji środowiskowych, które spowodują, że ta granica będzie nie do przejścia dla potencjalnego wroga”. Powiedział też, że „nie będzie to ładne i estetyczne”, i że cierpi z tego powodu.

W tym czasie Finlandia, Norwegia, państwa bałtyckie i Polska zdecydowały o tworzeniu „muru z dronów”, czyli stałego systemu monitoringu i szybkiego reagowania z powietrza. W parlamencie w Helsinkach trwa procedowanie ustawy pozwalającej strażnikom granicznym na cofanie migrantów na rosyjską stronę bez rozpatrywania ich wniosków azylowych (Finowie uważają, że jest to zgodne z konwencją o uchodźcach, która w pewnych okolicznościach dopuszcza taką procedurę). Nowe przepisy zakładają, że każdy, kto spróbuje przekroczyć granicę nielegalnie, „zostanie odesłany do Rosji, nawet jeśli Rosja nie zgodzi się go przyjąć”. Od Włodawy po Lappeenranta pushbacki stają się więc praktyką uznawaną za normę, a pytanie o zaminowanie granicy wschodniej (na które polski premier odpowiedział przecząco) padnie w przyszłości nie jeden raz.

WSPÓŁGRA TO ze zmianami na południowej granicy zewnętrznej Unii: aprobatą dla administracyjnych ograniczeń pomocy migrantom na Morzu Śródziemnym oraz cedowaniem odpowiedzialności za zatrzymywanie ludzi na państwa północnej Afryki. Przewodnicząca Komisji Europejskiej Ursula von der Leyen podróżuje z włoską premierem Giorgią Meloni podpisywać umowy z Egiptem. Strach przed korzystnym dla polityków, którzy sprzeciwiają się dalszej integracji, podziałem mandatów w nowym Parlamencie Europejskim doprowadził wśród liberałów do nieписа-

nej zgody: z konwencji mówienia językiem inkluzywnym można wyłączyć migrantów.

Polski premier mówi więc o operacjach Rosji: „Dostaliśmy potwierdzenie – i to jest niepokojący scenariusz – że presja na wschodnią granicę Polski to nie spontaniczna migracja ludzi” (jakby w czwartym roku kryzysu była to nowość). O unijnym pakcie migracyjnym: „Udało się nam uzyskać takie zapisy, które czynią pakt mniej groźnym niż na początku” („groźny” brzmi inaczej niż „niekorzystny”). A także o miejscach koncentracji „zorganizowanych grup migrantów” (to zbitka słów aluzyjnie prowadząca przeciwko zorganizowanym grupom przestępczym). Choć za państwo wrogie uznaje Rosję, to „białoruski lewarek” – niczym broń ręczna w rękach migrantów – staje się symbolem przedwyborczej narracji o granicy.

MIGRANCY – zróżnicowana przecież grupa – nie mają swojej reprezentacji, a lęk przed nimi wpisuje się w troskę o bezpieczeństwo, tak łatwą do nadużywania przez polityków. Robi to także Koalicja Obywatelska – przypomnijmy jej manipulacyjny spot wyborczy z września 2023 r., w którym obrazom młodych, czarnych mężczyzn w kapturach towarzyszyły komunikaty o domniemanym zagrożeniu oraz sugestie, że ówczesny rząd Zjednoczonej Prawicy wpuszcza do kraju ludzi niebezpiecznych. A także spot wcześniejszy, z lutego 2023 r., w którym grano na emocjach antymuzułmańskich.

Zamiast prowadzić skuteczną politykę deportacyjną, która objęłaby zapewne większość osób nielegalnie przekraczających granicę; zamiast rozliczyć praktyki Straży Granicznej z czasów rządu Zjednoczonej Prawicy (trudno za takie rozliczenie uznać symboliczne i niemające przecież wpływu na los ludzi odwołanie poprzedniej rzeczniczki Podlaskiego Oddziału SG), politycy używają głównie słów. Od Viktora Orbána w 2016 r. po Donalda Tuska i wielu innych polityków z unijnego mainstreamu w roku 2024 – używają ich jak broni. ©



Naprzód po trupach

WOJCIECH PIĘCIAK Z UKRAINY

GDYBY OLEG MIAŁ O COŚ PROSIĆ, PROSIŁBY O MASKE przeciwgazową. Nie, Oleg – porucznik w brygadzie, która broni Kupiańska, na granicy obwodów charkowskiego i ługańskiego – nie boi się ataku chemicznego. Chodzi o to, że odkąd są upały, na zerówce, pierwszej linii, nie sposób nic zjeść. Otwierasz rację, wiatr zawiewa i już zwracasz, co zjadłeś. To przez fetor. Nikt nie zabiera moskalskich trupów, rozkładają się na przedpolu. Jest ich mnóstwo, bo wróg pcha się w coraz to nowych „mięsnych szturmach”: szturm-grupy idą naprzód, oni je wybijają, ale po nich idą następne.

Tak zmasowanych ataków Oleg jeszcze nie widział, choć przeżył niemało: był na Zaporozu podczas kontrofensywy, był pod Awdijiwką. Tu są od miesiąca, a mają już spore straty – choć nieporównywalne do tych wroga. Gdy wzięli jeńca, rosyjski *rotmistrz* (dowódca kompanii) zarządził, że nie chce z nimi walczyć, ale nie ma wyboru, bo za jego ludzi idzie oddział zaporowy, który strzela do tych, co próbują uciekać. Czy to prawda, czy wersja jeńca, który liczy na lepsze traktowanie (oddział zaporowy brzmi lepiej niż przyznanie, że do północnej na wojnę skusił horrendalnie wysoki, jak na Rosję, żołd) – wróg pcha się, nie licząc się ze stratami.

Zresztą nie tylko pod Kupiańskiem: intensywne ataki trwają w Donbasie (na kierunku Pokrowsk i Kramatorsk) oraz pod Charkowem. Według strony ukraińskiej straty rosyjskie od początku inwazji właśnie przekroczyły pół miliona zabitych. Dane zapewne zawyżone, ale ukazują skalę. Wróg nasila też ataki na cywilne zaplecze (patrz również dział Świat). Najbardziej w Charkowie: 23 maja rakietami niszczą drukarnię książkową holdingu Factor-Druk, jedną z największych w Europie (7 zabitych); 25 maja bomby lotnicze palą market budowlano-ogrodniczy Epicentr (28 zabitych).

Rosja ma przewagę. Dlaczego więc Putin sygnalizuje gotowość do rozejmu? Bo to oferta zatruta.

Warunkiem rozmów miałyby być uznanie, iż to, co Rosja zdobyła, do niej należy. Ponadto Kreml może chcieć maskować swoje zamiary i namieszać po stronie zachodniej (może znajdują się tacy, którzy uznają, że skoro ma być rozejm, pomoc militarna nie jest aż tak pilna).

Tymczasem ktoś, kto w rejonie Charkowa odpowiada za zwiad, twierdzi, iż obecne ataki to wstęp do tego, co wkrótce się zacznie: że Rosja koncentruje od północy świeże i duże siły po swojej stronie granicy, a gdy koncentrację zakończy, ruszy naprawdę wielką ofensywą: na Charków i sąsiednie Sumy. ©P



Premier rezygnuje z walki

MAREK KĘSKRAWIEC

DONALD TUSK OŚWIADCZYŁ w wywiadzie dla TVP Info, że nie będzie kandydował w wyborach na prezydenta i że byłby zadowolony, gdyby do tego wyścigu ponownie stanął Rafał Trzaskowski. Zdaniem obecnego premiera władz stolicy pełniłby już misję w Pałacu, gdyby poprzednie wybory zorganizowano w pełni uczciwie, bez szkalowania Trzaskowskiego przy użyciu całej maszyny państwa.

Kategoryczne słowa Tuska uczyniają spekulacje, które od miesięcy pojawiały się w wielu artykułach, również tych pisanych przez cenionych komentatorów. Wygląda na to, że wszyscy się mylili, tworząc alternatywną rzeczywistość i zapominając, że już w 2010 r. Tusk oceniał funkcję prezydenta jako sprowadzającą się do pilnowania żyrandola. Gdyby na poważnie rozważał kandydowanie, raczej nie wybrałby obecnego momentu na rezygnację.

W opublikowanym przez IBRiS miesiąc temu rankingu zaufania do polityków obecny premier, uchodzący przez lata za człowieka, który mocno polaryzuje społeczeństwo i ma duży elektorat negatywny, niespodziewanie znalazł się na szczycie. Ufa mu 45 proc. Polek i Polaków, choć faktem pozostaje, że tych nieufnych jest aż 49 proc. Drugi w rankingu Andrzej Duda zdobył zaufanie na poziomie 44,5 proc.,

niechętni mu stanowią zaś 45,3 proc. Trzeci w kolejce Szymon Hołownia ma niemal bliźniacze wyniki jak obecny prezydent, a czwarty – Rafał Trzaskowski – tylko o punkt procentowy niższe, ale przy nieufności na poziomie 41,4 proc., czyli stosunkowo niedużej.

Widać wyraźnie, że Tusk jest od kilku miesięcy na fali wznoszącej i nawet jeśli efekt „wilczych oczu”, czyli prowadzonej przez PiS latami polityki oczerniania go, wciąż działa, to jednak da się z nim walczyć. A to, że właśnie teraz Tusk uczynia spekulacje, ma podwójne znaczenie.

Namaszczenie Trzaskowskiego nastąpiło jednak w momencie, w którym prezydent Warszawy mocno zaryzykował, co może być gorszą wiadomością dla KO. Rozporządzenie zabraniające eksponowania krzyży w urzędach stolicy raczej nie przysporzy mu nowych wyborców, wydaje się wręcz wizerunkowym błędem. Temat nie budził ostatnio kontrowersji i może być z nim tak, jak z reportażem TVN, piętnującym zaniechania ze strony Jana Pawła II. Pokazał on, że czym innym w Polsce jest krytyka Kościoła, a czym innym – papieża Polaka. Z symbolem krzyża może być tak samo. Biorąc pod uwagę, że PiS miało się szukać kandydata, szanse Hołowni jako człowieka środka znowu rosną. ©P

Rafał Trzaskowski i Donald Tusk podczas kampanii samorządowej.
Warszawa, 17 lutego 2024 r.



PAWEŁ SUPERNIAK / PAP



Trzeźwa stacja

KRZYSZTOF STORY

NA STACJI BENZYNOWEJ W TORUNIU NIE KUPICIE mocnego alkoholu – to jedyne takie miasto w Polsce. Naczelny Sąd Administracyjny uznał, że przełomowa uchwała rady miejskiej jest zgodna z prawem. Toruńska batalia o wódkę na stacjach trwała 7 lat. Radni próbowali zakazać sprzedaży dwoma uchwałami o różnych podstawach prawnych, obie zakwestionował Wojewódzki Sąd Administracyjny. Dopiero teraz NSA stwierdził, że pierwszy zakaz z 2017 r. nie jest „ani nadmiernie rygorystyczny, ani zbyt ogólny”.

To przełom, bo w ogólnokrajowych regulacjach, poza podniesieniem akcyzy, przez ostatnie dekady nie zmieniło się prawie nic. Nadal mamy niespotykaną w innych krajach dostępność alkoholu, ze stacjami benzynowymi pełniącymi rolę całodobowych sklepów monopolowych.

Toruń pokazał, że zmiany da się wprowadzać oddolnie, i przetarł szlaki dla innych samorządów, ponoszących dużą część kosztów walki z alkoholizmem.

Podobne zakazy obowiązują w Holandii, Belgii, Islandii czy Włoszech. Warto też pamiętać, że w wielu krajach większość stacji po prostu nie jest czynna całodobowo. Łatwa dostępność w Polsce odbija się w statystykach – w zeszłym roku wypiliśmy 9,37 litra czystego alkoholu na głowę. Choć to lekki spadek (zwłaszcza w segmencie mocnych trunków), jesteśmy w smutnej europejskiej czołówce. Także dlatego, że wódka i piwo są tanie. W 2022 r. za średnią pensję można było kupić 1889 butelek piwa. Oznacza to, że mimo kolejnej już podwyżki akcyzy, w ciągu roku dostępność ekonomiczna wzrosła o 91 butelek.

Według WHO na spożycie alkoholu i skalę wywołanych przez niego problemów wpływają głównie trzy aspekty: cena, fizyczna dostępność i możliwość reklamy. Polskie prawo wymaga zaostrzenia we wszystkich trzech. Ostatni sondaż zrealizowany dla „Dziennika Gazety Prawnej” i RMF FM pokazał, że zdecydowana większość Polaków popiera zakaz reklamy alkoholu. Jesteśmy mniej skłonni do ograniczeń, jeśli chodzi o sam zakaz sprzedaży alkoholu na stacjach: popiera go 43 proc. z nas (55 proc. jest przeciw). O ogólnokrajowym zakazie wspomniała niedawno ministra zdrowia Izabela Leszczyna, ale na razie samorządom pozostaje korzystać z przykładu Torunia. ©P

NA PUNKTY

MARSZAŁEK REFLEKSJI

„Byłem sceptykiem CPK ze względu na koszty społeczne projektu. Zmieniłem zdanie, bo dane są nieubłagane” – napisał na Twitterze Szymon Hołownia, deklarując, że przekona do Portu „partnerów w Koalicji”.

KONCERT ŻYCZEŃ

Na spotkaniu w Ministerstwie Sprawiedliwości, potajemnie nagrywanym przez Tomasza Mraza w marcu 2022 r., wiceminister Romanowski wraz z redemptorystą z fundacji o. Rydzyska zastanawiali się z kolei, jak przekonać zwierzchników do rezygnacji z pomysłu organizowania za pieniądze z Funduszu Sprawiedliwości koncertu Roksany Węgiel. Koncert się nie odbył.

KOMISJA BLUZGÓW

Nie byłoby chyba źle, gdyby Koalicja zmieniła zdanie w sprawie prac sejmowych komisji śledczych: kolejne przesłuchanie Jarosława Kaczyńskiego na temat wyborów kopertowych zakończyło się skandalem, a wcześniej obfitowało w inwektywy. „Rozmawialiśmy dziś z człowiekiem, który nie pełnił żadnej funkcji, ale podejmował decyzje. Działal jak ojciec chrzestny” – podsumował Dariusz Joński, który spieszy się z zakończeniem prac komisji przed wyborami do europarlamentu. ©



Rishi Sunak zagrał vabank

PATRYCJA BUKALSKA ZE SZKOCJI

BRYTYJSKI PREMIER OGŁOSIŁ NIEOCZEKIwanie, że wybory parlamentarne na Wyspach odbędą się już 4 lipca. Jego decyzja okazała się niespodzianką dla wszystkich, również dla członków rządu i posłów jego Partii Konserwatywnej. Wyborów spodziewano się jesienią (miały odbyć się nie później niż w styczniu 2025 r.). Notowania konserwatystów Sunaka (na zdj.) od dłuższego czasu spadają, a przewaga nad nimi opozycyjnej Partii Pracy wynosi dziś ponad 20 procent.

Skąd zatem pośpiech? Spekulacji jest sporo, np. że premier jest już sfrustrowany rosnącą opozycją wewnątrz partii albo że chce przegrać z jak najmniejszą stratą. Albo przeciwnie: że skoro na ogłoszenie terminu wyborów wybrał moment tuż po publikacji lepszych danych gospodarczych (w tym o spadku inflacji), liczy, iż polepszy to nastroje i że kolejne dobre dane pojawią się jeszcze w czasie kampanii. Zatem zaryzykował.

Poza jego kontrolą okazuje się jednak być zwłaszcza pogoda: premier przemawiał przed swoją siedzibą na Downing Street w strugach deszczu. Ten wizerunek – przemoczonego Rishiego Sunaka, który zapewnia, że ma plan, by Brytania rozkwi-

tła – stał się już symbolem zaczynającej się kampanii i zapewne nieuniknionej klęski konserwatystów.

W tych wyborach rozliczony będzie bowiem nie tylko Sunak, ale całe 14 lat rządów torysów. W tym czasie Brytyjczycy mieli aż pięciu premierów, przeszli przez brexit

i pandemię. Wzrosły ceny energii, koszty utrzymania, kolejki do lekarzy. Konserwatystom

mogą więc liczyć na zrozumienie wyborców. Według znanego eksperta prof. Johna Curtice’a szanse na utworzenie rządu przez Partię Pracy wynoszą aż 99 procent.

Choć zatem w polityce niczego nie można być pewnym, wydaje się niemal przesądzone, że latem na Downing Street wprowadzi się lider laburzystów sir Keir Starmer – nawet jeśli część wyborców poprze jego partię tylko dlatego, by pozbyć się torysów. Złudzeń wydają się nie mieć sami konserwatyści – wielu polityków tej partii rezygnuje z ponownego kandydowania.

„Teraz jest ten moment, aby Brytania wybrała swoją przyszłość” – mówił Sunak, stawiając czoło pogodzie. Może rzeczywiście wierzy, że ma szansę na utrzymanie przywództwa kraju. Niewielu jednak podziela tę wiarę. ©



HENRY NICHOLLS / AP / EAST NEWS



Synteza na miarę naszych możliwości

EDWARD AUGUSTYN

SYNOD – SZANSA CZY ZAGROŻenie”. Debatę pod takim tytułem zorganizowało w ubiegłym tygodniu łódzkie seminarium duchowne 35+. Jej uczestnicy są być może ostatnią grupą w polskim Kościele wierzącą w realne skutki Synodu – pozytywne lub nie. Takie przynajmniej odnoszę wrażenie po tygodniowych poszukiwaniach wyników konsultacji, jakie miały się odbyć w ostatnich

miesiącach w naszych diecezjach. Czy ktoś o nich słyszał?

Watykan prosił o nie w grudniu. Do 15 maja konferencje episkopatów miały przesłać do sekretariatu generalnego Synodu syntezę dyskusji, ze wskazaniem najważniejszych tematów na kolejną sesję obrad. Biuro prasowe Konferencji Episkopatu Polski potrzebowało trzech dni, by ustalić, że synteza z Polski też zosta-

ła wysłana. Kolejne dwa, by przyznać, że jej treść nie jest mu znana i że – być może – poznamy ją w tym tygodniu.

O wnioski z konsultacji zapewne nie było łatwo, bo w wielu diecezjach w ogóle ich nie przeprowadzono. W tych, które prośby papieża nie zlekceważyły, nad watykańskimi propozycjami dyskutowali często sami księża na dekanalnych zebraniach. Syntezę szyto

wiec w pośpiechu, na ostatnią chwilę i ze szczątkowych materiałów.

W oczekiwaniu na obiecany dokument możemy zapoznać się z syntezami z Francji, Belgii, Szwajcarii, Luksemburga, Niemiec, Austrii czy Australii, dostępnymi na stronach internetowych tamtejszych episkopatów. Wiele z nich proponuje, by postulowane przez Synod zmiany w Kościele (np. święcenia dla kobiet i żonatych mężczyzn) nie były „ani zakazane, ani obowiązkowe”. Nasi biskupi mogą więc spać spokojnie. Dla nich to przecież ani szansa, ani zagrożenie. ©

Birma: pogranicze znów w ogniu

CZYSTKI ETNICZNE ■ Na granicy Birmy i Bangladeszu znów mogło dojść do mordów i masowych wypędzeń tamtejszej rdzennej ludności Rohinga – twierdzą przedstawiciele niezależnego komitetu śledczego do spraw Birmy (IIMM), działającego przy Radzie Praw Człowieka ONZ. W ubiegłym tygodniu komitet opublikował raport zbierający liczne doniesienia z Arakanu (to zachodnia prowincja Birmy, granicząca z Bangladeszem), gdzie od jesieni 2023 r. znów trwają walki separatystów z siłami junty, która w lutym 2021 r. przejęła władzę nad krajem.

Partyzanci z Armii Arakanu, kontrolujący przeszło połowę powierzchni tego stanu, od kilkunastu dni nacierają na północny zachód, w stronę granicy z Bangladeszem, gdzie siły rządowe utrzymują się głównie w największych miastach. 18 maja separatyści zajęli Butchidaung. Kilka dni później zaatakowali miejscowość Maungdaw, na obrzeżach której znajduje się jedna z większych baz wojskowych w okolicy. Jeśli to miasto padnie, w rękach junty pozostanie już tylko stolica regionu, historyczne Sittwe. Separatystów atakuje lotnictwo sił rządowych, z doniesień wpływających do IIMM wynika jednak, że ataki z powietrza nie są precyzyjne i skutkują ofiarami wśród cywilów. 23 maja, podczas porannego bombardowania pozycji rebeliantów atakujących posterunek junty na obrzeżach Maungdaw, zginęła jedna osoba, a kilka innych odniosło rany.

Miejscowa ludność, którą w większości stanowią muzułmańscy Rohingowie, jest dla walczących stron elementem niepożądanym. Birmański reżim od dziesięcioleci odmawia jej praw obywatelskich, uznając Rohingów za potomków migrantów z terenów dzisiejszego Bangladeszu, sprowadzonych do Arakanu przez władze brytyjskie (w rzeczywistości muzułmanie zamieszkują te okolice co najmniej od średniowiecza). W 2017 r., pod pretekstem walki z partyzantką, rząd birmański przeprowadził w północno-zachodnim Arakanie czystki etniczne, które kosztowały życie co najmniej 25 tys. Rohingów, a setki tysięcy innych zmusił do ucieczki do Bangladeszu (do dziś w obozach w rejonie Kutupalong mieszkają ponad milion birmańskich Rohingów).

Arakańscy muzułmanie nie mogą liczyć na sympatię również ze strony Armii Arakanu – wbrew deklaracjom jej rzecznika U Khaing Thu Kha, który niedawno oświadczył, że Armia Arakanu reprezentuje „każdego, kto zamieszkuje Arakan, bez względu na pochodzenie”. Separatysty, wśród których dominują buddyści, walczą z siłami rządowymi, ale podobnie jak rząd kwestionują prawa Rohingów do zamieszkiwanych przez nich terenów. Z raportu IIMM wynika, że po zajęciu Butchidaungu rebelianci spalili osiedla zamieszkałe przez Rohingów i hindusów, a mieszkańców wypędzili z głąb kontrolowanego przez siebie terytorium.

© P MAREK RABIJ



Straż Graniczna Bangladeszu patroluje tereny przy granicy z Birmą.
8 lutego 2024 r.

Mniej księży, mniej praktykujących, więcej niewierzących

KOŚCIÓŁ ■ Maj to miesiąc święceń kapłańskich. Liczba wyświęconych w tym roku wskazuje, że w Polsce pogłębia się kryzys powołań. Księżmi zostało 235 diakonów – o 53 mniej niż rok temu. To spadek o ponad 18 proc., a w stosunku do 2013 r. aż o 41 proc. Wyświęcono 153 kapłanów diecezjalnych i 82 zakonnych (w ubiegłym roku odpowiednio: 198 i 90). Najwięcej tradycyjnie w diecezji tarnowskiej – 14. Ale aż w dziesięciu diecezjach tylko po jednym, m.in. w archidiecezji poznańskiej, w targanej skandalami seksualnymi diecezji sosnowieckiej i w diecezji łowickiej, w której rok temu nie było kandydatów. W 2024 r. taka sytuacja (brak kandydatów do święceń) wystąpiła w archidiecezji warmińskiej i archidiecezji szczecińsko-kamieńskiej, której rządcą – abp Andrzej Dzięga – został w tym roku przez papieża odesłany na wcześniejszą emeryturę z powodu tuszowania przypadków przestępstw seksualnych księży wobec małoletnich. Święceń kapłańskich nie będzie także w prowadzonym przez Drogę Neokatechumenalną seminarium misyjnym „Redemptoris Mater” w Łodzi oraz w Ogólnopolskim Seminarium Duchownym dla Starszych Kandydatów do Święceń (tzw. seminarium 35+). Wśród zakonów najwięcej wyświęcono u paulinów (9), franciszkanów (9) i dominikanów (8).

„Jestem przekonany, że dla Ducha Świętego, który od dwóch tysięcy lat prowadzi Kościół, kryzysy są nie tyle dramatycznymi chwilami historii, ale okolicznościami, w których On odnawia swój Kościół” – uspokaja ks. Jan Frąckowiak, przewodniczący Konferencji Rektorów Wyższych Seminarium Duchownych Diecezjalnych i Zakonnych.

Problem w tym, że polscy biskupi nie mają pomysłu, jak ułatwić zadanie Duchowi Świętemu. Nie wykorzystują szansy, jaką daje trwający do października tego roku synod poświęcony synodalności (co pokazuje komentarz Edwarda Augustyna na str. 9). Nie podejmują też poważnych kroków do rozliczenia się z zaniedbań wobec przestępstw księży wykorzystujących seksualnie małoletnich (pisze o tym Anna Goc w artykule „Czas to przerwać” na str. 36). Z kolei głównym duszpasterskim pomysłem na ten rok jest przygotowanie do roku jubileuszowego 2025 oraz rozpoczęcie 9-letniej nowenny przed „2000-leciem dzieła odkupienia”.

W 2033 r. w Polsce to może być jednak już zupełnie inny Kościół. Jak ostatnio podał CBOS, odsetek praktykujących co niedzielę spadł z 50 proc. w 2009 r. do 34 proc. obecnie, a liczba niewierzących wzrosła z 8 proc. w 2019 r. do 14 proc. teraz.

© P ARTUR SPORNIĄK



Grzegorz Jankowicz i Olga Drenda z festiwalowym logo na schodach redakcji „TP”.

Olga Drenda dyrektorką kreatywną Festiwalu Conrada

ŻYCIE LITERACKIE ■ To już oficjalne: 1 czerwca krytyk i filozof literatury Grzegorz Jankowicz obejmie stanowisko dyrektora Instytutu Książki. Nowa instytucja – zgodnie

z zapowiedziami byłego ministra kultury Bartłomieja Sienkiewicza – powstaje w wyniku połączenia działających równolegle od kilku lat Instytutów Książki i Literatury. Zostając szefem placówki odpowiedzialnej za promocję polskiej twórczości w kraju i za granicą, Jankowicz rezygnuje z funkcji dyrektora programowego Festiwalu Conrada, oddając stery w ręce antropolożki, eseistki i felietonistki „Tygodnika”, Olgi Drendy.

To duża zmiana dla największego polskiego festiwalu literackiego, tym bardziej że

z funkcji dyrektora artystycznego ustępuje w tym roku – także związany z imprezą od początku jej istnienia – literaturoznawca, krytyk i eseista Michał Paweł Markowski (pozostając jeszcze przez rok przewodniczącym kapituły Nagrody Conrada).

Olga Drenda z pewnością wniesie do festiwalu świeży, osobny i wnikliwy namysł nad zjawiskami najnowszej kultury. Oraz taki sposób patrzenia na świat, który – jak świetnie wiedzą czytelniczki i czytelnicy jej książek – nie wyklucza żadnych, nawet najbanalniejszych, efemerycznych przejawów twórczości, dostrzegając w nich symptomy istotnych, powoli narastających wokół nas zjawisk i przemian.

Nad programem najbliższej, 16. już edycji krakowskiego Festiwalu nowa dyrektorka kreatywna pracować będzie z jego dotychczasową dyrektorką wykonawczą, Urszulą Chwalbą z Krakowskiego Biura Festiwalowego, oraz Michałem Sowińskim z „Tygodnika” jako redaktorem literackim. Impreza odbędzie się tradycyjnie pod koniec października. Podczas jej trwania po raz pierwszy przyznana zostanie nagroda dla najlepszego debiutu prozatorskiego. Pierwsze informacje o programie oraz gościach i gościach ogłosimy na łamach „Tygodnika” jeszcze przed wakacjami.

Organizatorami Festiwalu Conrada są niezmiennie: Miasto Kraków, KBF – operator programu Kraków Miasto Literatury UNESCO oraz Fundacja Tygodnika Powszechnego. © MONIKA OCHEŃDOWSKA

Setki sfalszowanych danych w badaniach nad rakiem

MEDYCYNĄ ■ Szacuje się, że rocznie ukazuje się 1,5 mln prac z zakresu nauk biomedycznych. Publikacje mają ściśle uregulowaną strukturę i powinny zawierać pewne stałe punkty. Jednym z nich jest szczegółowe omówienie metod przeprowadzonych badań, zbierania danych i analizy wyników. Taka standaryzacja, choć autorom nastrożona niezadko kłopotów, jest konieczna, by badania można było odtwarzać w identycznych warunkach oraz oceniać prawdziwość wniosków.

Tym zagadnieniem zajął się zespół pod kierunkiem Jennifer Byrne z Uniwersytetu w Sydney. Badacze zidentyfikowali 23 nieistniejące w dostępnych rejestrach linie komórkowe, które zostały wspomniane w setkach publikacji. Warto wspomnieć, że wykorzystywane w naukach podstawowych i badaniach przedklinicznych komórki również są standaryzowane, skatalogowane i mają swoje specyfikacje oraz określone funkcje. Spośród tych 23 linii Byrne i współpracownicy wybrali osiem, które pojawiły się łącznie w 420 pracach

naukowych z zakresu onkologii, opublikowanych od 2004 do 2023 r. Według autorów analizy w części z prac nieistniejące oznaczenia komórek były niezamierzonymi błędami – „literówkami”, jakie przy skomplikowanych nazwach, typu MGC-803 czy BGC-823, można popełnić. Jednak w ponad połowie ocenianych badań (235 prac) nieistniejące linie komórkowe opisywane były tak, jakby były prawdziwymi, osobnymi liniami. Przykładowo w tekście pojawiał się kod istniejącej i nieistniejącej linii komórkowej, a czasami wyniki uzyskane z obu linii były z sobą porównywane. Można mieć wątpliwości, czy takie badanie w ogóle zostało przeprowadzone.

Wśród ocenianych prac część została opublikowana w czasopiśmie z najwyższej naukowej półki, ze znaczącym współczynnikiem cytowania, takie prace były też brane pod uwagę w dużych przeglądach literatury, tzw. metaanalizach – to wszystko może sprawiać, że nasza wiedza o właściwościach niektórych testowanych substancji może być zafałszowana. Autorzy z zespołu Byrne wskazują, że konieczne jest uproszczenie nazw, otwarcie baz danych i katalogów z liniami komórkowymi, oraz apelują do pism naukowych o uważną ocenę nadsyłanych prac, by przypadkowe błędy i ewidentne oszustwa nie podburzały zaufania do nauki.

© BARTOSZ KABAŁA



CENA CUDU

„Boże, jaki on piękny”,
powtarzała ze łzami Anna.

W jednej chwili poczuła, że jej dziecko
poczęte przy pomocy *in vitro* jest takim
samym cudem, jak każde inne.

Od 1 czerwca zapłodnienie pozaustrojowe
jest refundowane przez państwo.

MAŁGORZATA NOCUŃ

PARY, KTÓRYCH DZIECI PRZYSZŁY W TEN SPOSÓB NA ŚWIAT, podkreślają: „Chcielibyśmy, by do wszystkich dotarło, jak długą i bolesną drogę przeszliśmy”. Dla wielu z nich niepłodność – i wykonywany w jej konsekwencji zabieg *in vitro* – to doświadczenie skrajnie trudne. Zanim przystąpili do zapłodnienia pozaustrojowego, przez kilka, a niekiedy kilkanaście lat starali się o poczęcie. Mieli za sobą kilka prób inseminacji (podczas zabiegu lekarz podaje nasienie bezpośrednio do jamy macicy) i kilka poronień. Byli na skraju fizycznego i emocjonalnego wyczerpania. *In vitro* stanowiło dla nich ostatnią deskę ratunku. Gdyby się nie powiodło, zostaliby bezdzietni.

Do gabinetu prof. Roberta Jacha, konsultanta wojewódzkiego w dziedzinie endokrynologii ginekologicznej i rozrodczości, trafiają pary bezskutecznie starające się o poczęcie. Profesor długo wylicza przyczyny niepłodności. Najczęściej przesądzą o niej zaburzenia owulacji (w większości przypadków spowodowane zachwianiem równowagi hormonalnej). U ok. 35 proc. kobiet diagnozuje się endometriozę (obecność błony śluzowej macicy poza jej jamą), na zdolność do poczęcia wpływają także radioterapia i chemioterapia. Męska płodność uzależniona jest od gospodarki hormonalnej i jakości nasienia. W przypadku ok. 25 proc. par nie udaje się wyjaśnić genezy niepłodności, mówi się wówczas o jej „idiopatycznym podłożu”.

Prof. Jach podkreśla, że według raportu opublikowanego w 2023 r. przez WHO ok. 17,5 proc. (czyli jedna na sześć osób) dorosłej populacji na całym świecie doświadcza niepłodności. W Polsce problem dotyka ponad dwóch milionów ludzi. Wspomniany raport definiuje niepłodność jako chorobę „demokratyczną”, odsetek cierpiących na nią par jest porównywalny ➔

→ w krajach o wysokich, średnich i niskich dochodach. Ponad połowie par, które prof. Jach obejmuje leczeniem, nie można pomóc w inny sposób, niż kierując je na zabieg inseminacji, a w późniejszej kolejności *in vitro*.

Projekt dziecko

Anna postanowiła, że zaraz po studiach wyjdzie za mąż i zostanie mamą. Podczas wizyty przedkonceptyjnej (służy odpowiedniemu przygotowaniu organizmu do ciąży) lekarz ginekolog spojrział na wyniki jej badań i powiedział: „Proszę działać, jest pani w pełni zdrowa i – co ważne – młoda”. Pomiędzy Anną i jej mężem było dużo czułości. Często się kochali, początkowo Anna nie zważała na dni płodne i niepłodne. Kiedy spóźniła się jej miesiączka, drżała z emocji. Biegła do łazienki i wykonywała tekst ciążowy. Po chwili płakała nad jednym różowym paskiem w jego okienku. Lekarz polecił parze zdrową dietę, wypoczynek i uprawianie seksu w jednej – sprzyjającej zapłodnieniu – pozycji.

– Po kilku miesiącach kochaliśmy się już bez przyjemności i jedynie w dni płodne – wspomina Anna. – Nie mogłam skoncentrować się na pracy, z niechęcią spotykałam się z przyjaciółmi. Z mężem byliśmy jak maszyny zaprogramowane do osiągnięcia jednego celu. Zaczęło to przypominać obsesję.

Anna przeszła kilka zabiegów inseminacji. W końcu, po dwóch latach bezskutecznych starań, parze polecono próbę zapłodnienia pozaustrojowego. Kobieta bała się związanej z nią procedury. Miała wrażenie, że jej marzenie o naturalnym zajściu w ciążę zamieniło się w projekt. – W klinice leczenia niepłodności musieliśmy wypełniać sterty dokumentów. Czułam się, jakbym zaciągała kredyt na mieszkanie, a nie przygotowywała się do roli matki – opowiada.

Najbardziej obawiała się samego zapłodnienia, które dokonuje się nie podczas aktu miłosnego, lecz w sterylnej sali kliniki. Kiedy jej mąż poszedł oddać nasienie, a ona czekała na punkcję (pobranie jajeczek z jajnika, zabiegu dokonuje się pod narkozą przy pomocy długiej, cienkiej igły), przemknęło jej przez głowę: „To nie tak miało wyglądać”. Czuła, że życie odebrało jej coś ważnego i pięknego. „Jestem wybrakowana, nie jestem pełnowartościową ko-

Ok. 17,5 proc. dorosłej
populacji świata
doświadcza niepłodności.
W Polsce problem
dotyka ponad dwóch
milionów ludzi.

bieta” – myślała. „Dlaczego trafiło na mnie?”. Kiedy wybudzała się z narkozy, embriolog sprawdzał, ile jajeczek udało się pobrać. Było ich sześć, powiodło się zapłodnienie trzech. Po dwóch dniach Anna odebrała telefon z laboratorium: „Mamy dwa zarodki. Ich komórki ładnie się dzielą”. Jeden z nich umieszczono w jej macicy.

Pierwszy trymestr ciąży znosiła źle. Czuła senność, miała nudności. Na przemian płakała i wpadała w euforię. W drugim trymestrze pojawiło się nadciśnienie tętnicze, opuchlizna, ciężkie myśli. Choć mąż był dla niej czuły, miała poczucie dojmującej samotności. Nie chciała rodzić naturalnie. Bała się, że ciało znów ją zawiedzie – jak mówi: „znów okaże się wybrakowane” – i że noworodek przyjdzie na świat niedotleniony. Wybłagała lekarza, by skierował ją na cięcie cesarskie.

– Kiedy położna położyła koło mojej głowy owiniętego w pieluszkę Jeremiego, wybuchnęłam płaczem. Był siny, pomarszczony, mokry, a ja powtarzałam: „Jest piękny, Boże, jest taki piękny”. W tej chwili poczułam, że dziecko z *in vitro* jest takim samym cudem, jak niemowlę poczęte naturalnie.

Gra światła

Barbara Baranowska przez wiele lat wykonywała zawód embriolożki, obecnie jest położną i wykładowczynią. „Embriolog to zawód techniczny. Owszem, jest to też rodzaj *sacrum*, bo obojętnie łączę plemnik i komórkę jajową” – mówi w książce Sylwii Szwed „Mundra”, wydanej nakładem Wydawnictwa Czarne.

Dodaje, że embriolożka powinna być obdarzona cierpliwością. Że musi umieć bez reszty koncentrować się na jednej wykonywanej czynności. I że jej dłonie cechuje niezwykła precyzja ruchów.

Ważne, by posiadała też coś, co można nazwać szóstym zmysłem.

Kiedy Baranowska otrzymywała od lekarza pobrany z jajnika kobiety płyn, wylewała go na specjalną szalkę i przystępowała do szukania komórki jajowej, czyli – jak wspomina – „takiej małej kuleczki”. Owa kuleczka jest „tak malutka, że przeciętni ludzie nie dostrzegają jej nawet pod mikroskopem, ale embriolog ją widzi”. Baranowska wspomina: „Patrzysz na przejrzysty płyn i jesteś pewna, gdzie ona jest. Jak znajdę komórkę, to wciążam ją szklaną pipetą, wszystko robię ustami”.

Po pozyskaniu komórki jajowej embriolożka ocenia jakość nasienia. By zapłodnienie się powiodło, plemniki muszą być żywotne. Samą chwilę zapłodnienia Baranowska określa jako „akt seksualny”. „Plemniki biegają, migają wokół komórki. To jest jak taniec, gra światła, przedstawienie. Człowiek by czegoś takiego nie wymyślił – opowiada. – Jak już dojdzie do zapłodnienia, pojawia się nasza zygotka, czyli kawałek twojego faceta i ciebie”.

Dzięki pracy embriolożki dokonuje się więc akt poczęcia, powstaje nowe życie: „Na każdym kroku postępuję z pełnym szacunkiem dla komórki jajowej i zarodka. Nie potrzebuję do tego żadnej ideologii – że to jest świętość, że Pan Bóg tu wpuścił duszę... Dla mnie to jest oczywisty fakt, że zygota jest życiem. W końcu jestem biologiem” – mówi Baranowska.

Swoją pracę wspomina jako emocjonalnie wymagającą. Rozmawiała z setkami par i wie, że przeprowadzaną w laboratorium próbę zapłodnienia *in vitro* poprzedza wiele miesięcy, a niekiedy lat ludzkich tragedii i niepowodzeń. Do tego dochodzą kwestie finansowe: nie każda para dysponuje ogromnymi środkami na leczenie niepłodności.

Od pierwszego czerwca 2024 r. zabieg będzie – po spełnieniu określonych warunków – finansowany z budżetu państwa. Ale jeszcze niedawno koszt każdej próby wynosił kilkadziesiąt tysięcy. Małżeństwa zaciągały kredyty, pożyczały pieniądze w parabankach, zastawiały rodzinne precjoza w lombardach. Czuły upływający czas i lękały się, że choć nie powiedli się za pierwszym ani za drugim i trzecim razem, to być może powiedzie się za czwartym.



JENS KALAENE / DPA / AFP / EAST NEWS

Zapłodnienie komórki jajowej za pomocą mikroskopu elektronowego w Centrum Płodności. Berlin, 17 stycznia 2024 r.

Na czym polegają procedury *in vitro*

ZAPŁODNIENIE *IN VITRO*

(pozaustrojowe) to nie tyle jedna procedura, ile raczej spory pakiet rozmaitych metod mających doprowadzić do rozwinięcia się ciąży u pary zmagającej się z niepłodnością.

W 1978 R. urodziło się pierwsze dziecko poczęte *in vitro* (Brytyjka Louise Brown), a dzisiejsze metody to rozmaite wariacje na temat tej zastosowanej prawie pół wieku temu. Istota jest jednak zawsze ta sama: pobieramy od matki komórkę jajową (lub ich większą liczbę), od ojca plemniki, a następnie doprowadzamy do ich połączenia się poza ustrojem matki (stąd nazwa). Gdy to się uda, embrion wszczepia się do macicy.

DZIŚ stosuje się rozmaite procedury zwiększające prawdopodobieństwo sukcesu. Szybko upowszechniła się na przykład kontrolowana hiperstymulacja jajników: przy pomocy odpowiednio dobranych hormonów próbuje się wywołać w organizmie kobiety uwolnienie więcej niż jednej komórki jajowej podczas owulacji. Choć znacząco podnosi to szanse na zapłodnienie, może prowadzić do niepożądanych skutków ubocznych, zwłaszcza tzw. zespołu hiperstymulacji jajników (OHSS). Jego postać łagodna jest powszechna, ale nawet u kilku procent kobiet występuje w postaci ostrej, wymagającej hospitalizacji.

PLEMNIKI I KOMÓRKI jajo- we inkubuje się ze sobą w kontrolowanych warunkach przez czas liczony w godzinach. Jeśli plemniki są mało ruchliwe, można ręcznie umieścić jeden z nich wewnątrz komórki jajowej (to tzw. procedura ICSI). Gdy dojdzie do zapłodnienia, zarodki utrzymuje się w hodowli pozaustrojowej jeszcze przez kilka dni. W tym okresie są pilnie obserwowane, a do implantacji wybiera się tylko te, które „najlepiej rokują”. Może też dojść do selekcji zarodków, np. pod kątem wad genetycznych.

CZAS TRWANIA hodowli i zakres tej selekcji są przedmiotem szczególnych kontrowersji, bo czy wolno wybierać embriony, kierując się nie tylko koniecznością medyczną, ale też preferowanymi cechami dziecka? Jeszcze większą bombą etyczną są istniejące już techniki edycji genetycznej, które mogłyby posłużyć do aktywnego „wykasowania” chorób genetycznych, a także wprowadzenia praktycznie dowolnych zmian w genomie dziecka.

© ŁUKASZ ŁAMŻA

a podczas *in vitro* człowiek jedynie „pomaga” naturze. W warunkach laboratoryjnych odbywa się ten sam proces, który zachodzi w ciele kobiety (podczas prób naturalnego zajścia w ciążę także dochodzi do poronień). Dla pozostałych *in vitro* to niebezpieczny eksperyment, igranie z naturą, zabawa w Pana Boga. Kościół katolicki mówi o naruszeniu godności dzieci i rodziców, krytykuje także selekcję i niszczenie zbędnych embrionów (podkreśla jednak, że dzieci z *in vitro* zasługują na miłość i szacunek tak samo jak poczęte naturalnie).

Barbara Baranowska komentuje ten problem następująco: „Testart [francuski embriolog – przyp. red.] odkrył, że gdzieś przegięliśmy. Ta przejrzysta komórka jajowa po to jest w brzuchu, byśmy jej nie oglądali. Są pewne zjawiska, które powinny zostać tajemnicą. Najbardziej niesamowite jest to, że już w 1986 r. przestał się tym zajmować, bo bał się, że zaczniemy robić rzeczy, których nie powinniśmy – np. hybrydy pomiędzy zwierzęciem i człowiekiem. Albo że tę świętą komórkę, która normalnie od razu trafia do macicy, będziemy trzymać tydzień w lodówce. I właśnie teraz tak robimy, bo technologia idzie naprzód w powalającym tempie”.

W latach 2020-21 w Polsce dzięki wykorzystaniu metody *in vitro* na świat przyszło 2,5 proc. noworodków. To jeden z najniższych wskaźników w Europie (niższy mają: Malta – 1,3 proc. i Litwa – 0,9 proc.). Dla porównania np. w Austrii dzięki zapłodnieniu pozaustrojowemu rodzi się 6,1 proc. dzieci. Z szacunków Polskiego Towarzystwa Medycyny Rozrodu i Embriologii wynika, że dzięki finansowaniu procedury zapłodnienia pozaustrojowego przyrost naturalny w naszym kraju się zwiększy: urodzi się nawet 15 tys. dzieci, czyli o połowę więcej niż obecnie.

In vitro nie rozwiązuje wszystkich problemów związanych z niepłodnością. Skuteczność tej metody porównywalna jest do innych technik wspomagania rozrodu, np. wspomnianej już inseminacji – wynosi ok. 30 proc.

Od ściany do ściany

M.in. dlatego Olga żyzna się, słysząc o funkcjonującym w polskim społeczeństwie micie, że *in vitro* jest „łatwe”, wystarczy mieć pieniądze. Kiedy przychodzi

Pomoc czy igranie

Zanim Robert Edwards otrzymał Nagrodę Nobla w dziedzinie medycyny, ponad dekadę poświęcił na pracę nad metodą zapłodnienia pozaustrojowego. Przez ten czas, wraz z Patrickiem Steptoe’em, ok. 80 razy będzie próbował umieścić w macicy kobiety zarodek. Żadna z prób nie zakończyła się powodzeniem. W końcu jednak, w lipcu 1978 r., zachodnie gazety opublikują na pierwszej stronie twarz noworodka. Louise Joy Brown będzie

miała niską wagę urodzeniową (zaledwie 2600 gramów) i przyjdzie na świat w wyniku cięcia cesarskiego. Będzie pierwszym na świecie dzieckiem poczętym za pomocą metody *in vitro*, a lekarze będą czujnie śledzić jej rozwój.

Narodziła Louise Joy Brown zainicjowała debatę na temat etycznych aspektów zapłodnienia pozaustrojowego. Od 45 lat zwolennicy i przeciwnicy tej metody powołują się na te same argumenty. Dla jednych jest ono cudem,

→ jej wspomnieć proces zapłodnienia pozaustrojowego, ma ciarki. Najcięższa okazała się stymulacja hormonalna (przebiegała się ją, by organizm wytworzył większą liczbę jajeczek niż podczas naturalnego cyklu) przed zabiegiem i pierwsze trzy miesiące ciąży.

Olga: – Po stymulacji hormonalnej czułam się jak pijana. Ciągłe nudności i zawroty głowy.

Pozytywny test ciążowy zamiast radości przyniósł pogorszenie samopoczucia. Olga nie mogła spać w nocy, wstała rano, by do popołudnia snuć się w piżamie po mieszkaniu. A kiedy pies zaczynał piszczeć pod drzwiami, z trudem się ubierała i wyprowadzała go na spacer. Przestała jeść, z byle powodu wybuchała płaczem. Pojawiły się lęki. – Bałam się, że nie donoszę ciąży, że stanie się coś złego. Kiedy mąż pytał: „Ale co ma się stać?”, zaczynałam szlochać. Wydawało mi się, że słyszę uderzenia własnego serca, oblewał mnie zimny pot, zaczynały drżeć dłonie. Czułam, jakbym nagle znalazła się w czyimś ciele. Chodziłam od ściany do ściany, zagryzałam zęby i powtarzałam sobie: „Musisz, słyszysz? Musisz to przetrwać”.

Walka z niepłodnością podobnie wyglądała w przypadku Krystyny. Rozpoczęła starania o dziecko w wieku 34 lat. Mówi, że „miała zdrowe ciało i wypełniało ją bezgraniczne pragnienie posiadania dziecka”. Po roku bezskutecznych prób zgłosiła się z mężem do ginekologa zajmującego się leczeniem niepłodności. Wspomina, że dobrze się poczuła, kiedy „całym procesem zaczął zarządzać lekarz”. Parze zaproponowano inseminację. Żeby odpowiednio przygotować organizm do zabiegu, kobieta również (jak w przypadku *in vitro*) poddawana jest stymulacji hormonalnej. Krystyna musiała robić sobie zastrzyki w brzuch. Należało je aplikować o wyznaczonej porze, a ta wypadła w trakcie pracy. Ze strzykawką ukrywała się więc w toalecie. Później przeszła wykonywany bez znieczulenia zabieg udrażniania jajowodów. W nocy ciężko było jej zasnąć. Miała dreszcze, ból był trudny do zniesienia. – Komórki jajowe namnażały się w zaskarżającym tempie. To wykluczyło nas z zabiegu inseminacji i *in vitro*. Powoli zaczynałam godzić się z naszą bezpłodnością – wspomina Krystyna. Docierało do niej, że ona i jej mąż znajdują się w tym



VAD-LEN / STOCK.ADOBE.COM

W latach 2020-21
dzięki *in vitro*
przyszło na świat 2,5 proc.
polskich noworodków.
Austriackich - 6,1 proc.

procencie par, których problemów nie rozwiąże *in vitro*.

Świat wokół przestał istnieć

Ewa pamięta z kolei, jak z niecierpliwością czekała na telefon z laboratorium. Miała uzyskać informację, czy z pobranych komórek udało się uzyskać zygoty i czy rozwijają się prawidłowo. Przy pierwszej próbie przeżył jeden zarodek, lekarz umieścił go w macicy Ewy. Kolejne dwa tygodnie upłynęły w oczekiwaniu na test HCG-beta (badanie poziomu gonadotropiny kosmówkowej, hormonu, który występuje jedynie w organizmie ciężarnej). Test był pozytywny, ale poziom hormonu okazał się zbyt niski: za kilka dni Ewa miała już miesiączkę.

Kolejne próby nie przyniosły rezultatu. W tamtym czasie spoglądała na siebie w lustrze i myślała: „Być może nigdy już nie będę matką? Być może będę musiała zadowolić się myślą o tym, że udało się zapłodnić moją komórkę jajową i to było moje macierzyństwo?”.

Lekarz polecił jej jednak wykonanie dodatkowych badań. Ich wyniki wskazały na problem z krzepliwością krwi o podłożu genetycznym. Kobieta musiała codziennie robić sobie zastrzyki z heparyny. Podczas czwartej próby *in vitro* nie powstał ani jeden zarodek.

– Nie umiem oddać mojego emocjonalnego stanu słowami, wypowiem ich przecież zaledwie kilka, a przeżyłam wiele miesięcy nieprzerwanego stresu, przygnębienia. Moje życie zdominowała jedna myśl: „zostać matką”, jakby świat wokół przestał istnieć – wspomina Ewa.

Lekarka, którą Ewa określa jako „pośrednią”, powiedziała jej i jej mężowi: „Mogą państwo spróbować raz jeszcze”. Zaznaczyła jednak, że jeśli tym razem spotka ich niepowodzenie, to jest mało prawdopodobne, że uda im się doczekać dzieci z własnych gamet. Będą musieli rozważyć skorzystanie z dawstwa komórek rozrodczych.

Normalnie wygląda

W dużym mieście o *in vitro* można mówić swobodnie. Małgorzata jest po trzydziestce, ale mimo „książkowych wyników badań” przez ponad rok nie udało jej się zająć w ciążę. Lekarz polecił zapłodnienie pozaustrojowe. Wraz z mężem wahała się, czy procedurze poddać się w Polsce, czy za granicą. Wybrali klinikę w kraju. Zabieg powiódł się przy pierwszej próbie. Mówi o tym spokojnie. Jej rodzina i znajomi wiedzą, że została matką dzięki zapłodnieniu pozaustrojowemu.

Zupełnie inaczej jest na prowincji, nawet w miejscowościach leżących nieopodal dużych miast. Kinga mieszka na południu kraju, właśnie w podmiejskiej wsi. W ciążę zachodziła bez problemu, ale za każdym razem była to ciąża pozamaciczna. Po kolejnym zabiegu lyżeczkowania macicy lekarz zabronił jej naturalnego poczęcia. Ostrzegł, że ciąża rozwijająca się w jajowodzie, a nie w macicy, stanowi zagrożenie dla jej życia. „Jedyną szansą na posiadanie potomstwa jest dla państwa zabieg *in vitro*” – powiedział.

W kolejną ciążę zaszła po pierwszym transferze zarodka do jamy macicy. Kasia urodziła się mała (wżyła jedynie 2,5 kg), ale zdrowa. Kiedy miała kilka miesięcy, Kinga przekonała się jednak, że *in vitro* przynosi ryzyko stygmatyzacji. W sklepie usłyszała, jak sąsiad mówi do kolegi

teatralnym szeptem: „Mam jeszcze trochę kasy, to może sobie fundnę takiego dziecka”. Na ulicy wytykano je palcami: „No patrzcie, normalnie wygląda, a jest przecież z probówki”. Kiedy córeczka Kingi trafiła do szpitala, wieś grzmiała, że choroba dziecka jest „karą za *in vitro*”. Kinga odcięła się od koleżanek, z którymi się wychowywała, unikała publicznych imprez. Dziś boi się, co będzie, kiedy Kasia skończy siedem lat i pójdzie do szkoły. Rozważa, czy nie dowozić jej do placówki w mieście.

Gdyby Bóg chciał

Emilia przez sześć lat próbowała zająć w ciążę. Mówi, że wraz z mężem testowali wszystko: osiem prób inseminacji, akupunkturę, hipnozę. Zdecydowali się na *in vitro*. Z zapłodnionych komórek jajowych powstały trzy zarodki, lekarz umieścił je wszystkie w macicy Emilii. Postąpił tak ze względu na jej wiek – miała 39 lat. Na kontrolnym USG wpatrywał się w ekran monitora i mówił: „O, jeden się przyjął i drugi też, trzeci obumarł”. Dziś Emilia jest mamą bliźniaków (chłopca i dziewczynki). Jej rodzeństwo i rodzeństwo jej męża wiedzą, że dzieci pochodzą z *in vitro*. Dziadkowie bliźniaków są świadomi, że para długo leczyła się z powodu niepłodności, ale nie ośmielili się zapytać, co pomogło w poczęciu. Zapadło milczenie, którego nie przerywają także Emilia i jej mąż.

Ten schemat się powtarza, bo starsze pokolenie często nie akceptuje zapłodnienia pozaustrojowego. Przyszła babcia czy dziadek szukają „przyczyn niepłodności”. Mówią, że „winię” albo „winna” na pewno nie jest jej/jego córka czy syn. Bo przecież w „ich rodzinie dzieci rodzi się normalnie”. Niepłodne kobiety, które decydują się na zapłodnienie pozaustrojowe, słyszą z ust bliskich: „Gdyby Bóg chciał, żebyś miała dzieci, dałby ci je”.

Bywa też, że kiedy rodzice dowiadują się, że ich córka bądź syn spodziewają się dziecka z zapłodnienia pozaustrojowego, zrywają z nimi kontakt. Przez dziewięć miesięcy nie pytają, jak czuje się przyszła matka i czy płód rozwija się prawidłowo. Dopiero kiedy otrzymują fotografię noworodka, przełamują się i dzwonią. Tu też niejednokrotnie pada, wypowiedziane ze zdziwieniem: „Wygląda normalnie”.

Z tego powodu niektóre pary nie informują nawet najbliższej rodziny, że ich dzieci pochodzą z zapłodnienia pozaustrojowego. Milczą, kiedy bliscy się dziwią: „Będziecie mieli bliźniaki? Skąd? Przecież w naszej rodzinie nigdy nie było bliźniaków”. Podobnie jest z dawstwem nasienia bądź adopcją komórek jajowych.

Żeby nie musiały się bać

Stowarzyszenie na rzecz Leczenia Niepłodności i Wspierania Adopcji „Nasz

Bocian”, pomagające bezdzietnym parom, zainicjowało akcję „Żeby nasze dzieci nie musiały się bać”. Na opublikowanym przez organizację filmie wypowiadają się dorośli, którzy przyszli na świat dzięki *in vitro*. Padają m.in. słowa: „Pamiętam, kiedy usłyszałam, że jestem dzieckiem Frankensteina, byłam wtedy dorosła, myślałam, że mnie to nie rusza, a jednak te słowa zapadły głęboko i zostały w środku”; „Dlaczego ten temat cały czas wraca? Dzieci połamane? Z brudzą? Zaskoczę was, niczym się nie różnimy”; „Kiedy mówią, że jesteście produktem, a nie człowiekiem, to boli, nieważne, ile masz lat”.

Ewa po próbie „ostatniej” szansy zapłodnienia *in vitro* starała się żyć „zwyczajnie”. Podczas zakupów w sklepie spożywczym usłyszała dzwonek telefonu. Laborantka przedstawiła się i powiedziała, że test na obecność hormonu HCG beta w jej krwi jest pozytywny: była w ciąży. Dziś ma dwójkę dzieci – dziewczynkę i chłopca. Mówi, że stało się to dzięki Panu Bogu i *in vitro*.

Krystyna, której komórki jajowe zbyt intensywnie się namnażały, odłożyła starania o dziecko. Dostała awans w pracy, skoncentrowała się na karierze. Po kilku miesiącach okazało się, że jest w ciąży. Co umożliwiło zapłodnienie? Stymulacja hormonalna? Zabieg udroźnienia jajowodów? To pozostanie tajemnicą.

© MAŁGORZATA NOCUN

TYGODNIK POWSZECHNY ■ www.TygodnikPowszechny.pl

Redaktor naczelny Piotr Mucharski
Redaktor senior ks. Adam Boniecki
Zastępcy redaktora naczelnego:
Ewelina Burda, Michał Kuźmiński
Dyrektor artystyczny Marek K. Zalejski
Wiara: Maciej Müller, ks. Jacek Prusak SJ,
Zuzanna Radzik, Piotr Sikora, Artur Sporniak (kierownik)
Kraj: Paweł Bravo, Anna Goc, Marek Kęskrawiec (kierownik), Małgorzata Nocun, Michał Okoński, Marek Rabij, Krzysztof Story, Piotr Śmitowicz, Przemysław Wilczyński
Świat: Patrycja Bukalska, Wojciech Jagielski, Anna Łabuszewska, Marcin Żyła, Wojciech Pięciak (kierownik)
Historia: Wojciech Pięciak
Nauka: Michał Kuźmiński, Łukasz Kwiatek (kierownik), Łukasz Lamża
Kultura: Tomasz Fiałkowski, Katarzyna Kubisiowska, Piotr Mucharski (kierownik), Monika Ochędowska, Anita Piotrowska

Fotoredakcja: Edward Augustyn, Grażyna Makara (kierowniczka), Jacek Taran
Wydanie internetowe: Grzegorz Bogdał, Ewelina Burda (kierowniczka), Michał Kuźmiński, Maciej Müller, Monika Ochędowska, Krzysztof Story
TP Typografia: Agnieszka Cynarska-Taran, Zuzanna Kardyś, Andrzej Leśniak (kierownik)
Korekta: Klaudia Bieł, Katarzyna Domin, Sylwia Frotow, Maciej Szklarczyk (kierownik)
Promocja marki: Monika Lech
Marketing i sprzedaż: Anna Cieślak, Mateusz Gawron, Anna Pietrzykowska, Michał Sowiński
Rozwój cyfrowy: Marzena Cora, Mateusz Chmielowski, Mateusz Gawron, Lech Krupa, Patryk Stanik (kierownik)
Redaktor wydań specjalnych: Michał Okoński
Felietony: Wojciech Bonowicz, Paweł Bravo, Olga Drenda, Eliza Kącka, Stanisław Mancewicz, Dorota Masłowska, Bartosz Minkiewicz, Zuzanna Radzik, Andrzej Stasiuk, Tomasz Stawiszynski
Menedżer produktu WWW: Bartłomiej Swojak

Stale współpracują: Elżbieta Adamiak, Klaus Bachmann, Justyna Bargielska, Marek Bieńczyk, Kalina Błażejowska, Wojciech Bonowicz, Wojciech Brzeziński, Beata Chomątowska, s. Barbara Chyrowicz, Justyna Dąbrowska, Bartek Dobroch, ks. Andrzej Draguła, Jakub Dymek, Jarosław Flis, Andrzej Franasek, ks. Tomasz Halik, ks. Michał Heller, Agata Kaźmierska, Eliza Kącka, Piotr Kłotkowski, Małgorzata Kordowicz, Piotr Kosiewski, Dariusz Kosiński, Dorota Kosińska, Ryszard Koziołek, Magdalena Łanuszka, Stanisław Łubieński, Szymon Łucyk, Józef Majewski, Paweł Marczewski, Michał P. Markowski, Rafał Matyja, Marcin Napiórkowski, Magdalena Nowicka-Franczak, Wojciech Nowicki, Joanna Olech, Olaf Osica, o. Wacław Osajca, Jacek Podsiadło, Karolina Przewrocka-Aderet, Jakub Puchalski, Adam Robiński, Dariusz Rosiak, Joanna Rusinek, kard. Grzegorz Ryś, Tadeusz Ślawek, Andrzej Stasiuk, Władysław Stróżewski, Marcelina Zumer-Brysz, Piotr Wójcik

WYDAWCA Tygodnik Powszechny Sp. z o.o.
Zarząd: Jacek Ślusarczyk (prezes), Piotr Mucharski (wiceprezes), Edyta Plachta
Adres wydawcy i redakcji: ul. Dworska 1C/LU 3-4 30-314 Kraków, tel. 668 477 039
redakcja@TygodnikPowszechny.pl
Reklama, promocja: tel. 602 590 416
reklama@TygodnikPowszechny.pl
promocja@TygodnikPowszechny.pl
Prenumerata: tel. 668 479 075
prenumerata@TygodnikPowszechny.pl
Projekt graficzny: Marek Knap i Marek Trojanowski

Druk: Walstead Kraków Sp. z o.o.



S-NET
GRUPA TOYA
S-NET zapewnia wsparcie technologiczne dla „Tygodnika Powszechnego”

■ REDAKCJA NIE ZWRACA TEKSTÓW NIEZAMÓWIONYCH ORAZ ZASTRZEGA SOBIE PRAWO ICH REDAGOWANIA I SKRACANIA. REDAKCJA NIE ODPOWIEDZIA ZA TREŚĆ OGŁOSZEŃ. REDAKCJA MA PRAWO DO ODMOWY PUBLIKACJI OGŁOSZEŃ.

■ PRAWA AUTORSKIE I MAJĄTKOWE DO WSZYSTKICH MATERIAŁÓW zamieszczonych w „Tygodniku Powszechnym” należą do Wydawcy oraz ich Autorów i są zastrzeżone znakiem © na końcu artykułu. Materiały oznaczone na końcu dodatkowym znakiem © mogą być wykorzystane przez inne podmioty tylko i wyłącznie po uiszczeniu opłaty, zgodnie z Cennikiem i Regulaminem korzystania z artykułów prasowych, zamieszczonymi pod adresem www.TygodnikPowszechny.pl/nota-wydawnicza.

„Tygodnik Powszechny” dostępny dla osób niewidomych i słabowidzących! Więcej informacji na powszech.net/dostepny

MAŁGORZATA

Kordowicz: *Ułomni i Bóg*



CZY PAMIĘTAJĄ PAŃSTWO UTWÓR „RIVERS of Babylon” zespołu Boney M.? Słowa tej pieśni pochodzą z psalmu 137, którego otwierający wers brzmi: „Nad rzekami Babilonu, tam siedzieliśmy i płakali wspominając Cyon” (Ps 137, 1; Cylkow). Artyści

akurat „opłakiwali” sytuację na rodzinnej Jamajce lat siedemdziesiątych. Zostawmy na chwilę uniwersalne metafory i przyjrzyjmy się bliżej tekstowi: wygnańcy zawieszają na wierzbach swoje lutnie, a Babilończycy domagają się, by zaśpiewali pieśń Syjonu. Rabini w Talmudzie oczami wyobraźni widzą posługujących niegdyś w zburzonej przez wojska Nabuchodonozora Świątyni, zmuszanych do śpiewania babilońskim bożkom. Załamani jeńcy tak bardzo nie chcą grać „na ziemi obcej” (wers 4.) na świątynnych instrumentach, że aż – opowiada makabryczny midrasz – ucinają sobie kciuki. Tym samym jednak czynią się niezdarnymi do służenia Najwyższemu w Świątyni...

„Oświadcz Ahronowi i powiedz: Nikt z potomstwa twego w pokoleniach ich, któryby był ułomnym, niechaj nie przystępuje, aby przynosił chleb Boga swojego” (Kpł 21, 17). Potem następuje wyliczenie: „ani ślepy, ani chromy, ani płaskonosy, ani potworny. Ani taki, któryby miał złamaną nogę, albo złamaną rękę. Ani garbaty, ani suchotnik, ani z bielmem na oku, ani krostowaty, ani strupowaty, ani z uszkodzonym jądrem” (wersy 18-20.). Klasycznym komentatorem też nasuwa się pytanie, dlaczego ułomności ciała dyskwalifikują posługę dotkniętego nimi kapłana. Niestety ich odpowiedź obarczona jest uprzedzeniami powszechnymi w czasach, w których żyli: kapłan zarówno reprezentuje ludzi przed Bogiem, jak i Boga przed ludźmi – i z tego powodu musi być bez skazy.

Nowatorskie – jak na swoje czasy (XIII w.) – podejście odnajdujemy w głównym dziele żydowskiego mistycyzmu, czyli Zoharze. „Kiedy księżyc zostaje uszkodzony przez ten sam aspekt złego węża, wszystkie dusze, które pojawiły się w tym czasie, chociaż wszystkie były czyste i święte, są dotknięte skazą. Ponieważ pojawiły się w niekorzystnym czasie, ich ciała są miażdżone, a dusze doświadczają bólu i cierpienia, gdziekolwiek dotrą. Święty, niech będzie błogosławiony, otacza opieką i miłością tych, którzy są ułomni, chociaż ich dusze są smutne, a nie radosne”. Wiemy już, dlaczego niektórych ludzi dotyka niepełnosprawność. Zohar nazywa ich sprawiedliwymi, którzy – jako obarczeni tymi samymi cechami, co księżyc – są jego towarzyszami. „Blizkim Bóg złamanym w sercu; skruszonych w duchu wspomaga. Liczne są dolegliwości sprawiedliwego, ale ze wszystkich wybawia go Bóg” (Ps 34, 19-20). Obserwujemy kolejne fazy Księżyca (który przecież cały czas jest „pełny”!). „Ci, którzy z nim cierpieli, również zostaną z nim odnowieni”. ©

O. WACŁAW

Oszajca: *Gliniane tabernakulum*



SERCEM KATOLICKIEJ ŚWIĄTYNI JEST OCZYwiście tabernakulum. Mówi się nawet, że dzięki temu nasze kościoły, w przeciwieństwie do protestanckich, nie zioną chłodem. Nawet gdy świecą pustką, jest w nich Pan Jezus. Podobnie ma się rzecz

z mszą. Jeśli ofiarowuje się ją Bogu, msza staje się najskuteczniejszą modlitwą, zdolną „wybłagać łaski”, czyli zdrowie, dobry ożenek, bezpieczną podróż czy zdanie egzaminu itd., oczywiście pod warunkiem, że nasze modły będą zgodne z wolą Boga. W rezultacie msza staje się swoistą monetą przetargową. Coś za coś, my Tobie mszę, a Ty nam, Panie Boże, za to np. odporność na choroby.

Podobnie jak mszę zredukowaliśmy do nabożeństwa, tak rozumienie Kościoła zawężiliśmy do budynku, do którego trzeba w niedzielę iść pod groźbą popełnienia grzechu ciężkiego. Przecież przykazanie Boże nakazuje dzień święty święcić. Kłopot w tym, że z tego przykazania tzw. obowiązek niedzielny wprost nie wynika. W rezultacie Boże przykazanie przykryliśmy kościelnym, choć wiemy, że wola Kościoła nie zawsze pokrywa się z wolą Bożą. Inaczej nie musielibyśmy nikogo przeproszać.

Następna rzecz. Prześladowani chrześcijanie w dawnej Japonii czy więźniowie obozów zagłady nie mieli ołtarza, tabernakulum, tym bardziej mszy, a Kościół istniał. Czy w takim przypadku, gdy nie ma Eucharystii, Jezus nie istnieje realnie w „zgromadzeniu świętych”? Albo gdy nie ma duchownych, nie ma też Kościoła? Czy do istnienia Kościoła konieczna jest mechanicznie pojmowana sukcesja apostołska, skoro zgodnie z obietnicą Jezusa, „największego skarbu” Kościoła, zawsze jest On tam, gdzie są ludzie pragnący być z Nim? Przestroga Jezusa się nie przedawniła: „Odrzucając przykazanie Boże, trzymacie się ludzkiej tradycji (...). Zręcznie uchylacie przykazanie Boże, aby tworzyć własną tradycję”. Nie mówmy tylko, że ta przestroga odnosi się wyłącznie do faryzeuszów i nauczycieli Prawa. W przeszłości oni zapadali na tę chorobę, dzisiaj zapadamy na nią my. Nie bez powodu Jezus jako przykład wierności przykazaniom wskazuje na Dawida, który dla zachowania Bożego prawa to prawo łamie. „Pragnę miłości, a nie ofiary, poznania Boga bardziej niż całopaleń” – mówi Bóg. Natomiast Paweł Apostoł przypomina: „Bóg, który powiedział: Z ciemności zajaśnieje światłość, zajaśniał w naszych sercach, aby zabłysło poznanie chwały Bożej, która jest na obliczu Jezusa Chrystusa. Mamy zaś ten skarb w glinianych naczyniach, aby nie z nas, lecz z Boga była ta przeogromna moc”. Na nic się zda pozłacanie tego garnka. Taki zabieg nie poprawi smaku potrawy. Czasami wystarczy ją jeszcze raz doprawić, ale bywa, że trzeba ją wyrzucić, co w kościelnym technicznym języku nazywamy nawróceniem. ©

KARD. GRZEGORZ

Ryś: Chwiejni

*Fałszywy Bóg,
który jest zupełnie
podobny do prawdziwego
poza tym, że się go
nie dotyka, na zawsze
uniemożliwia dostęp
do prawdziwego.*

SIMONE WEIL



*Uważaj, by duchowa
praktyka nie stała się
dla ciebie idolem
– bo będzie przeszkodą
w osiągnięciu Celu.*

SUFI UWAJŚ AL-KARNI



„OCZYŚCIE RĘCE,
grzesznicy, uświę-
cie serca, ludzie
chwiejni!” – to we-
zwanie z Listu
św. Jakuba (zob.

Jk 4, 8b) skierowała do nas Liturgia nie-
dawno. „Chwiejni” – pomyślałem
w pierwszej chwili – to może być tabo-
ret... jeśli ma trzy nogi równe, a czwartą
dramatycznie krótszą. Sięgnąłem więc
po oryginał. W oryginale jest o wiele
mocniej niż w polskim przekładzie
– pada w nim greckie słowo *dipsychoi*,
składające się z dwóch słów: *dis*, czyli
dwa razy, podwójnie, znów oraz *psyche*,
to znaczy: dusza, życie, oddech.

„Ludzie chwiejni” można więc prze-
tłumaczyć: ludzie o rozdwojonej duszy
albo – jeszcze mocniej – ludzie prowa-
dzący podwójne życie. Ich problemem
nie są kłopoty z błędniakiem („chwieją
się”), lecz – i tak to ujmuje autor listu –
z sercem! Ich serce potrzebuje „uświęce-
nia”, gdyż jest rozdwojone. Potrzebuje
jakiegoś scalenia, wewnętrznego integra-
cji, gdyż – jak na razie – próbuje łączyć
w sobie rzeczy nie do połączenia. Wła-
śnie dlatego nieco wcześniej (4, 4) Jakub
nazywa ich po prostu „cudzołożnikami”
(grec. *moichoi*; łac. *adulteri*).

Podwójność ich życia nie polega
jednak w tym wypadku (Jk 4, 1-12) na
nieczystości, lecz na pysze! Prowadzą
podwójne życie: jedno – w którym ich
Panem jest Jezus, i drugie – w którego

centrum stawiają z całą mocą siebie sa-
mych. W tym pierwszym – głoszą Chry-
stusa, nawołują do życia Ewangelią,
zdecydowanie stają po stronie Bożego
prawa; w tym drugim – walczą o pierw-
sze miejsca dla siebie, zaspokajają (lub
przynajmniej dążą do zaspokojenia)
wszystkich swoich potrzeb i pożądań.

Jakub to pierwsze życie opisuje jako
życie pokory; to drugie – jako życie py-
chy. Podwójne serce, dusza, życie – roz-
darte między pychę a pokorą – generuje
grzeszne czyny „rąk”: „wojny, kłótnie,
zabójstwa i zazdrość, walki” (4, 1. 2).

Rzecz przestaje więc być wyłącznie
osobistym i indywidualnym dramatem.
Przekłada się ona na jakość budowa-
nych przez nas wspólnot; także – a może
nawet przede wszystkim – Kościoła!

Jakub przypomina: „Bóg sprzeciwia
się pysznym, pokornym zaś daje łaskę”
(4, 6). Czy w Kościele nie chodzi przede
wszystkim o przekaz łaski? Z całą pew-
nością tak! W Kościele chodzi o przekaz
Łaski.

Jakże więc ma jej udzielać ten, kto
sam jest na nią zablokowany? Ktorego
pycha, eksponowanie siebie, koncen-
tracja na wyłącznie własnej pozycji i zy-
skach – budzą sprzeciw Boga? Bóg daje
łaskę pokornym. Oni ją też przekazują
– i przekazują czytelnie: nie przypisu-
jąc jej sobie, lecz jasno i zdecydowanie
wskazując poza siebie – na Tego, który
jest jej Źródłem i Dawcą. To pokorni lu-
dzie budują Kościół. ©

CZYTANIA LITURGICZNE (2 – 9 VI)

9. niedziela zwykła: Pwt 5, 12-15; Ps 81; 2 Kor 4, 6-11; Mk 2, 23 – 3, 6; Poniedziałek: 2 P 1, 2-7; Ps 91; Mk 12, 1-12; Wtorek: 2 P 3, 12-15a. 17-18; Ps 90; Mk 12, 13-17; Środa: 2 Tm 1, 1-3. 6-12; Ps 123; Mk 12, 18-27; Czwartek: 2 Tm 2, 8-15; Ps 25; Mk 12, 28b-34;	Piątek, Uroczystość Najświętszego Serca Pana Jezusa: Oz 11, 1. 3-4. 8c-9; Ps: Iz 12, 2-6; J 19, 31-37; Sobota: Iz 61, 9-11; Ps: 1 Sm 2, 1. 4-8; Łk 2, 41-51; 10. niedziela zwykła: Rdz 3, 9-15; Ps 130; 2 Kor 4, 13 – 5, 1; Mk 3, 20-35.
---	---

Wybrał PIOTR SIKORA



GIERTYCH: WYTRYCH DO POLSKIEJ POLITYKI

Był pionierem psucia jej standardów,
stał się ofiarą jej brutalności,
a w końcu dowiódł, że ludziom
od brudnej roboty powrotu na szczyt
nie zamykają nawet biograficzne
obciążenia. Dziś triumfuje,
prezentując „skruszonego” świadka
przestępstw PiS.

PIOTR ŚMIŁOWICZ

WSERII FILMÓW O BONDZIE NIEMAL się nie zdarzało, by ten sam czarny charakter występował w więcej niż jednym filmie. Wyjątkiem był olbrzym z kobaltowymi zębami, dzięki którym przegryzał nawet stal, zwany „Bużką”. Wystąpił w dwóch odcinkach – „Szpieg, który mnie kochał” oraz „Moonraker” – i był niemal niezniszczalny.

Tak się składa, że przezwisko „Bużka” przylgnęło do Romana Giertycha. Zapewne nie tylko z uwagi na fizyczne podobieństwo, ale i na zdolność do przetwarzania sytuacji, które powinny się skończyć zepchnięciem w niebyt.

Ze Wschodu na Zachód

„Obywatele zagłosowali 15 października za Polską zachodnią, za Polską demokratyczną. (...) PiS to była Targowica. Model, który zbudowali, to model okradania obywateli i tworzenia nowej elity, która miała być z gruntu antyzachodnia, budująca autorytarne państwo, w najlepszym razie będące państwem między Wschodem i Zachodem, a tak naprawdę ciężącym tak jak Węgry Orbán w stronę Wschodu” – to fragment niedawnego filmiku Romana Giertycha na YouTube.

A to też wypowiedzi Giertycha, tyle że sprzed lat: „Jeśli Polska wejdzie do Unii Europejskiej, na Mazurach wkrótce pojawią się tabliczki: nur für Deutsche”; „Wzajemne wsparcie polityczne pomiędzy Rosją a Polską przyniosłoby obydwu krajom wiele dobrego”; „Uważam, że trzeba przeciwstawić się temu, że wstrętnei pederasci przyjechali z wielu krajów i próbowali narzucić nam swoją propagandę”.

Te cytaty pokazują drogę, jaką przeszedł w ciągu 20 lat.

Tylko tacy się nadają

Przed wyborami do Parlamentu Europejskiego Jarosław Kaczyński zachwalał zalety dwóch kandydatów – Adama Bielana i Jacka Kurskiego, porównując ich do „wojsk jednorazowego przeznaczenia”, które zwykle są rzucone na najtrudniejsze odcinki i ponoszą największe straty. „Ale żeby być w tych wojskach, to trzeba być naprawdę człowiekiem o specyficznych cechach psychicznych

i fizycznych, tylko tacy się nadają” – rekomendował obu prezes PiS.

Nieco podobnie Donald Tusk zachwalał Romana Giertycha, gdy w sierpniu 2023 r. ogłaszał jego start z list KO przeciwko prezesowi PiS. „Moja teściowa i świętej pamięci teść są z Gór Świętokrzyskich. Tam cenią ludzi odważnych. Tam ludzie zapytają się ciebie: gdzie uciekasz, chłopcze? My nie jesteśmy schroniskiem dla tchórzów. Jarosław, żebyś nie poczuł się samotny, wystawię tam na tej liście Romana Giertycha” – mówił.

– Tusk na niego postawił, bo potrzebuje fightera, który przed niczym się nie cofnie – potwierdza polityk PO. – Tym bardziej że głównym motywem aktywności politycznej Giertycha jest zemsta na Kaczyńskim – dodaje.

Lata politycznych doświadczeń pozwalają zaklasyfikować Romana Giertycha do szczególnej grupy polityków. Wspomniani Bielan i Kurski, obecny wicemarszałek Senatu Michał Kamiński, a w pewnym stopniu także szef MSZ Radosław Sikorski mają talent do sprawnego zmieniania barw partyjnych. Na marginesie: Kamińskiego, Sikorskiego i Giertycha łączy przyjaźń – stanowią sprawne, wspierające się lobby.

Poniżej pasa

Wszyscy wyżej wymienieni znają polską politykę od podszewki. Ponoszą też ogromną odpowiedzialność za coś, co powszechnie uznaje się za jej psucie – wykorzystywanie chwytów poniżej pasa i adwokackich forteli.

Roman Giertych jest niewątpliwie pionierem takiego postępowania. To jemu, jeszcze jako politykowi LPR, Zbigniew Ziobro zawdzięcza fakt, że Sejm przyjął raport z prac komisji śledczej ds. afery Rywina w jego wersji – bo Giertych prawniczymi kruczkami wymógł na ówczesnym marszałku Józefie Oleksym, by posłowie głosowali nie tylko nad raportem przyjętym przez samą komisję, autorstwa Anity Błochowiak z SLD, ale wszystkimi innymi, jako wnioskami mniejszości.

Sam zaistniał w innej komisji śledczej, zajmującej się w ostatnim okresie rządów SLD aferą Orlenu. Wstawił się polowaniem na urzędującego prezydenta Aleksandra Kwaśniewskiego, którego nazywał Aleksandrem K. i zapowiadał jego *impeachment*. Potajemnie spotkał się też na Jasnej Górze z głównym świadkiem,

biznesmenem Janem Kulczykiem, żądając, według słów tego ostatniego, kwitów obciążających Kwaśniewskiego w zamian za pozostawienie samego Kulczyka w spokoju. To również on, jak sugerowali inni członkowie komisji, wynosił z tajnej kancelarii dokumenty prokuratorskie, by przekazywać je wybranym mediom.

Trochę wstyd

Po latach, gdy zmienił już stronę barykady, posypywał głowę popiołem. „Trzeba było być za wejściem do Unii” – przyznawał. „Dużo błędów popełniłem w komisji orlenowskiej. Dałem się wciągnąć w atmosferę PiS-owskiego poszukiwania wszędzie zła, przekrętów i troszeczkę się rozpędzałem. Przesadziłem np. mówiąc, że skończył się prezydent Aleksander Kwaśniewski, a zaczął się Aleksander K. Dziś jest mi trochę wstyd” – dodawał.

Krzysztof Bosak, obecny wicemarszałek Sejmu z Konfederacji (zasiadający w Sejmie lat 2005-07 w ławach LPR), przekonuje, że Giertych miał już wówczas poglądy centrowe i tonował skrajności. Np. przeciwstawiał się tym, którzy chcieli iść w stronę antysemicką, a jako wicepremier i minister edukacji w rządzie koalicji PiS-Samoobrona-LPR był w lipcu 2006 r. na uroczystościach w Jedwabnem, a także w Auschwitzu podczas pielgrzymki Benedykta XVI.

Bosak przyznaje, że takie gesty nie były w LPR dobrze przyjmowane, choć Giertych je równoważył np. wezwaniem, by udekorować o. Tadeusza Rydyzka Orderem Orła Białego.

Świat ojców

To dzięki sojuszwowi z założycielem Radia Maryja zaczął bowiem robić prawdziwą karierę. Choć w 1989 r. reaktywował Młodzież Wszechpolską, potem działał w Stronnictwie Narodowym, a nawet w UPR Janusza Korwina-Mikkego, dopiero stworzenie pod patronatem Rydyzki (wraz z Antonim Macierewiczem i Jackiem Kurskim) Ligi Polskich Rodzin zapewniło mu wypłynięcie na szersze wody.

Inna sprawa, że akurat sprawy żydowskie to tematyka, w której trudno znaleźć kompromituje go cytaty. Mimo że jego dziadek Jędrzej, jeden z czołowych endeckich publicystów, nie stronił od antysemityzmu i że podobne poglądy prezentował

Roman Giertych.

Sejm, Warszawa, 25 stycznia 2024 r.

→ też jego ojciec Maciej, biolog znany z podważania teorii ewolucji i z wstąpienia w latach 80. do Rady Konsultacyjnej przy Wojciechu Jaruzelskim – Roman przekonywał, że dla niego antysemityzm jest spreczny z katolicyzmem, bo „założycielem Kościoła i Zbawicielem jest Żyd”.

Zresztą już w czasach, gdy stał na czele LPR, widać było, że nie do końca dobrze się czuje z wizerunkiem wściekłego endeka. Lubił chodzić do mainstreamowych mediów, był regularnym gościem audycji Moniki Olejnik.

Niechciany pupilek

Po wyborach w 2005 r. wszedł do rządu. Najpierw było poparcie LPR dla mniejszościowego gabinetu Kazimierza Marcinkiewicza, potem tzw. pakt stabilizacyjny, wreszcie koalicja między PiS, Samoobroną i LPR, zawarta w maju 2006 r. Został wówczas wicepremierem i ministrem edukacji, wsławionym z wykreślenia z listy lektur „promującego homoseksualizm” Gombrowicza czy promowania szkolnych mundurków.

Po latach tłumaczył, że wcale nie chciał zawierać tej koalicji, ale musiał, bo parło do niej jego ugrupowanie. Obawiał się, że inaczej PiS wykradnie mu posłów, więc postanowił udawać „pupilka Kaczyńskiego” i spowodować, by właśnie od LPR zależała rządowa większość.

Już wtedy był przez lidera PiS źle postrzegany. To właśnie Giertych bowiem zablokował na początku 2006 r. próbę skrócenia kadencji Sejmu przez prezydenta Lecha Kaczyńskiego, do której pretekstem miało być nieuchwalenie budżetu w terminie. Dysponującemu wtedy mniejszościowym rządem PiS-owi sondaże dawały samodzielną większość. Jednak Giertych skrzyknął wszystkie pozostałe partie, a reprezentujący LPR wicemarszałek Marek Kotlinowski za plecami marszałka Marka Jurka z PiS przeprowadził jedno z głosowań przyspieszających procedurę budżetową. Sam Giertych, jak wspominał po latach, w „najtrudniejszej w życiu” rozmowie z Kaczyńskim zagroził uruchomieniem alternatywnego Sejmu i alternatywnego rządu, w razie gdyby prezydent Kaczyński rozwiązał parlament.

Tajne zamiary

Jego karierę ministerialną przerwała afera gruntowa, w wyniku której z rządu

Po przegranej w 2007 roku

Giertych rozpoczął praktykę adwokacką. Jeszcze przed wyborami zaciągnął kredyt na kancelarię, ale o polityce nie zapomniał.

wyleciał Andrzej Lepper. Giertych, jak twierdził m.in. w przeprowadzonej dzień po odwołaniu rozmowie dla „Newsweeka”, odrzucił propozycję ze strony PiS przejścia klubu Samoobrony, co mogłoby uratować koalicję i uchronić przed przedterminowymi wyborami.

Krzysztof Bosak potwierdza dziś, że tamta koalicja była wymuszona, liderzy LPR nie ufali PiS i mieli świadomość, że Jarosław Kaczyński zwykł ograć partnerów. Przejście Samoobrony było zaś niewykonalne, bo posłowie tego ugrupowania byli lojalni wobec Leppera. – Zaufanie do PiS po aferze gruntowej było ujemne, a kontynuowanie koalicji niemożliwe – mówi.

Sam Giertych opowiadał, że Kaczyński ujawnił mu swoje tajne zamiary, bo uwierzył w kreowany przezeń wizerunek cynika. I zapewniał, że cynikiem nie jest, bo kieruje się etyką chrześcijańską. Skądinąd wiadomo o jego fascynacji twórcą ruchu Opus Dei (do którego należy, choć o tym akurat nie chce mówić), świętym Josemarią Escrivá de Balaguerem, wrogiem wykorzystywania Kościoła do działalności politycznej w czasach gen. Franco.

Poza polityką

Giertych oczywiście nie mówił całej prawdy o okolicznościach rozpadu koalicji i przedterminowych wyborów. Nie wspominał, że najpierw chciał utworzenia rządu PiS-Samoobrona-LPR bez liderów, potem namawiał Donalda Tuska do poparcia ponadpartyjnego rządu z Januszem Kaczmarskiem na czele (zanim ten został skompromitowany jako autor przecieku w aferze gruntowej). Lider PO wolał przedterminowe wybory, które dla Giertycha i LPR oznaczały wyrok, bo mieli notowania poniżej progu wyborczego.

Po przegranych wyborach w 2007 r. Giertych rozpoczął praktykę adwokacką (aplikację zrobił jako początkujący narodowiec, wcześniej studiował historię i prawo). Jeszcze przed elekcją zaciągnął kredyt, dzięki któremu otworzył kancelarię, ale o polityce nie zapomniał. „Mam jedno marzenie: chciałbym zobaczyć, jak spadają z tych pomników. Cały ten PiS. I nie jestem w tym odosobniony. Jak będzie katastrofa – a będzie – chciałbym ją oglądać z bliska” – mówił po latach „Gazecie Wyborczej”.

Kapitan i pałac

Pierwszym aktem współpracy z nowym rządem PO-PSL było przejście mediów publicznych. Od 2005 r. były one zarządzane przez nominatów koalicji PiS-Samoobrona-LPR. Po powstaniu gabinetu Donalda Tuska Giertych doprowadził do porozumienia członków rad nadzorczych z LPR z przedstawicielem ministra skarbu, zawieszenia PiS-owskich prezesów Polskiego Radia i TVP oraz powierzenia funkcji p.o. prezesa TVP członkowi zarządu z rekomendacji LPR, Piotrowi Farfałowi. Sojusz przetrwał tylko rok, bo z kolei przejściu przez SLD przedstawiciele Samoobrony we władzach mediów porozumieli się z PiS i doprowadzili do powołania nowych prezesów – PiS dostał TVP, a SLD Polskie Radio. Sojusz ten zakończyły dopiero wygrane przez Bronisława Komorowskiego wybory prezydenckie.

Za rządów PO Giertych zapewniał, że nie chce wracać do polityki, bo za drogo by to kosztowało. „Spekulacje o tym, że chciałbym być w PO, przyjmuję ze zdziwieniem. Jak się było kapitanem, nawet małego statku, to ciężko przyjąć propozycję bycia palaczem choćby na transatlantyku” – mówił w 2012 r. w „Gazecie Wyborczej”.

Na celowniku

Sytuacja zmieniła się po dojściu PiS do władzy. W 2015 r. Giertych był już wtedy zaprzysięgłym wrogiem „dobrej zmiany”. Chodził na demonstracje, a jako adwokat reprezentował Radka Sikorskiego, Sławomira Nowaka, Jana Krzysztofa Bieleckiego, w końcu zaś samego Tuska, gdy ten jako przewodniczący Rady Europejskiej był wzywany na przesłuchania przez prokuraturę Zbigniewa Ziobry. Był też pełnomocnikiem syna byłego pre-



TOMASZ GZELL / PAP

miera, Michała, gdy ten stanął przed komisją śledczą ds. Amber Gold.

– Ale nie zapobiegł temu, by Michał Tusk szczerze przyznał, że wraz z ojcem wiedzieli od początku, iż Amber Gold to była lipa – mówi dziś członek tej komisji, Marek Suski z PiS.

Giertych reprezentował wszystkich tych, którzy zadarli z rządem PiS – także biznesmena Leszka Czarneckiego w aferze KNF w 2018 r. czy powiązanego rodzinnie z Jarosławem Kaczyńskim austriackiego przedsiębiorcę Geralda Birgfellnera, który miał realizować na gruntach należących do spółki Srebrna projekt dwóch bliźniaczych wież. To Giertycha przedstawiciele PiS obarczali za przeciek do mediów w 2019 r. nagrania ze spotkania prezesa partii z Birgfellnerem w tej sprawie.

Trudno się dziwić, że władze PiS zagięły parol na mającego potężną wiedzę o kulisach polskiej polityki Giertycha. Nie tylko, jak się potem okazało, był inwigilowany Pegasusem, ale w 2020 r. został nawet zatrzymany w ramach śledztwa w sprawie rzekomego prania pieniędzy w spółce Polnord. Prokuraturze nie udało się postawić mu zarzutów, bo stracił przytomność. Według związanych z Ziobrą prokuratorów był to kolejny trick sprytnego mecenasa. Z drugiej strony, polityczne tło tej sprawy było oczywiste już w 2020 r., a jak niedawno ujawniła „Ga-

To już nie ten sam Giertych,

co w czasach, gdy nie było posiedzenia, by nie wystąpił z czymś kontrowersyjnym.

Od początku kadencji przemawiał tylko pięć razy.

zeta Wyborcza”, Ziobrę interesował w niej tylko wątek Giertycha.

Program: odwet

Ten ostatni wyjechał wówczas na stałe z Polski. Osiadł we Włoszech (jego stryj Wojciech jest zakonikiem i teologiem współpracującym z najważniejszymi papieskimi urzędami). Z krajem kontaktował się jedynie za pomocą licznych, na ogół wymierzonych w PiS postów w mediach społecznościowych i na YouTube.

Krzysztof Bosak uważa, że Giertych nie zmienił swoich poglądów gospodarczych, nadal jest konserwatywnym liberałem; natomiast zmienił poglądy na UE. Zmienił też, na lepszą, ocenę transformacji. – Generalnie jednak chęć odegrania się na PiS zajęła u niego miejsce programu politycznego – ocenia.

W 2023 r. Giertych zadeklarował, że gotów jest stanąć przeciw PiS w szranki

Jarosław Kaczyński, Roman Giertych i Antoni Macierewicz.

Sejm, Warszawa, 14 marca 2003 r.

wyborcze. Chciał startować do Senatu, wskazał nawet okręg: poznański, w którym znajduje się rodzinny dla Giertychów Kórnik. Tuskowi nie udało się jednak wymóc na partnerach z Paktu Senackiego zgody na tę kandydaturę. Zdecydowanie przeciwna była Lewica, zapowiadając, że wystawi przeciw niemu swego reprezentanta.

– Nie mogliśmy mu zapomnieć przeszłości, nie tylko tej dawnej, ale także tego, że to on najprawdopodobniej stał za przeciekami dokumentów na temat rodziny Roberta Biedronia – mówi prominentny polityk Lewicy. W 2019 r., podczas kampanii do Parlamentu Europejskiego, w których startowała Wiosna Biedronia, w „Warszawskiej Gazecie” ukazały się – błyskawicznie zdementowane – teksty, że Biedroń miał rzekomo znęcać się nad matką.

Politycy PO przyznają, że to Tusk osobiście przevorsował kandydowanie Giertycha do Sejmu. Sprawa nie była nawet przedmiotem dyskusji na posiedzeniu zarządu PO, jak np. kwestia kandydowania Michała Kołodziejczaka.

Znowu w Sejmie

Dawny antagonistą Giertycha z komisji orlenowskiej Andrzej Celiński, który nie podawał mecenasowi ręki, a także nazwał publicznie „ch...” za niegdyśjsze napaści na Jacka Kuronia, dziś pozytywnie ocenia powrót mecenasa do polityki. – Ma poglądy odmienne od moich, ale mieszczące się w demokratycznym spektrum – ocenia Celiński.

Kampania prowadzona tylko w internecie okazała się sukcesem: Giertych otrzymał niezły wynik, choć w klubie KO niektórzy powołują się na badania, z których miałyby wynikać, iż start Giertycha nieco obniżył poparcie dla całej KO.

Po inauguracji Sejmu X kadencji okazało się, że to już nie ten sam Giertych, co w czasach, gdy nie było posiedzenia, by nie wystąpił z czymś kontrowersyjnym. Od początku kadencji przemawiał tylko pięć razy.

Bulterier Tuska

Tradycyjnie sceptyczni wobec Giertycha są przedstawiciele Lewicy. – W naszej

→ polityce jest za mało sporów o konkretne rozwiązania, a za dużo mówienia, kto jest czym agentem. Mam wrażenie, że Giertych jest rzecznikiem właśnie takiej polityki – ocenia Adrian Zandberg.

Posłowie KO pytani o Giertycha przyznają, że jest mało aktywny w życiu klubu, nie integruje się też z innymi parlamentarzystami.

– On wisi tylko na Tusku – mówi jeden z nich. Inni zwracają uwagę, że Giertych nie brał udziału w ważnych głosowaniach, np. dotyczących ustaw aborcyjnych. I przypominają deklarację lidera PO z 2022 r., że przeciwnicy aborcji nie znajdują się na listach wyborczych. – Najwyraźniej Giertych funkcjonuje na innych prawach – słyszymy.

Pytani o powody tak silnych związków Tuska z mecenasem, posłowie PO zwracają uwagę na dług wdzięczności za reprezentowanie jego i rodziny. Ale mówią też o skuteczności byłego narodowca w walce z PiS. I o tym, że przez swoje biograficzne obciążenia nigdy Tusкови nie zagrozi. – Taka jest polityka: jak ktoś jest przy-

Co dalej z karierą Giertycha?

Przed powstaniem rządu Tuska jego nazwisko pojawiała się nawet w kontekście obsady stanowiska ministra sprawiedliwości.

datny, to się go wykorzystuje i zapomina o tym, co kiedyś głosił. Lepiej go mieć po swojej stronie niż przeciwko – mówi parlamentarzysta KO.

Inny zwraca uwagę, że Giertych dlatego nie objął żadnych funkcji, np. nie stanął na czele żadnej komisji śledczej, bo wciąż ciąży na nim zarzut za sprawę Polnordu.

Przy taśmociągu

W parlamencie Giertych łączy funkcję wiceszefa klubu KO z kierowaniem zespołem Koalicji Obywatelskiej ds. rozliczeń

PiS. Przez kilka miesięcy i w tym zespole niewiele się działo, jednak w minionym tygodniu poseł i mecenas odniósł poważny sukces. Na posiedzeniu zespołu pojawił się były dyrektor Funduszu Sprawiedliwości Tomasz Mraz opowiadając, jak Zbigniew Ziobro i jego ludzie ustalili konkursy, by pieniądze otrzymywały wskazane przez nich podmioty. Te zeznania zelektryzowały scenę polityczną.

– Giertych się mści. Ukrywał się kilka lat za granicą, a dziś całkowicie bezpodstawnie atakuje Ziobrę, za którego czasów Fundusz Sprawiedliwości przeznaczył pół miliarda dla ofiar przestępstw – twierdzi Janusz Kowalski z Solidarnej Polski.

Osoby związane z zespołem Giertycha podkreślają, że sprawa rozgrywa się w typowym dla niego stylu. Mówią, że skłonił Mraz do publicznego wystąpienia głównie po to, żeby zmobilizować do pracy prokuraturę, która poza przeszukiwaniem domów polityków związanych z resortem sprawiedliwości niewiele robi. To podobno Giertych, równocześnie obrońca Mraza, namówił go na

REKLAMA

SUBTELNA, PORUSZAJĄCA, SŁODKO-GORZKA HISTORIA, KTÓRĄ NAPISAŁO SAMO ŻYCIE.

Ada d'Adamo była tancerką baletową, ale narodziny niepełnosprawnej córki Darii przed kilkunastoma laty przerwały jej karierę i całkowicie zmieniły jej życie.

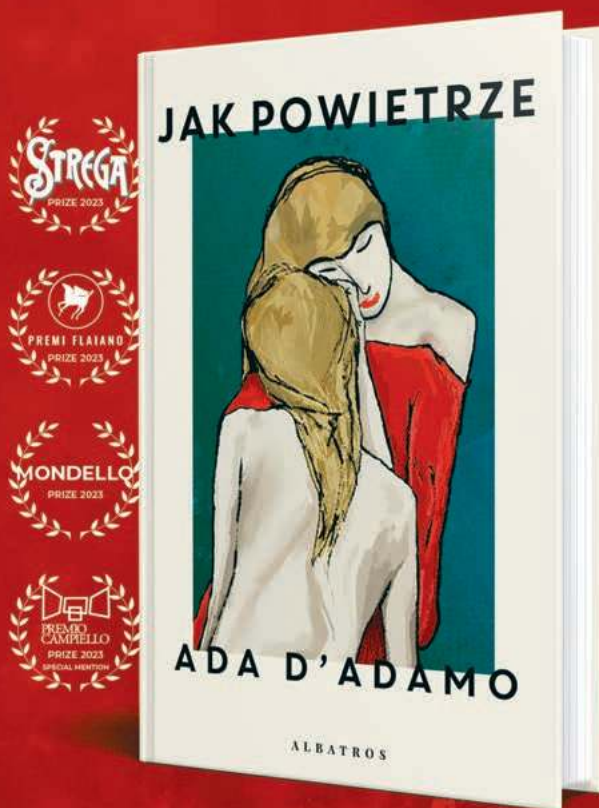
Jak wielkim ciosem w serce kobiety od zawsze pragnącej być matką było pojawienie się chorej dziewczynki?

Jak wielką tragedią jest w tej sytuacji wiadomość, że masz przed sobą ostatnie tygodnie życia, bo twoje ciało zżera rak?

Jak wiele może znieść porzucona kobieta, w czterech ścianach tocząca samotną walkę z niepełnosprawnością dziecka, własną chorobą i dramatyczną codziennością?

O najtrudniejszych sprawach najlepiej jest pisać zwięźle. D'Adamo w prostym, lecz poetyckim języku zawarła huragan emocji, który zapiera dech w piersiach.

**OPOWIEŚĆ O NADLUDZKIEJ SILE.
Z TEJ KSIĄŻKI BIJE BLASK
I WIELKIE PRAGNIENIE ŻYCIA!**



 WYDAWNICTWO ALBATROS

przybranie ekstrawaganckiego stylu, zakręconych wąsów itd. Dyrektor nie chciał ujawniać swojego realnego wizerunku w obawie przed reakcją społeczną.

To również mecenas uważany jest za źródło przecieku nagrań do mediów, które gromadził dyrektor Mraz, rejestrujący potajemnie swoich zwierzchników. Taśmy zaczął publikować Onet, a także TVP Info.

W granicach prawa

Giertych przekonuje, że to sam Mraz się do niego zgłosił, odpowiadając na apel, by urzędnicy związani z PiS, którzy mają dowody na przestępstwa, zgłaszali się do niego, a on im zapewni coś w rodzaju statusu „świadka koronnego”.

Nie byłby jednak sobą, gdyby znów nie dochodził do granicy tego, co dopuszczalne. Łączy bowiem rolę obrońcy Mraza z wykorzystywaniem go w życiu politycznym. „Nie widzę żadnej sprzeczności interesów. Działam w granicach prawa. Nie jestem posłem zawodowym, mam prawo reprezentować ludzi i to wykorzystuję. A to, że to jest nowy sposób na działalność społeczną – mamy specyficzną sytuację, jesteśmy po rządach takiego bezprawia, że wydaje mi się, że to jest zasadne” – tłumaczył Miron Olejnik.

Co dalej z karierą Giertycha? Przed powstaniem rządu Tuska jego nazwisko pojawiało się w kontekście obsady stanowiska ministra sprawiedliwości i dziś w KO można usłyszeć, że gdyby sprawa jego zarzutów została zamknięta, a napotykać na coraz większe polityczne rafy Adam Bodnar ustąpił, nie można wykluczyć i takiego scenariusza. To jednak głos zdecydowanej mniejszości.

Sam Giertych nie wypowiada się o przyszłości. Swoją przeszłość podsumował w „Gazecie Wyborczej”: „Jeżeli chce pani powiedzieć, że lata świetlne temu byłem innym człowiekiem niż teraz, to ma pani rację. Jestem jak dobre wino, im starsze, tym lepsze”.

Odpowiedź na pytanie, jaki smak ma polityka, którą od tych lat świetlnych uprawia – polityka przecieków, insynuacji, formalnych kruczków – zostawiamy Czytelnikom.

© PIOTR ŚMIŁOWICZ



PRZEMEK ŚWIDERSKI / REPORTER

Opuszczony plac budowy Elektrowni Jądrowej Żarnowiec. Krotoszyń, 30 lipca 2023 r.

Czekając na reaktor

MICHAŁ HETMAŃSKI, PREZES FUNDACJI INSTRAT:

Poprzednia władza wmawiała nam, że atomem zastąpimy węgiel. To było nawijanie makaronu na uszy. W Polsce te dwie ery – węgla i atomu – prawie się nie spotykają.

KRZYSZTOF STORY: „Zakładamy rok 2040 jako uruchomienie elektrowni jądrowej ostrożnością. Nasi poprzednicy zakładali rok 2032–2033 zbyt optymistycznie” – powiedziała minister przemysłu Marzena Czarnecka. I wywołała burzę, bo nagle, w zwykłym wywiadzie telewizyjnym, obwieściła opóźnienie największej inwestycji w kraju o siedem lat.

MICHAŁ HETMAŃSKI: Od razu trzeba powiedzieć, że ministra sprostowała swoją wypowiedź: miała na myśli, że w latach 2039–2040 zostanie uruchomiony ostatni z trzech reaktorów, które mają powstać w gminie Choczewo nad brzegiem Morza Bałtyckiego. A to w pierwotnym i nadal oficjalnie obowiązującym harmonogramie jest wpisane na rok 2037. Mówimy więc o trzech latach opóźnienia.

Co nie zmienia faktu, że to kolejna burza wokół atomu. Kilka miesięcy

temu wojewoda pomorska podała w wątpliwość sam wybór lokalizacji, wtedy dementowaniem zajęto się Ministerstwo Klimatu i Środowiska. Spróbujmy uporządkować ten chaos: na jakim etapie jesteśmy?

Przede wszystkim mamy wybraną pierwszą lokalizację i budowniczego – amerykańskie konsorcjum firm Westinghouse i Bechtel, z którymi podpisaliśmy już umowę na zaprojektowanie elektrowni. Wydane zostały decyzje administracyjne: zasadnicza, środowiskowa, lokalizacyjna. Trwają konsultacje i prace projektowe dotyczące inwestycji towarzyszących, choćby linii kolejowej.

Dużo planowania, zero budowania. Pierwotnie prąd z pierwszego reaktora miał popłynąć w 2033 r. To się prawie na pewno nie uda, a większość ekspertów mówi o 1,5–2 latach opóźnienia.



→ Które zrobiliśmy tylko na etapie uzyskiwania pozwoleń, kiedy „piłeczka” jest po stronie państwa.

Zmiana władzy pewnie nie pomogła.

Niestety. Jednak i poprzednia, i obecna władza ponad podziałami zgadzają się z sensem tej inwestycji. W teorii, bo w praktyce brakuje ciągłości decyzji i przekazywania informacji. Wybory nie są tu zresztą jedyną przyczyną, przy tak dużej inwestycji wychodzą też wszystkie słabości „Polski resortowej”. Oczywiście inwestorem jest jedna, specjalnie powołana przez państwo firma – Polskie Elektrownie Jądrowe – ale cały projekt wymaga współpracy kilku ministerstw, samorządów, rządowych agencji. I znowu okazało się, że dużo łatwiej znaleźć pieniądze na wielką inwestycję niż na pensje dla urzędników, którzy ją sprawnie i mądrze poprowadzą.

Brzmi to, jakby Polska była jakimś atomowym nieudacznikiem, niezdolnym do poprowadzenia naprawę dużej inwestycji.

Bo jest mnóstwo rzeczy, które możemy i powinniśmy robić lepiej, szybciej i sprytniej, ale trzeba też powiedzieć otwarcie: nie jesteśmy żadnym wyjątkiem. Zanim się ubiczujemy, zastanówmy się: gdzie atom buduje się szybko i sprawnie? W krajach autorytarnych i totalitarnych, gdzie nie ma żadnych konsultacji społecznych, a wszystkie analizy są „zamawiane pod tezę”. Dla nas punktem odniesienia nie powinny być Chiny czy Zjednoczone Emiraty Arabskie, tylko Europa, tu zaś dotrzymywanie terminów w branży atomowej jest rzadkością.

Warto przy tym wiedzieć, że czasami nam też coś wychodzi. W ciągu ostatnich lat zlikwidowaliśmy w Polsce prawie pół miliona zanieczyszczających powietrze „kopciuchów”. Rzadko tak o tym myślimy, ale administracyjnie to było wcale nie mniejsze wyzwanie niż budowa elektrowni jądrowej.

Było jasne, że nowy rząd najpierw musi porządnie rozsiać się

w fotelach, przejrzeć zostawione przez poprzedników papiery i dopiero działać dalej.

Ale od wyborów minęło już pół roku, chyba czas powiedzieć: sprawdzam.

Na ocenę rządu w kwestii tej konkretnej elektrowni moim zdaniem jest jeszcze za wcześnie. Wymieniono część załogi w Polskich Elektrowniach Jądrowych, nadal uzyskiwane są kolejne pozwolenia i decyzje, a wykonawca pracuje nad projektem. W międzyczasie wątek elektrowni jądrowej zaistniał podczas wizyty premiera i prezydenta w Stanach Zjednoczonych, co było kurtuazją i symbolicznym potwierdzeniem kursu, który obrała poprzednia władza. Dużym problemem jest na pewno brak komunikacji ze społeczeństwem, choćby szczerej rozmowy o opóźnieniach i aktualizacji harmonogramu. To jeden z największych projektów w kraju, wszyscy się na niego składamy, mamy prawo wiedzieć więcej.

Od strony inwestycyjnej zaś kluczowy będzie efekt negocjacji rządu z Brukselą oraz decyzji dotyczących modelu finansowania.

O co tu konkretnie chodzi?

W dużym uproszczeniu: kto i jak zapłaci za budowę siłowni oraz jak będzie rozliczany produkowany przez nią prąd.

Właścicielem będzie państwo.

W większości. Nam zależało również na tym, by część udziałów objął wykonawca: Westinghouse. Obecny wiceminister Miłosz Motyka mówił o 30 procentach, a tworzący podstawy tej inwestycji za rządów PiS Piotr Naimski – nawet o 49 procentach. Problem w tym, że Amerykanie zupełnie się do tego nie palą, wolą widzieć siebie jako budowniczego niż inwestora – z ich punktu widzenia to korzystne, ale czy z naszego? Rozważany był też model spółdzielczy, w którym do budowy dołożyłyby się np. energochłonne firmy, które potem mogłyby liczyć na tańszy lub darmowy prąd. Podobne rozwiązania były stosowane np. w Finlandii, ale

u nas to raczej mało prawdopodobne. Możemy też zapłacić sami, częściowo zaciągając zagraniczne kredyty. Dużą część pożyczki udzieli nam prawdopodobnie amerykański bank Exim.

Kluczowy jest etap, który właśnie trwa: negocjacje z Komisją Europejską dotyczące zaangażowania w inwestycję publicznych pieniędzy oraz sposobu sprzedaży prądu z tej elektrowni, bo to decyduje o rentowności inwestycji.

Jak to? Projektujemy elektrownię, w nadmorskim lesie w gminie Choczewo stoi już małe kontenerowe miasteczko, są odwierty geologiczne, a my nie mamy pojęcia, jak za to wszystko zapłacić? Nie powinno być na odwrót?

Moim zdaniem powinno, ale rządzący (obecni i poprzedni) wiele razy powtarzali, że w negocjacjach lepiej trzymać karty przy sobie do samego końca. Taką doktrynę wyznawał zwłaszcza najważniejszy człowiek ostatniej dekady w polskiej energetyce, Piotr Naimski, który od 2015 do 2022 r. był pełnomocnikiem rządu ds. strategicznej infrastruktury energetycznej. Dodatkowo: pamiętamy, jak napięte i politycznie rozgrywane były za rządów PiS relacje z Brukselą. Poprzedni rząd starał się więc budować energetykę w odezwaniu od unijnego prawodawstwa.

Dało się inaczej?

Tak. Polska postanowiła najpierw znaleźć partnera, a dopiero potem rozmawiać z Unią. Dokładnie odwrotnie robią właśnie nasi południowi sąsiedzi. 30 kwietnia Czechy dostały od Komisji Europejskiej zgodę na pomoc publiczną przy rozbudowie elektrowni jądrowej Dukovany. Państwo będzie mogło przez 40 lat sztucznie regulować cenę prądu generowanego w nowym reaktorze. Wiedząc to, dopiero teraz rozważają oferty poszczególnych wykonawców.

Cokolwiek na naszej taktyce zyskaliśmy?

Nie, a na pewno straciliśmy czas.

A czy sama umowa z Westinghouse i Bechtem jest dla nas korzystna?

Moim zdaniem nie, i to przez samą jej konstrukcję. Najbardziej zacięta dyskusja dotyczyła tego, kto ma być naszym partnerem – poza Amerykanami do wyboru

OGŁOSZENIE



NASZE DZIENNIKARKI i NASI DZIENNIKARZE goszczą co tydzień w „Światopodglądzie” radia Tok FM. Stuchaj nas, gdziekolwiek jesteś.

95,2 FM Gdynia | 95,8 FM Wrocław | 96,9 FM Opole | 97,4 FM Łódź | 97,4 FM Katowice | 97,7 FM Poznań

87,9 FM Gorzów | 88,2 FM Toruń | 89,2 FM Elbląg | 93,8 FM Lublin | 94,9 FM Kielce

www.tokfm.pl

mieliśmy jeszcze Koreańczyków i Francuzów. Tymczasem ja uważam, że podstawowym błędem jest nie to, z kim, ale na co się umówiliśmy.

Na zaprojektowanie elektrowni jądrowej z trzema reaktorami AP-1000.

No właśnie. Standardem w tej branży jest umowa „zaprojektuj i wybuduj”. My zatrzymaliśmy się w pół drogi i dopiero później będziemy negocjować kontrakt na samą budowę, obecna dotyczy tylko projektu. To niestety obciąża dodatkowym ryzykiem inwestora, czyli nas, a nie budującego.

Zbyt łatwo podłożyliśmy się Amerykanom?

Za dużo ryzyka bierzemy na siebie. Być może zdecydowały względy geopolityczne, ale patrząc na to z perspektywy biznesowej – ten kontrakt nie zabezpiecza dobrze polskich interesów, można było te ryzyka ukształtować inaczej, z korzyścią dla państwa.

Wielu z tych rzeczy już nie cofniemy.

Jakie są następne trudne zadania, już dla nowej władzy?

Pierwsze zostało zrealizowane: potwierdzenie, że elektrownia w Choczewie powstanie. Teraz jak najszybciej, najlepiej jeszcze w tym roku, powinniśmy dojść do porozumienia z Komisją Europejską – w ramach unijnej reformy rynku energii.

Tylko że konsekwentne popychanie tej jednej inwestycji do przodu nie jest ani najtrudniejszą, ani najważniejszą misją dla rządu. Elektrownia jest przecież tylko środkiem do celu.

Celem jest prąd w gniazdkach.

Prąd w gniazdkach, który jest stabilny, tani i nie zatruwa atmosfery.

Dzisiaj większość naszego miksu to nadal węgiel, choć jego udział spada szybciej, niż przewidywały jakiegolwiek rządowe prognozy. Atom ma zastąpić węgiel?

To nawijanie makaronu na uszy, tak nam wmawiała poprzednia władza. U nas węgiel umrze, zanim atom zdąży przyjąć na świat. I to umrze dosłownie – w najbliższych pięciu latach czeka nas fala wyłączeń starych węglowych „trupów”, które odejdą na zasłużoną techniczną emeryturę. Te, które nie zostaną



ARCHIWUM PRYWATNE

MICHAŁ HETMAŃSKI jest prezesem zarządu i współzałożycielem Fundacji Instrat. Ekspert w zakresie polityk publicznych, polityki energetyczno-klimatycznej, modelowania rynku energii, energetyki i górnictwa.

wyłączone, i tak będą pracować na pół gwizdka. Skończy się też możliwość wspierania prądu z węgla publicznymi pieniędzmi. Tymczasem realną datą uruchomienia pierwszych reaktorów są późne lata 30. Era atomu i era węgla w Polsce prawie się nie spotykają.

Co zatem nas czeka? Najnowszy raport Polskich Sieci Energetycznych mówi, że w 2026 roku w krajowym systemie zabraknie ponad 4 GW mocy. To więcej niż trzy reaktory, które mają powstać nad Bałtykiem.

Wiele procesów będzie działało się równolegle. Po pierwsze: czasem będziemy się ratować importem energii od sąsiadów. Po drugie: w energetyce można regulować nie tylko podaż, ale też popyt. Takie mechanizmy nazywają się zbiorczo Demand Side Response i już teraz Polska z nich korzysta. Mówiąc w bardzo dużym uproszczeniu: dzwoniemy do firmy, która pobiera dużo prądu, i płacimy lub w jakiś inny sposób wynagradzamy jej to, że obniży zużycie albo przesunie je np. na godziny nocne, kiedy sieć nie jest nawet w połowie tak obciążona. W starych czasach telefony poza szczytem były tańsze – brzmii podobnie.

Po trzecie: będziemy nadal rozwijać OZE, które już dawno przestało być marginesem naszej energetyki. W kwietniu

jedna trzecia prądu w Polsce pochodziła z wiatraków i fotowoltaiki. I wreszcie po czwarte: węgiel częściowo zastąpimy gazem. Gdy rozmawiamy, powstaje kilka dużych inwestycji w tym sektorze. PGE rozbudowuje elektrownie Dolna Odra i Rybnik, prywatna firma ZE PAK tę w Adamowie, a Orlen stawia nowe bloki w Grudziądzu i „słynnej” Ostrołęce. Decyzje o ich budowie zapadły w zaciśniętych gabinetach poprzedniego rządu i realizują je głównie spółki Skarbu Państwa.

Jedno paliwo kopalne wymienimy na inne.

Można tylko rozłożyć ręce i jeszcze raz powtórzyć, że polskie władze przeżyły transformację energetyczną. Czasu nie cofniemy.

Jaka w tym wszystkim rola atomu?

Pomocnicza i stabilizacyjna – na kiedyś. Z naszego modelowania wynika, że już w momencie odpalenia pierwszego reaktora podstawą naszego miksu energetycznego będą OZE, dla których niezależny od pogody atom może być cennym wsparciem. Powtórzę: uzupełnieniem, a nie filarem, jak często mówiła poprzednia władza.

W naszym raporcie pokazujemy ścieżkę do 2040 roku z założeniem budowy dwóch elektrowni jądrowych po 3 GW każda (proces drugiej inwestycji dopiero się zaczyna). Nawet przy tak dużych inwestycjach w atom ponad 75 procent prądu będzie pochodzić z wiatru i słońca.

Trzy czwarte z OZE? A co, jak nie będzie wiać i świecić? Przecież będziemy potrzebować coraz więcej prądu, jeśli chcemy elektryfikować nasze samochody, instalować pompy ciepła i klimatyzatory.

Dlatego tytuł raportu, o którym wspominałem, brzmi „Polska prawie bezemisyjna”. Pamiętajmy, że energetyka będzie coraz bardziej dynamiczna. W momentach szczytowego zapotrzebowania będziemy dopalać gazem, a może i węglem. To szczegół techniczny, ale umiemy zbudować takie bloki, które są mniej wydajne, jednak można je bardzo sprawnie włączać i wyłączać. Te „misje specjalne” to będzie około 5-10 procent całego prądu w kraju. 90 procent możemy produkować bez martwienia się o klimat i opłaty →

→ za emisję – dzięki połączeniu OZE i właśnie atomu.

Często słyszymy bardzo radykalne oceny: albo OZE, albo atom. To fałszywa alternatywa, te technologie mogą i powinny ze sobą współpracować. Ale to raczej atom będzie wsparciem dla OZE niż odwrotnie.

Ile musimy takich elektrowni jądrowych zbudować?

Bardzo długo słyszeliśmy, że 9 GW (trzy razy tyle co w Choczewie) to nie małe polska racja stanu.

Znowu wracamy do postaci Piotra Naimskiego. To była chyba jego ulubiona liczba.

Jego pracy zawdzięczamy gazociąg Baltic Pipe i program jądrowy. Miał na nie bardzo duży wpływ, ale niektóre z tych założeń wymagają ponownego rozważenia. Wydaje się, że zamiast na siłę mnożyć „przyszłe gigawaty” w atomie, mamy dużo pilniejsze zadania. Nie mówię, że na pewno nie potrzeba większej ilości, bo jeszcze weryfikujemy tę tezę w naszych badaniach i modelu. Trzeba przypilno-

Już w momencie odpalenia pierwszego reaktora podstawą naszego miksu energetycznego będą OZE, dla których niezależny od pogody atom **może być jedynie cennym uzupełnieniem.**

wać budowy tych dwóch elektrowni, które mamy w planach, a zarazem rozwijać sieci energetyczne i planować system, także od strony klienckiej – choćby tworząc strefy ekonomiczne blisko nowych elektrowni. No i oczywiście należy zadbać o rozwój OZE, bo to one – zwłaszcza wiatraki na morzu i lądzie – będą filarem na najbliższe lata.

Już dzisiaj wyłączamy OZE, po to by nie trzeba było gasić gazowych i węglowych pieców. Według rzado-

wych dokumentów podobnie ma być z atomem, który ma pracować pełną parą.

To nieodpowiedzialne. Dlatego tak kluczowe jest mądre określenie zasad i ceny sprzedaży prądu z elektrowni jądrowej, tak by nie dominowała rynku. Atom nie może – i nie musi – powstać kosztem OZE. Będziemy też potrzebowali magazynów energii oraz przede wszystkim mądrego regulatora, który zbuduje system elastyczny, sprawnie reagujący na zmiany w pogodzie i zapotrzebowaniu na prąd.

Musimy pamiętać, ile w tej dyskusji jest do wygrania, i to niezależnie, czy trafiają do nas argumenty klimatyczne. To są miliardy rocznie oszczędności w samej energetyce, nie mówiąc o wpływie na kondycję całej gospodarki. Już dziś produkcja wielu towarów wynosi się z Polski ze względu na ceny energii. Żyjemy w świecie, w którym „brudny” prąd to też drogi prąd. Za 10 lat to przecież nie zniknie, tylko się pogłębi. Mówiąc wprost: przebudowa energetyki nie będzie łatwa. Jest za to nieunikniona.

©© Rozmawiał KRZYSZTOF STORY

REKLAMA

Szukamy Najlepszych z Najlepszych!



**Nauczyciel Roku 2024
i Nauczyciel Jutr@**
Można już
zgłaszać
kandydatów!

głosnauczycielski





ABACA PRESS / FORUM

Linia montażowa Thermomixu we francuskiej fabryce firmy Vorwerk Semco w Cloyes-sur-le-Loir, czerwiec 2021 r.

Thermozagadka

MAREK RABIJ

Posiadanie robota kuchennego to nie najlepszy wyznacznik przynależności do klasy średniej. Chyba że – jak w przypadku thermomiksa – jego cena przekracza wysokość średniej krajowej pensji.

W POLSKICH MEDIACH MOŻNA ZNALEźć wiele artykułów o produktach, pisanych pod dyktando producenta, który płaci i wymaga. Tym razem jest inaczej. To autor zapłacił producentowi.

Thermomiks kupiłem osiem lat temu, obejrzawszy wcześniej w domu obowiązkową prezentację jego rzekomej kulinarnej omnipotencji. Jednak niemieckie urządzenie nie na długo wdarło się w moją codzienność w postaci systematycznego przyrządzania killkudaniowych posiłków, ani nawet częstego używania go do siekania, blendowania czy duszenia na parze. Z czasem thermomiks spowszedniał mi do tego stopnia, że w końcu za karę trafił do kuchennego kąta. Niepokojąco regularne stały się za to telefony i esemesy od przedstawicielki handlowej, która postanowiła iść za ciosem i spróbować wpłynąć na życie moich krewnych i znajomych.

Zakup thermomiksa osobiście uważam za turbopomyłkę, ale rozumiem motywację setek tysięcy polskich konsumentów, którzy tylko w ubiegłym roku wydali na ten sam cel równowartość 290 milionów euro – kwotę niższą jedynie od przychodów ze sprzedaży robota na ojczystym rynku producenta, czyli nie-

mieckiej firmy Vorwerk. Wielu z nas zapewne nie wyobraża już sobie codziennej rutyny bez udziału tej maszyny.

Wdawanie się w rytualną przy takich okazjach dyskusję, co dostajemy tak naprawdę w zamian, pominę. Ciekawsza może być próba odpowiedzi na pytanie, co kryje się za polskim thermofenomenem – zwłaszcza że sam producent urządzenia w kreowaniu jego wizerunku jest dość oszczędny. Reklam thermomiksów nie ma w mediach głównego nurtu, a po bieżne przeczesanie Youtube'a każe przypuszczać, że to samo dotyczy świata internetowych celebrytów. Mało tego, Vorwerk nawet na własnej stronie zaczyna porównanie wad i zalet thermomiksa od tych pierwszych. Wszystko to ma stworzyć wrażenie obcowania z wyjątkowo „uczciwym” produktem, który w przeciwieństwie do innych elektrogadżetów oferuje dokładnie to, co naprawdę jest w stanie dać nabywcy.

O tym, że to niezupełnie zgodne z faktami, klienci orientują się dopiero po zakupie, gdy już zauważą, jak wiele dodali od siebie do bają przedstawicieli handlowych, niemal ostatnich na tym świecie członków plemienia komiwojażerów.

Warzywa na fakturę

Kto w dorosłość wchodził w latach 90. zeszłego stulecia, z pewnością pamięta zastrępy rycerzy tak zwanego marketingu wielopoziomowego, usiłujących wciągnąć kogo tylko się da w sieć sprzedaży bezpośredniej. Kosmetyki i środki czystości, naczynia i sprzęt AGD, książki, ubezpieczenia, nawet kursy językowe – rzeczywistość była wtedy usłana pseudookazjami, które w dokładniejszym oglądzie niemal zawsze okazywały się pułapką. Wspólnym mianownikiem tamtych ofert była też równoczesna, lecz tak naprawdę pozorna próba rekrutacji do pracy, dobra mocno reglamentowanego w epoce wczesnego Balcerowicza. „Konsultanci” i przedstawiciele handlowi w rzeczywistości byli tylko klientami firmy, drobnicą w jej łańcuchu pokarmowym, choć przekonywano ich, że łatwo i szybko się wzbogacą, jeśli znajdą kolejnych uczestników tego łańcuszka szczęścia.

Sądząc po wpisach byłych i aktualnych przedstawicieli handlowych Vorwerku w serwisach dla osób szukających pracy, a także po oficjalnych informacjach z samej firmy, elementy tamtej kultury nadal tkwią w systemie jej wynagrodzeń. Kandydatów na sprzedawców thermomiksów kusi się brakiem górnego limitu zarobków, zwykle przemilczając fakt, że również dolny nie współgra z zainwestowanym czasem pracy i w końcu może się okazać, że nie starczy nawet na ZUS. Na handlowców spadają też koszty dojazdów do klientów oraz... koszt zakupu produktów spożywczych używanych podczas prezentacji urządzenia u klienta. Część handlowców deklaruje jednak zadowolenie z systemu premiowego, który pozwala im regularnie inkasować spore kwoty za – jak sami podkreślają – bardzo ciężką, a czasem też niewdzięczną pracę.

Niemiecka chemia

Działając w takich warunkach, 10 tysięcy polskich handlowców Vorwerku sprzedało jednak w ubiegłym roku – jak wynika z informacji przekazanych przez samą firmę serwisowi Business Insider – 232 tysiące thermomiksów. Na statystycznego przedstawiciela przypadły zatem niespełna dwa urządzenia miesięcznie. Thermobiznes z pewnością nie jest więc zajęciem dla osób źle znoszących ostrą konkurencję, bo choć Polska

→ jest dziś drugim po Niemczech rynkiem zbytu dla tych urządzeń, nie oznacza to, że klienci walą drzwiami i oknami.

Sprawozdanie roczne Vorwerku przynosi też informację o gigantycznym wzroście zainteresowania polskich konsumentów drugą wunderwaffe ze stajni tej firmy – odkurzaczem Kobold. Urządzenie również trudno nazwać tanim, w zależności od konfiguracji zestawu kosztuje od 6,6 do ponad 16 tysięcy złotych, ale w 2023 roku nie przeszkodziło to polskiemu przedstawicielstwu producenta zwiększyć jego sprzedaż w ujęciu wartościowym aż o 211,2 proc. Sprzątanie nadwiślańskiego kurzu zapewnia firmie Vorwerk 5 milionów euro rocznie, i przy takiej dynamice sprzedaży Polska już za parę lat może stać się dla niej jednym z kluczowych rynków zbytu odkurzacza. Zapotrzebowanie na koboldy w skali globalnej urosło jednak w zeszłym roku ledwie o 4,5 proc.

Powyższa garść informacji z raportu rocznego pokrywa się z innymi danymi z polskiego rynku, z których wynika, że motorem napędowym naszej gospodarki jest dziś przede wszystkim konsumpcja. Zwłaszcza dóbr luksusowych. Jak podaje firma badawcza Samar, w 2023 roku niemal co czwarty nowo rejestrowany samochód należał do którejś z marek premium. Głównie niemieckich. Na drogach przybyło między innymi 4281 nowych porsche, aż o 553 więcej od znacznie tańszych, a swego czasu dominujących u nas fiatów. Łączna sprzedaż modeli ze stajen Ferrari i Lamborghini przewyższyła zaś popyt na wszystkie tanie auta chińskich producentów. W tym kontekście nie dziwią więc również puchnące polskie wydatki na thermomiksy czy koboldy.

Wysoka inflacja zrzuciła z konsumpcyjnej karuzeli najgorzej sytuowanych Polaków, którzy lwia część dochodu muszą wydawać na rachunki i żywność. Ci, którzy się na niej utrzymali, dzięki rosnącym pensjom dysponują za to budżetami coraz bliższymi zachodnioeuropejskim, one zaś pozwalają częściej sięgać



„Higiena w domu”,
niemiecka reklama z 1956 r.

TV-YESTERDAY WOLFGANG MARIA WEBER / INTERFOTO / FORUM

Pęczniejąca lista
potencjalnych zastosowań
thermomiksa odsłania
potrzebę racjonalizowania
sensowności
zakupu urządzenia,
które kosztuje krocie,
**ale jest tylko zwykłym
robotem kuchennym.**

po produkty będące symbolami statusu. Zwłaszcza gdy widnieje na nich napis „made in Germany”. Trzydzieści pięć lat po upadku żelaznej kurtyny, która także europejskich konsumentów dzieliła na dwie kategorie, przekonanie o solidności niemieckich produktów ma się w Polsce, jak widać, całkiem dobrze.

Makłowicz z pokrywką

Popularność thermomiksów może zwiastować nadchodzącą wielkimi kro-

kami zmianę polskich obyczajów kulinarnych. Większość analiz tego tematu kończy się tą samą z grubsza konkluzją: w wielkich miastach co rusz błyskają kulinarne efemerydy w postaci mody to na falafel, to na curry, i tak będzie też w przyszłości, choć dieta przeciętnego Polaka nie przestanie rządzić menu, w którym bez trudu odnaleźliby się jego pradziadkowie. Wymyślonymu przez miłośników wurstu i choucroute’a thermomiksowi polska kuchnia również nie strasza, ale statystycznego odbiorcę powinien bardziej interesować bodaj najważniejszy dodatek do niemieckiego robota, jakim stała się platforma Cookidoo, czyli serwis internetowy z tysiącami dań z całego świata, dla wygody przełożonymi na prosty system miar i receptur thermomiksa. Nie wiedząc nic o kuchni bengalskiej, można z jego pomocą sporządzić przyzwoite *biryani*, a sięgając po przepisy z Kolumbii – ugotować smaczną zupę *ajjaco*. Z serwisu korzysta dziś ponad 5 milionów użytkowników z całego świata, a rosnąca sprzedaż thermomiksów w Polsce może dowodzić, że także w oczach coraz większej liczby rodzimych konsumentów niemiecki robot zyskuje kolejną cenną funkcję: staje się odpowiednikiem Roberta Makłowicza z pokrywką.

Lektura krajowych forów i stron poświęconym thermomiksowi często owocuje niezwykłymi odkryciami. Okazuje się na przykład, że z jego pomocą można sobie zrobić... inhalację! W tym celu należy wlać do urządzenia „1000 ml czystej wody” (litr brzmiałby tu zapewne zbyt trywialnie), dodać olejki eteryczne, włączyć tryb gotowania na parze i pochylić się nad garem z głową przykrytą ręcznikiem. Instrukcja nie wspomina, że to samo można sobie zaaplikować za pomocą właściwie dowolnego naczynia kuchennego, ale to akurat łatwo zrozumieć. Pęczniejąca lista potencjalnych zastosowań thermomiksa ilustruje bowiem powszechną wśród jego właścicieli potrzebę racjonalizowania sensowności zakupu urządzenia, które kosztuje krocie, ale pozostaje wciąż tylko zwykłym robotem kuchennym. W tej logice *à rebours* na drugi plan schodzi pytanie, czy to, co planujemy zrobić w kuchni, można wykonać prościej i szybciej w inny sposób. Liczy się tylko fakt, że da się to zrobić również thermomiksem.

© P MAREK RABIJ



**DZIENNIKARZE I AUTORZY
„TYGODNIKA”** co tydzień
są gośćmi Roberta Łuchniaka
w Polskim Radiu RDC. Audycję

można także odsłuchać w podkastach na stronie internetowej radia www.rdc.pl

Warszawa 101 FM | Ostrów Maz. 87,6 FM
Radom 89,1 FM | Ostrołęka 100,8 FM
Płock 101,9 FM | Siedlce 103,4 FM

TOMASZ

Stawiszyński: *Tamci to agenci*



LUDZIE PRZEZ LATA BĘDĄCY W CENTRUM krajowej polityki, a przy tym deklaracyjnie antyrosyjscy, od początku wojny aktywnie wspierający Ukrainę, to w istocie rosyjska agentura, „płatni zdrajcy, pacholki Rosji” (pamiętacie jeszcze, kto pierwszy użył tej frazy?).

Powtarzają to dzisiaj już nie tylko publicyści o specyficznych zapatrywaniach. Nie tylko dziennikarze, którzy swoich sensacyjnych odkryć dokonują za pomocą Google’a i autorskich interpretacji dokumentów dostępnych w IPN, a następnie wpasowują te interpretacje w spekulacyjne *perpetuum mobile*, w którym wszystko potwierdza z góry przyjętą tezę – niezależnie od tego, czy faktycznie potwierdza, czy też raczej dokładnie na odwrót. Powtarzają to już nie tylko byli oficerowie służb – ewidentnie rozgrywający za pośrednictwem mediów jakieś swoje porachunki z politykami – którzy świetnie wiedzą, jak przeplatać zdania uzasadnione z nieuzasadnionymi, uprawnione wnioski z insynuacjami i aluzjami. Nie tylko alternatywne kanały na YouTube, konta twitterowe o egzotycznie brzmiących nazwach, niszowe grupy zapaleńców.

Powtarzają to dzisiaj także oficjalne spoty wyborcze partii rządzącej. Pierwszoplanowi politycy, szczycący się swoją racjonalnością, którzy jeszcze do niedawna drwili ze spiskowych elukubracji oponentów, słusznie piętnowali brutalność sfery publicznej, ostrzegali przed eskalacją symbolicznej, a może i bezpośredniej przemocy. Bo przecież do tego właśnie prowadzi rozpowszechnianie się w polityce „stylu paranoidalnego”, co wiadomo przynajmniej od 1964 r., kiedy to Richard Hofstadter opublikował słynny esej „The Paranoid Style in American Politics”.

Logikę obowiązującą w tym stylu najdobitniej ujmuje tytuł znanej polskiej piosenki: „Im więcej ciebie, tym mniej”. Im bardziej ktoś coś robi – głosi ta logika – tym bardziej tak naprawdę robi coś przeciwnego, to zaś, co robi jawnie, służy wyłącznie odwróceniu uwagi od tego, co się wydarza w ukryciu. Przy czym te sekretne działania są kamuflowane tak skutecznie, że ich rzeczywiście nie widać, w szczególności brak na nie bezpośrednich dowodów. Ale to nic nie szkodzi, mocniejsze bowiem od bezpośrednich dowodów są oparte na wspomnianej logice rekonstrukcje. Zatem działania oraz wypowiedzi świadczące o tym, że ktoś zajmuje dane stanowisko, traktowane są jako argumenty świadczące wprost, że w istocie zajmuje stanowisko odwrotne. To pierwsze – powiada się – jest przeciwne drugiemu dokładnie po to, żeby drugie pozostało tajne. Nic nie

szkodzi więc, że go nie widać – właśnie dlatego wiemy dobrze, że jest.

W ten sposób się jednak sprawy mają wyłącznie po drugiej stronie barykady, gdzie mieszkają „oni”. Te same albo podobne zachowania czy przekonania, które po „naszej” stronie przyjmowane są jako coś oczywistego i niebudzącego podejrzeń, po drugiej stronie automatycznie tracą niewinny charakter. Na przykład: jeśli „oni” wchodzi w jakiś polityczny alians (dajmy na to – głosują w UE razem z Węgrami i Słowacją przeciw reszcie) albo jeśli „ich” wypowiedzi lub tweety cytowane są z satysfakcją przez wrogie mocarstwo – jest to traktowane jako bezsporne świadectwo „ich” podwójnej, agenturalnej natury. Jeśli zaś w taki sam alians wchodzimy „my” albo jeśli to „nasze” tweety cytuje, założyłmy, przedstawiciel Rosji w ONZ – cóż, to po prostu polityka, życie, konieczność racjonalnych kompromisów albo wyjątkowa złośliwość spotykająca ludzi krystalicznie uczciwych. Jest to definicyjna cecha spiskowego myślenia, gdzie to, co ma być dopiero dowiedzione („to są na pewno agenci”), zakłada się zaraz na początku. A potem już każda przesłanka pracuje na rzecz tego założenia. Jeśli natomiast założenie jest inne („to na pewno nie są agenci”) – ta sama przesłanka pracuje posłusznie w jego służbie.

Wszystko to świadczy o jednym – w ostatnich latach myślenie spiskowe przeniknęło na dobre do głównego nurtu polskiej polityki. Również za sprawą tych, którzy obiecywali, że kiedy dojdą do władzy, natychmiast ów proces odwrócą. Niezależnie od tego, czy dowodzi to specyficznej niefrasobliwości, czy braku wyobraźni, czy też może cynizmu – skutki będą, już są, oplakane. Nie tylko dlatego, że myślenie spiskowe oddala od rzeczywistości, zamienia przeciwników politycznych w przerażające karykatury, a tym samym poraża naszą zdolność do rozumienia świata, siebie i innych. Nie tylko dlatego, że pogłębia polaryzację i wyswobadza konflikt polityczny z wszelkich skrępułów. Ale także, a może przede wszystkim dlatego, że rozmontowuje granice pomiędzy realnością a wyobraźnią, która dostaje się tym samym pod władzę nieświadomości, resentymentów i stereotypów.

Jak to oddziałuje na jakość życia politycznego oraz społecznego? Jakie przyniesie skutki dla wspólnoty, w której wszak żyją zarówno zwolennicy PiS, jak i zwolennicy PO – i tak już skrajnie ze sobą skłóceni, i tak nawzajem oskarżający się o wszelkie możliwe bezeceństwa? Czy ktoś zadaje dziś sobie w ogóle takie pytania? W każdym razie jest to z pewnością okoliczność radośnie witana przez tych, którym zależy na intensyfikowaniu chaosu. W sensownie działającej demokracji instytucje medialne, polityczne i naukowe stanowią naturalne sito odławiające teorie spiskowe, paranoidalne fantazje oraz treści podszywające się pod rzetelną analizę. W stanie chaosu natomiast nic nie jest do końca rzeczywiste, a rzeczy nie są tym, czym się wydają. I dlatego propaganda rozwija się tam bez żadnych ograniczeń, a konflikty eskalują bez końca. Niestety, w tym właśnie miejscu się obecnie znajdujemy. Obawiam się, że na razie bez szans na odnalezienie bezpiecznej drogi wyjścia. ©

PRZYWRACAMY WIARĘ W LUDZI

DOBROŚŁAWA GOGŁOZA,
DYREKTORKA ZARZĄDZAJĄCA SERWISU POMAGAM.PL:

Osoby, które zostały już darczyńcami, będą częściej i dużo chętniej dawać innym osobom, i to na różne cele. Rozwijamy ekonomię wzajemnego wspierania, staramy się tworzyć społeczeństwo, które jest gotowe wspierać zbiórki w przeróżnych obszarach.

Dobrosława Gogłóza – dyrektorka zarządzająca serwisu Pomagam.pl oraz prezeska Fundacji Pomagam.pl. Założycielka i wieloletnia prezeska Stowarzyszenia Otwarte Klatki. Dwukrotna laureatka amerykańskiego grantu The Pollination Project, przyznawanego osobom i projektom, które przyczyniają się do budowania zrównoważonego i sprawiedliwego świata. W 2023 roku założyła serwis Doing Good, który pomaga znaleźć pracę zmieniającą świat na lepsze.



KINGA DAWIDOWICZ: Spot kampanii Pomagam.pl brzmi: „Jutro to mogę być ja i poproszę o pomoc. Bez wstydu. Nie oceniam, pomagam”. Dlaczego tak trudno prosić nam o pomoc?

DOBROŚŁAWA GOGŁOZA: Żyjemy w świecie, w którym każdy chciałby być samowystarczalny. Pomoc wymaga przyznania się przed sobą, a też przed światem, że być może ponieśliśmy porażkę jako osoby dorosłe, które powinny być w stanie absolutnie wszystko sobie same zagwarantować. Myślę, że to może być szczególnie ciężkie w przypadku rodziców, którzy proszą o wsparcie dla swoich dzieci. Zakładamy, że rodzic zawsze powinien być w stanie utrzymać swoje dziecko, zapewnić mu bezpieczeństwo. Musimy sobie wprost powiedzieć, że to fikcja. Kiedy zdarzają się sytuacje naprawdę trudne, bardzo często nie ma wielu ludzi, którzy są w stanie samodzielnie wysupłać duże sumy. Szczególnie jeżeli leczenie kosztuje na przykład pół miliona złotych. Pojawia się wtedy często poczucie porażki, ale wydaje mi się, że to jedynie kreacja w naszej głowie. Oceniamy samych siebie niezwykle surowo, myślimy, że coś z nami jest nie tak, podczas gdy jedyne, co się wydarzyło, to sytuacja trudna i niesprawiedliwa.

I przede wszystkim niezawiniona.

Tak, nie zasłużyliśmy na chorobę czy na pożar mieszkania. Tworząc tę kampanię, chcieliśmy zderzyć się z krzywdzącymi przekonaniami. Tym, co obserwujemy, jest właśnie radość dawania, dzielenia się. Paradoks polega na tym, że nawet jeżeli faktycznie początkowo czujemy wstyd, boimy się prosić o pomoc, to gdy odważymy się w końcu wyjść do świata i powiedzieć, że potrzebujemy wsparcia, budzi to zazwyczaj u innych sympatię.

Komu łatwiej jest prosić o pomoc?

Zdecydowanie najłatwiej prowadzić zbiórki organizacjom pozarządowym, ponieważ zakładamy wtedy maskę profesjonalizmu, instytucji. Bardzo często nie prosimy wówczas dla siebie, tylko dla kogoś innego, choćby dla zwierząt czy innej osoby. Zawsze kiedy musimy prosić o wsparcie dla siebie, jest trudniej. Wyjątkiem jest może sytuacja zero-jedynkowa, ekstremalna. Wówczas częściej odczuwamy wewnętrzne przyzwolenie na proszenie o pomoc.

Jesteśmy usprawiedliwieni przed sobą i innymi.

Z rozmów z naszymi użytkownikami czy ich bliskimi, którzy rozważali założenie zbiórki, wynika, że dużo osób zadaje sobie pytanie, czy ich sytuacja jest wystarczająco trudna. A tu nie ma obiektywnej miary. W samodzielnym podjęciu takiej decyzji widzę też poszukiwanie wewnętrznej siły, zaufania sobie i swoim własnym potrzebom. Jeżeli faktycznie dana sytuacja życiowa przerasta nasze możliwości radzenia sobie z nimi, to nie powinniśmy szukać jakiegoś zewnętrznego sędziego, tylko po prostu zaufać sobie i swoim odczuciom. Przyznać, że jednak przestajemy sobie z czymś radzić. W tym przypadku po prostu finansowo.

Najczęściej prosimy o wsparcie w sytuacji, w której dotyczą nas choroby, kataklizm, niespodziewane nieszczęście. Istnieją jednak też zbiórki, które pozwalają nam zrealizować swoje marzenia czy długo odkładane plany. Czy obserwujesz tutaj jakieś zmiany?

Zwiększa się liczba zbiorów na rzecz zwierząt. To może nawet nie tyle kwestia różnic w podejściu do wstydu, co w ogóle w naszym podejściu do zwierząt. Dzisiaj mamy zdecydowanie więcej psów i kotów niż

kiedyś, ale też traktujemy je faktycznie jak członków rodziny. W momencie, kiedy zwierzę zaczyna chorować, nie pozbywamy się problemu, ale troszczymy się o naszego pupila. W kwestii zbiorów na realizację marzeń i projektów spotykam się z dużo większymi oporami.

Ponieważ towarzyszy nam poczucie, że są ważniejsze sprawy?

W takiej sytuacji mówię: pozwól innym zdecydować. Ludzie, którzy wpłacają na chore dziecko, są często gotowi wesprzeć twórcę, którego lubią i cenią. Darczyńca nie tylko pomaga, ale czasami głosuje za światem, w którym marzy mu się żyć. Jeżeli nie komunikujemy tego, że na coś potrzebujemy pieniędzy, to skąd darczyńca ma o tym wiedzieć?

To wynika zapewne również z przekonania, że dając jednej osobie, być może zabierasz drugiej.

Tak, wydaje mi się, że przy takich projektach zdarza się poczucie, że odbierasz pieniądze dzieciom, ale jest to zupełna nieprawda. Istnieją badania związane z crowdfundingiem, które pokazują, że najtrudniej przekonać darczyńcę do ofiarności po raz pierwszy. Osoby, które zostały już darczyńcami, będą częściej i dużo chętniej dawać innym osobom, i to na różne cele. Nie stwarzamy sytuacji niezdrowej rywalizacji. Raczej rozwijamy ekonomię wzajemnego wspierania, staramy się tworzyć społeczeństwo, które jest gotowe wspierać zbiórki w przeróżnych obszarach. Tego rodzaju crowdfunding posiada bardzo długą historię. Mało osób pamięta o tym, że na przykład Statua Wolności została opłacona dzięki zbiórkom społecznym.

Na finansowanie społeczne można spojrzeć też jak na inwestycję. To, co przekazujemy, potem często wraca do nas ze zdwojoną siłą.

Pomagam.pl jest narzędziem do budowania pewnego rodzaju wspólnotowości, w której możemy wspierać zarówno potrzeby jednostek kreatywnych, jak i osoby znajdujące się w kryzysowej sytuacji. Chcemy budować pewnego rodzaju siatkę społeczną, która sprawia, że jak będziesz kiedyś spadać, to będzie cię ona w stanie złapać.

Poza wsparciem materialnym można również otrzymać duże wsparcie psychiczne. Czujemy, że ktoś nam kibicuje i życzy dobrze.

Bardzo często osoby, które decydują się pomimo wstydu na założenie zbiórki, dostają później bardzo dużo wsparcia, potwierdzenia, że było warto. Startując z tą kampanią, chcieliśmy trochę o tym opowiedzieć. Myśl o proszeniu innych o pomoc często wywołuje poczucie porażki i wstydu, ale jeżeli popatrzymy na to oczami darczyńcy, to bardzo często stwarza to komuś okazję, żeby odnowić z tobą kontakt, powiedzieć, że cię podziwia i zawsze cię wspierał. Myślę, że to może być przełamanie tego wypolerowanego wizerunku, który często stwarzamy w mediach społecznościowych.

Pokazanie innej części siebie. Nie tylko tej wyidealizowanej.

Momenty odsłonięcia się są niezwykle cenne, ponieważ zazwyczaj nie lubimy tego robić – ale jeżeli już zbierzemy się na odwagę, to właśnie okazywanie słabości umożliwia budowanie zaufania i autentycznych relacji.

A co z zarzutem, że działania, którymi zajmuje się Pomagam.pl, osłabiają i zdejmują odpowiedzialność z państwa czy samorządów?

Całkowicie się zgadzam, że powinniśmy oczekiwać od państwa opieki. Wydaje mi się jednak, że jest miejsce zarówno dla biznesu, jak i dla państwa. Jestem po prostu przekonana, że nigdy nie będziemy w takiej sytuacji, w której np. samorządy będą w stanie przynieść rozwiązanie wszystkich problemów. Widać to na przykładzie społeczeństw rozwijających się. Obywatele potrzebują tam wsparcia nawet w przypadku bardzo prostych chorób, które często w krajach rozwiniętych już nie stanowią problemu. Z drugiej strony, im kraje bogatsze, tym więcej jest tych potrzeb. Powiedzmy, że zaspokajamy je instytucjonalnie, a dzięki temu możemy się starać o rozwiązywanie takich problemów, które czasem nam umykają. Przykładem może być wsparcie zdrowia psychicznego. Jestem mocno przekonana, że zawsze będziemy potrzebowali współpracy sektora publicznego i prywatnego – i obywateli w ogóle.

Zbiórki zatem uczą nas dbania o siebie, zaradności. Zyskujemy przy tym poczucie sprawczości, budujemy społeczne więzi.

Zorganizowanie dobrej zbiórki wymaga często naprawdę dużego zaangażowania i komunikowania się z ludźmi, np. lokalnymi mediami. Rozwija to poczucie odpowiedzialności za sytuację, w której się znaleźliśmy, motywuje do szukania rozwiązań.

Co nam dają kryzysowe sytuacje?

Jeżeli przejdziemy przez trudne wydarzenia, często zostajemy z poczuciem, że możemy przenosić góry. Zjawisko obserwowane w psychologii – *post-traumatic growth* – wskazuje, że osoby, które doświadczyły choroby czy z jakichś powodów znalazły się w trudnej sytuacji, po przejściu przez nią odczuwały autentyczne wzmocnienie dobrostanu psychicznego.

Pełniłaś wcześniej funkcję prezeski Stowarzyszenia Otwarte Klatki. Jak tamto doświadczenie wpłynęło na Twoją pracę w Pomagam.pl?

To dla mnie kontynuacja zawodowej ścieżki, ponieważ bardzo mnie ciekawi zajmowanie się obszarami wymagającymi społecznego zaangażowania. Praca, która umożliwia biznesowi wywarcie pozytywnego wpływu na świat. W Otwartych Klatkach bardzo duża część naszej pracy polegała na namawianiu biznesu, żeby angażował się w wartościowe projekty. Mam poczucie, że teraz jestem już trochę po drugiej stronie, ale prawie w tym samym miejscu. Pracuję w biznesie, który wnosi jakość, pozytywną wartość. To, czego się nauczyliśmy w Otwartych Klatkach – dzięki temu, że jest to organizacja, która się skupiała na przemysłowym chowie zwierząt – to przede wszystkim pozyskiwanie małych darczyńców. Wiedzieliśmy, że państwo czy Unia Europejska nie będą szczególnie zainteresowane wspieraniem naszych inicjatyw. Przeznaczanie pieniędzy na walkę z hodowlą przemysłową zwierząt to jednak osłabianie branży, która płaci przecież podatki. Wiedzieliśmy, że nasze być albo nie być to przekonanie zwykłych osób do tego, żeby wspierały nasze cele. Musieliśmy nauczyć się mówić w taki sposób, żeby przekonać nie tylko dużych grantodawców, ale przysłowiowego Kowalskiego do wsparcia nas.

→

→ Czyli umiejętność pokazywania wartości wpisanych w dany projekt okazała się kluczowa?

Tak, mówienie o problemach w taki sposób, żeby dotrzeć do ludzi, to dla organizacji pozarządowych podstawa. Uważam, że szczególnie w organizacjach pozarządowych bycie uzależnionym tylko od wsparcia państwa czy innych dużych instytucji jest bardzo niebezpieczną sytuacją. Mam poczucie, że dobrze jest od państwa oczekiwać wsparcia, ale też niekoniecznie uzależniać się od niego.

Czyli znowu wracamy do hasła kampanii Pomagam.pl i potrzeby uświadomienia sobie, że każdy z nas może być kiedyś w sytuacji, w której konieczne będzie poproszenie innych o pomoc.

Zdecydowanie tak. Potrzebujemy cały czas promować dawanie pieniędzy. Gdy zaczynamy wspierać cele charytatywne, to okazuje się, że dużo chętniej przekazujemy kolejne kwoty na inne cele. Czujemy, że to zwyczajnie jest przyjemne. Badania wykazały, że gdy wpłacimy pieniądze w sposób dobrowolny na cel, w który wierzymy, to odczuwamy większy wzrost szczęścia, niż gdybyśmy dostali podwyżkę na tę samą kwotę. Lubimy dawać, sprawia nam to przyjemność, ale musimy mieć okazję tego doświadczyć. Myślę, że potrzebujemy więcej indywidualnych organizacji, które będą angażować ludzi w dawanie. Dzięki temu budujemy społeczeństwo bardziej zaangażowane, realizujące różne cele na co dzień, a nie tylko co cztery lata przy urnach wyborczych.

A co dzieje się w przypadku, gdy osoby uprawiające zawody użyteczności społecznej znajdują się w sytuacji, gdy to one muszą prosić o pomoc?

Zaangażowanie charytatywne czy działalność w organizacjach pozarządowych w pewnym sensie działa jak ubezpieczenie. My jako

Pomagam.pl mamy na to liczby. Posiadamy niezbite dowody na to, że osoby, które są bardziej zaangażowane w sytuacjach trudnych, są w stanie uzyskać zdecydowanie szybciej i zdecydowanie większą pomoc. Zaangażowanie społeczne i pomaganie innym nam się też po prostu opłaca. Największe firmy na świecie zajmują się crowdfundingiem donacyjnym, filantropijnym, co pokazuje, że ludzie gotowi są wesprzeć obce osoby. Warto o tym mówić, ponieważ to tworzy inną narrację na temat ludzi i społeczeństwa.

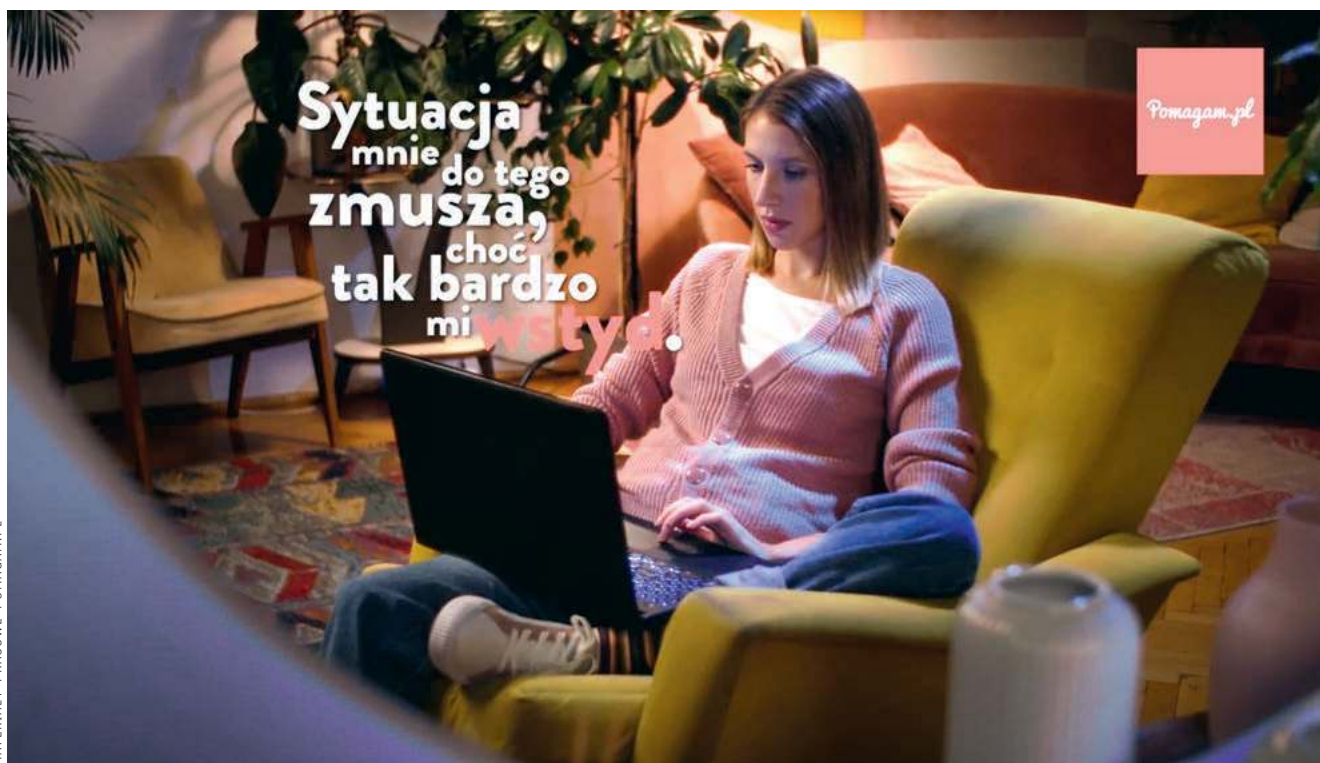
Zaprzeczacie wyobrażeniom o rozwinętym egoizmie społeczeństw późnego kapitalizmu.

Tak. Hasło, które używamy wewnętrznie i które mam u siebie w biurze, brzmi: „Przywracamy wiarę w ludzi”. Powiedziałabym, że na tym polega przede wszystkim crowdfunding.

Czego sobie życzysz? Jak widzisz rozwój serwisu Pomagam.pl?

Chciałabym, żebyśmy organizowali zbiórki na różnorodne cele. Wydaje mi się, że w Polsce już trochę oswoiliśmy zrzutki na leczenie, ale jest sporo innych fantastycznych rzeczy, które mogłyby być realizowane. Stworzyliśmy teraz na stronie osobne kategorie, żeby trochę ułatwić komunikowanie o możliwościach przeróżnych zbiórek. Chcemy pozbyć się stereotypu, że jedynym słusznym celem jest uzyskanie pomocy na leczenie i nic więcej. Uruchomiliśmy i będziemy prowadzić przez cały czerwiec osobną kategorię, np. zbiórki na rzecz społeczności LGBTQ+. Chcemy stworzyć i rozwijać miejsce, gdzie każdy obywatel będzie miał możliwość doświadczyć wsparcia i akceptacji.

© Rozmawiała KINGA DAWIDOWICZ



Wybierz swoją prenumeratę

**TYGODNIK
POWSZECHNY**

JAK ZAMÓWIĆ PRENUMERATĘ PAPIEROWĄ:

- przez internet na TygodnikPowszechny.pl/sklep
- wpłacając na konto: Tygodnik Powszechny
ul. Dworska 1C/LU 3-4, 30-314 Kraków
Nr konta Bank Pekao SA
49 1240 4533 1111 0000 5431 1987

Pełna oferta prenumeraty Tygodnika:
TygodnikPowszechny.pl/sklep

Masz pytania? Zadzwoń lub napisz!

W sprawie prenumeraty papierowej pomocy
udziela Agnieszka Dyrz w godz. 11.00–15.00
pod nr. tel. 668 479 075 lub adresem e-mail:
prenumerata@TygodnikPowszechny.pl

W sprawie zakupu prenumeraty papierowej
przez internet pomocy udziela Iwona Kuciel
w godz. 11.00–15.00
pod nr. tel. 660 692 099 lub adresem
e-mail: kontakt@TygodnikPowszechny.pl

RODZAJ PRENUMERATY PAPIEROWEJ	CENA	
	Z WYSYŁKĄ EKONOMICZNĄ	Z WYSYŁKĄ PRIORYTETOWĄ
■ Kwartal – 12 wydań	160 zł	200 zł
■ Rok – 52 wydania	550 zł	680 zł
■ Rok – 52 wydania w ofercie POKOLENIA	480 zł	
■ 4 Wydania Specjalne (kwartalniki)	100 zł	
■ Rok – 52 wydania + Wydania Specjalne	640 zł	770 zł
■ Rok – 52 wydania + Wydania Specjalne w ofercie POKOLENIA*	570 zł	

* POKOLENIA – oferta dla studentów, seniorów i posiadaczy Karty Dużej Rodziny

Regulamin zakupu prenumeraty – na powszech.net/regulamin

Suwerenni dzięki Wam

Suwerenni dzięki Wam – to hasło towarzyszy „Tygodnikowi” od dłuższego czasu. Oznacza tyle, że przetrwanie pisma zależy od jego Czytelniczek i Czytelników, a nie od widzimisię władzy politycznej czy kapitałowej. Zalety takiej sytuacji są obopólne: Państwo mają pewność, że publikacje „Tygodnika” są niezależne,

redakcja natomiast ma możliwość pisania obiektywnego i o sprawach najważniejszych.

Misja „Tygodnika”

Każda osoba prenumerująca nasze pismo wspiera realizację naszej misji: Odważnie prowadzimy Czytelniczki i Czytelników przez świat, zachęcając do patrzenia na rzeczywistość

z różnych perspektyw. Nasze publikacje i działania poszerzają horyzonty myślenia i wolności. Prawda jest dla nas sprawą nadrzędną. Ważne są dla nas wzajemny szacunek i otwartość – nie zamykamy się na żadną ze stron dialogu. **Wierzymy, że świat da się naprawić.**

CZAS TO PRZERWAĆ

Czterdzieści sześć osób wykorzystywanych przez księży zapytało:
czy na czele polskiego Kościoła ma być człowiek,
który nie stanął po stronie skrzywdzonych?

ANNA GOC



NIKT NIE POWINIEN BŁAGAĆ O SPRAWIEDLIWOŚĆ W KOŚCIELE” – tym cytatem z apelu Papieskiej Komisji ds. Ochrony Małoletnich rozpoczęło swój list 46 osób, które doznały wykorzystania seksualnego przez duchownych.

Inicjatorami listu do Rady Stałej Episkopatu, a także nuncjusza, są Tośka Szewczyk, Robert Fidura i Jakub Pankowiak.

LIST | Tośka Szewczyk to pseudonim. Swojego prawdziwego imienia i nazwiska nigdy nie ujawniła, nigdy też nie opowiedziała swoim bliskim, w tym rodzicom, o tym, że była wykorzystywana seksualnie przez księdza. Swoją historię opisała w książce „Nie umarłam. Od krzywdy do wolności”.

Robert Fidura – to on jako pierwszy użył sformułowania „nieumarli”, próbując oddać to, co przeżywają osoby wykorzystywane seksualnie. Przez kilka lat funkcjonował pod pseudonimem Wiktor Porycki i właśnie pod zmienionym nazwiskiem opisał, jak tamto doświadczenie wpłynęło na jego życie. Był członkiem Rady Fundacji Świętego Józefa, której misją jest „ochrona dzieci i młodzieży, budowanie struktur pomocy skrzywdzonym i zapobieganie przestępstwom wykorzystania seksualnego w Kościele”.

Jakub Pankowiak jest jednym z bohaterów filmu dokumentalnego braci Sekielskich „Tylko nie mów nikomu”, także działała na rzecz osób skrzywdzonych.

Po raz pierwszy w historii polskiego Kościoła osoby skrzywdzone występują razem – jako domagająca się swoich praw i uznania ich podmiotowości grupa.

– Gdy pisałam nasz list, wiedziałam, że najpierw muszę zapanować nad emocjami, które pojawiły się po przeczytaniu tekstu o sprawie abp. Wojdy – mówi Tośka Szewczyk. – Każdy z nas ma własną historię skrzywdzenia przez duchownych. I każdy z nas na różnym etapie i na różne sposoby angażował się w pomoc innym skrzywdzonym. Gdy obserwujemy, jak przedstawiciele kurii traktują kolejne

osoby, chcemy ruszyć im z pomocą, ale wciąż próbujemy poradzić sobie też z własnym bólem.

Tośka Szewczyk już wcześniej pisała do biskupów, zapraszała ich do rozmowy. Chciała opowiedzieć im o perspektywie skrzywdzonych przez księży i wysłuchać, co mają do powiedzenia.

– Jechałam do jednego biskupa, rozmawiałam z nim, potem leżałam w łóżku, leżałam... wstawałam, jechałam do kolejnego biskupa, rozmawiałam z nim, i znów leżałam. Skończyło się miesięcznym zwolnieniem lekarskim wystawionym przez psychiatrę. Więc z jednej strony koszty są ogromne, z drugiej – czuję, że działanie przywraca nam sprawczość. Wiem, że niektórzy biskupi są z nami. Nigdy nie rozmawialiśmy o wyborze abp. Wojdy na przewodniczącego episkopatu, ale gdy zobaczyłam, że część z biskupów podjęła taką decyzję, mimo jego historii, wróciła bezsilność.

REPREZENTANT KOŚCIOŁA | Pierwszym postulatem z listu skrzywdzonych jest „zawieszenie abp. Tadeusza Wojdy w pełnieniu obowiązków przewodniczącego Konferencji Episkopatu Polski do czasu wyjaśnienia zarzucanych mu zaniedbań. W przypadku potwierdzenia stawianych mu zarzutów – usunięcie go z funkcji przewodniczącego”.

Pytam o ten postulat dwóch kanonistów. Obaj proszą o anonimowość. Obaj wyjaśniają, że statut KEP nie daje biskupom możliwości zawieszenia ani odwołania przewodniczącego.

Podkreślają jednak, że jeśli sprawa abp. Wojdy dotyczy zaniechania czy utrudniania postępowania wobec księdza oskarżonego o przestępstwo wykorzystania seksualnego małoletnich, także niewłaściwego traktowania osób pokrzywdzonych, to tryb postępowania wobec przewodniczącego episkopatu będzie taki sam, jak wobec każdego innego biskupa.

– Zawiesić abp. Woydę w obowiązkach przewodniczącego KEP na czas wyjaśnienia sprawy lub odwołać z tej funkcji może tylko papież, także za pośrednictwem odpowiedniej dykasterii. Duchowny może również zrezygnować sam – mówi kanonista.

I dodaje: – Biskupi wybrali swojego przewodniczącego na 5-letnią kadencję i choć nie mają władzy, by go odwołać, mogą zwrócić się do abp. Wojdy, by sam

podjął decyzję o odsunięciu się od pełnienia obowiązków na czas wyjaśnienia sprawy.

Ks. Leszek Gęsiak SJ, rzecznik KEP, w krótkim oświadczeniu napisał, że „członkowie Rady Stałej KEP otrzymali list”. Dodał, że „w najbliższym czasie zostanie ustalony termin spotkania Rady Stałej, która zajmuje się omówieniem aktualnych spraw Kościoła w Polsce. Podejmiemy także zawarte w liście kwestie”.

GDAŃSKA SPRAWA | „Ksiądz Adrian G. z archidiecezji gdańskiej Kingę wykorzystywał przez cztery lata. Martę rok. Kinga i Marta złożyły skargę do gdańskiej kurii, zeznawały przed kościelnym trybunałem. Ksiądz Adrian nadal odprawia msze w jednym z gdyńskich kościołów”. To początek reportażu Stanisława Zasady „Nie musimy tego robić”, który opublikowaliśmy w „Tygodniku” w lutym 2022 r.

Kinga miała 13 lat, a Marta właśnie zdała maturę, była pełnoletnia, gdy ks. Adrian G. (wszystkie imiona zmienione) zaczął je wykorzystywać seksualnie.

„„Jak nie będziesz mnie słuchać, zostaniesz alkoholicką, jak ojciec» – krzyczy, gdy zrobi coś nie po jej myśli” – przywoływała słowa księdza Kinga. Opisywała mechanizm znany wielu skrzywdzonym – stopniowego wikłania przez sprawcę: odwiedzin duchownego w domu rodzinnym, kupowania prezentów, pomocy w odrabianiu lekcji i trwającej kilka lat przemocy seksualnej. W reportażu jest też informacja, że ks. Adrian G. złamał tajemnicę spowiedzi siostry Kingi.

Marta poznała ks. Adriana G. w trudnym czasie, gdy potrzebowała wsparcia. „Z rodzinnego domu Marta pamięta: brak miłości, kłótnie i że nie lubiła świąt” – pisał Zasada. „Byłam zahukana, wstydziałam się” – mówiła kobieta.

Ks. Adrian G. nie odniósł się do zarzutów Kingi i Marty. Odpisał wtedy „Tygodnikowi”, że w związku z tym, że Gdański Trybunał Metropolitalny rozpatruje sprawę, „jest zobowiązany do zachowania milczenia”.

W marcu 2021 r. nowym metropolitą gdańskim został abp Tadeusz Wojda, który zastąpił abp. Sławoja Leszka Głódzia. Marta zawiadomiła kurię pod koniec maja, Kinga w październiku – a więc ich sprawy od początku rozpatrywano już pod zwierzchnictwem abp. Wojdy. ➔

*Arcybiskup Tadeusz Wojda
w drodze na zebranie
plenarne Konferencji
Episkopatu Polski.
Warszawa,
14 marca 2024 r.*

ADAM CHEŁSTOWSKI / FORUM

→ Kobiety przesłuchano przed Trybunałem Metropolitalnym w odbiegających od standardów i – jak wynika z ich relacji – wywołujących powtórne cierpienie warunkach. Ich zeznania przyjmowano w obecności dwóch księży. Marta wspomina o biegłej psycholog, która „wydała się znudzona”. Kobiety przyznały, że o „najgorszych rzeczach” nie powiedziały. „Bo jak księżom opowiadać o tym, że krzywdził mnie inny ksiądz?” – mówiła „Tygodnikowi” Marta. Kobieta miała także poważne zastrzeżenia do spisanego przez jednego z księży protokołu, wyznała nawet, że „nie poznała swoich słów” i że „pięć razy musiała prosić o poprawki”.

„Pod koniec listopada [2021 r. – red.] obie napisały skargę do abp. Tadeusza Wojdy. Poskarżyły się na przesłuchanie przed kościelnym trybunałem (że źle się czuły) i na ogólnikowy protokół. Napisały też, że dziwi je, iż ks. Adrian wciąż posługuje w parafii i ma kontakt z wiernymi. List do rezydencji arcybiskupa Marta zawiozła osobiście, na kopercie było: »do rąk własnych«. – Chciałam mieć pewność, że list dotrze do adresata – tłumaczy. (...) Na list Kingi i Marty arcybiskup Wojda do tej pory nie odpowiedział” – pisał Zasada.

Przewodniczącym Episkopatu abp Wojda został 14 marca 2024 r.

Gdy publikowaliśmy reportaż Zasady – było to prawie rok od pierwszego zawiadomienia i kilka miesięcy od drugiego – Adrian G. wciąż odprawiał msze i spowiadał. Przestał jedynie być opiekunem grup duszpasterskich i wikariuszem, działał w parafii jako tzw. „pomoc duszpasterska”.

Zbigniew Nosowski, redaktor naczelny kwartalnika „Więź”, komentował w tekście Zasady: „Ksiądz Adrian powinien być zawieszony przez biskupa w czynnościach duszpasterskich, żeby nie miał możliwości kontaktu z wiernymi”.

CIĄG DALSZY | Do sprawy Kingi i Marty oraz gdańskiej kurii wrócił na początku maja b.r. Zbigniew Nosowski w tekście „Czy Ksiądz Biskup mógłby w końcu usłyszeć mój głos? Pytania do abp. Tadeusza Wojdy”. Ustalił, że „w marcu 2024 r., czyli przed kilkoma tygodniami, do Nuncjatury Apostolskiej w Warszawie wpłynęło oficjalne zawiadomienie o możliwych zaniedbaniach metropolity gdańskiego”.

Po raz pierwszy
w historii polskiego Kościoła
osoby skrzywdzone
występują razem
– jako domagająca się
swoich praw i uznania
ich podmiotowości grupa.

„Dokument jest bardzo obszernie udokumentowany, opatrzony wieloma załącznikami. Przedstawiane są w nim błędy proceduralne popełnione podczas postępowania wstępnego prowadzonego w archidiecezji gdańskiej już za rządów aktualnego metropolity. Według zawiadomienia doszło także do lekceważenia obowiązujących kościelnych zasad trojski o osoby poszkodowane, co skutkuje ich powtórna, poważnie odczuwaną krzywdą” – pisze Nosowski.

Autorka zgłoszenia – jak zaznacza Nosowski – „przekazując list do nuncjatury, wskazała jednoznacznie, że traktuje go jako zgłoszenie zaniechań abp. Tadeusza Wojdy, zgodnie z motu proprio »Vos estis lux mundi« (VELM)”.

VELM | – czyli list apostolski Franciszka, którego zapisy weszły w życie 1 czerwca 2019 r. (a nowa wersja, uwzględniająca m.in. bezbronnych dorosłych i świeckich zwierzchników wspólnot kościelnych – w marcu 2023 r.) opisuje zasady postępowania w przypadku zarzutów zaniedbań położonych w wyjaśnianiu przestępstw seksualnych księży wobec małoletnich.

Art. 5 VELM brzmi: „Władze kościelne są zobowiązane, aby ci, którzy twierdzą, że są poszkodowani, wraz ze swoimi rodzinami, byli traktowani z godnością i szacunkiem oraz zaoferują im w szczególności: a) przyjęcie, wysłuchanie i wsparcie, również za pośrednictwem właściwych służb; b) pomoc duchową; c) pomoc medyczną, terapeutyczną i psychologiczną, w zależności od konkretnego przypadku”.

Z tekstu Nosowskiego dowiadujemy się, co działo się w gdyńskiej kurii przez dwa lata po publikacji reportażu Zasady. Naczelny „Więzi” podkreśla, że w czasie

trwania postępowania kanonicznego Kinga miała utrudniony kontakt z niektórymi pracownikami kurii.

Cytuje też fragment listu wysłany przez Kingę do abp. Wojdy, w którym kobieta opisuje, w jaki sposób przedstawiciele kurii manipulowali jej zeznaniami dotyczącymi ks. Adriana G.: „Mówiłam: »wchodził do mojego sypialni«; a w protokole tego nie było. Mówiłam: »były pocałunki«, a w protokole to się nie znalazło. Mówiłam: »zbliżał się do mnie fizycznie«, a w protokole było: »dochodziło między nami do zbliżeń fizycznych«. Mówiłam, że nie chcę, płakałam – a w protokole tego zabrakło. Mówiłam: »on też do mnie przyjeżdżał«, a w protokole było: »jeździłam do niego«. Powiedziałam im: »Mówił, że nie muszę tego robić, jeśli nie chcę; mówiłam, że nie chcę, ale nadal się to działo«. Zanotowali w protokole: »Mówił, że mogę odmówić«”.

Kinga wyznała, że w liście do abp. Wojdy zapowiedziała chęć opisanego tego, czego w obecności dwóch księży przesłuchujących ją w Trybunale Metropolitalnym nie była w stanie powiedzieć i wysłania swoich zeznań pocztą. Nie otrzymała odpowiedzi.

Protokoły są jednym z podstawowych dokumentów w kościelnych procesach.

Nosowski opisuje także próby, jakie podjęły kobiety, by dotrzeć do abp. Wojdy. Do spotkania Marty z metropolitą gdańskim doszło w lutym 2023 r., „bynajmniej nie z inicjatywy abp. Wojdy”. Metropolita miał przeprosić Martę, mówić „to nie powinno się zdarzyć”, jednak „nic więcej z przeprosin nie wynikało”. Pełnomocniczka Marty miała usłyszeć od abp. Wojdy, „iż w jej sprawie według niego nie było wykorzystania seksualnego, gdyż »to było tylko macanie«. »Nie doszło do pełnego stosunku« – mówił biskup, a on przecież »nie odpowiada za to, co robią dorośli ludzie«”.

Z tekstu Nosowskiego dowiadujemy się także, że „w ramach dotychczasowego postępowania kościelnego nie przesłuchano jako świadka osoby, która dwukrotnie pisemnie informowała metropolitę gdańskiego, że posiada informacje o innych osobach mogących złożyć zeznanie w tej sprawie, w tym o innych kobietach skrzywdzonych przez ks. Adriana”. A ks. Krzysztof Szerszeń, co do protokolowania którego kobiety



PIOTR ZAGIELL / EAST NEWS

Protest przed katedrą oliwską w czasie ingresu abp. Tadeusza Wojdy. Gdańsk, 28 marca 2021 r.

miały liczne zastrzeżenia, został rektorem Gdańskiego Seminarium Duchownego.

Obie kobiety nie otrzymały wsparcia finansowego na leczenie, w tym na psychoterapię. Kuria zaproponowała Kindze, by przesłała swój numer konta, na który środki na psychoterapię będzie przelewał ks. Adrian G. (nie zrobił tego).

Co więcej: Nosowski ustala, że w sierpniu 2023 r. ks. Adrian G. został zastępcą kapelana w szpitalu psychiatrycznym (pełnił tę funkcję niecałe 3 miesiące).

Duchowny oskarżony przez kobiety o wykorzystanie seksualne może obecnie odprawiać mszę tylko dla jednej grupy parafialnej, nie ma zakazu spowiadania.

Nosowski ustala także, że „po przesłaniu do Dykasterii Nauki Wiary akt dotyczących skargi pani Kingi archidiecezja gdańska otrzymała polecenie przeprowadzenia procesu karnego pozasądowego wobec ks. Adriana”. W sprawie pani Marty DKN – jak podaje naczelny „Więzi” – „odpisała, że nie leży w jej kompetencji rozpatrywanie zgłaszanych przestępstw wobec dorosłych osób bezbronnych, jeśli nie są one na stałe »pozbawione pełnego używania rozumu«. Informację o tym ks. Jerzy Więcek z Gdańskiego Trybunału Metropolitalnego przekazał pani Marcie cztery miesiące po wydaniu decyzji.

Ks. Adrian G. – jak relacjonowała Marta – znał jej trudną sytuację rodzinną, „on uzależnił mnie psychicznie i emocjonalnie” – mówiła Nosowskiemu.

„Jak słyszę od ekspertów, decyzja DNW o odmowie prowadzenia sprawy pani

Marty wcale nie zamknęła wszystkich możliwości działania, jakie daje prawo kanoniczne. Można było tę sprawę skonsultować z Dykasterią ds. Duchowieństwa” – pisze Nosowski. Czy to zrobiła gdańska kuria – nie wiadomo, bo dziennikarz na razie nie otrzymał odpowiedzi na swoje pytania.

POSTULATY | To właśnie ta historia była impulsem dla grupy pokrzywdzonych do wysłania listu. Jednym z najważniejszych postulatów – jak piszą jego inicjatorzy – są zmiany w prawie kanonicznym.

– Jako osoby zgłaszające swoją krzywdę mamy status świadka, a nie strony w sprawie – mówi Jakub Pankowiak. – Nie mamy więc dostępu do przebiegu postępowania i akt. Wciąż nie jesteśmy traktowani podmiotowo przez Kościół. Mamy wrażenie, że biskupi odpowiadają nam dopiero wtedy, gdy nasze sprawy staną się medialne.

Wśród pozostałych postulatów są zagadnienia znane z dyskusji o sytuacji osób skrzywdzonych w Kościele od lat. Są to m.in. możliwość spotkania biskupów z delegacją pokrzywdzonych w czasie zebrania plenarnego. Podanie terminu rozpoczęcia działań niezależnej komisji badającej przypadki wykorzystania seksualnego w Kościele od 1945 r. Powołanie Rzecznika Praw Osób Skrzywdzonych w Kościele czy zaangażowanie kobiet w diecezjalny system pomocy osobom pokrzywdzonym.

Wszystkie te zmiany mogłyby wpłynąć na sytuację osób skrzywdzonych, zapewnić im społeczne wsparcie.

– Przez 38 lat się bałem – mówi Robert Fidura. – Mieszkam na wsi, gdzie wszyscy się znają. O tym, że zostałem wykorzystany seksualnie przez księdza, nie powiedziałem nawet rodzicom. Wiedziałem, że to będzie dla nich za trudne. Gdy kilka lat temu opowiedziałem o tym publicznie, poczułem ulgę. Okazało się, że nie jestem sam.

– Cztery lata temu pokazałem swoją twarz, widzowie poznali moją historię. Zaczęły się do mnie odzywać kolejne osoby skrzywdzone przez księży – mówi Jakub Pankowiak. – Korespondowaliśmy, zwłaszcza ci z nas, którzy zdecydowali się działać na rzecz osób pokrzywdzonych w Kościele. Tworzyła się siatka znajomości. Moja liczy około stu osób. Inni pokrzywdzeni, którzy opowiedzieli publicznie swoje historie, mają podobne sieci.

Momentem przełomowym było spotkanie w Żarach, zorganizowane przez Fundację Składek jesienią 2023 r. Ponad dwadzieścia wykorzystywanych seksualnie przez księży osób usiadło przy jednym stole.

– Znaliliśmy się z mediów społecznościowych, ale wtedy zobaczyliśmy się twarzą w twarz. Mogliśmy wspólnie popłakać, powspierać się, opowiedzieć, w obecności psychologów, o tym, co nas spotkało i chyba to był taki załazek tego, że teraz mogliśmy wspólnie zareagować na sytuację, w której pojawiły się pytania do człowieka, który stoi na czele polskiego Kościoła – mówi Pankowiak. – Czekamy na konkretny ruch ze strony Rady Stałej, mam nadzieję, że w czerwcu będziemy mieli okazję spotkać się z jej przedstawicielami i wspólnie przedyskutować nasze postulaty. Do tej pory rozmawiamy głównie przez media.

– A jeśli nie? – pytam.

– Nie wiem, nie wyobrażam sobie jednak naszego protestu przed budynkiem episkopatu, by skłonić biskupów do rozmowy.

ODPOWIEDŹ | Czy zgodnie z postulatem pokrzywdzonych abp Wojda powinien ustąpić z funkcji przewodniczącego Konferencji Episkopatu Polski na czas wyjaśnienia sprawy? To jak odpowiedź na pytanie, po której stronie stanąć – osób pokrzywdzonych czy sprawców.

© ANNA GOC

Po co nam Boże Ciało

PIOTR SIKORA, JERZY SOJKA:

Uczestniczymy w Eucharystii nie po to, by adorować Boga, tylko po to, aby zostać w Niego przemienionymi. O sensie liturgii rozmawiają teolodzy katolicki i ewangelicki.

ARTUR SPORNIAK: Dla katolików Eucharystia jest centrum życia Kościoła i jego źródłem. Czym jest dla ewangelików?

JERZY SOJKA: Na pewno jednym z centralnych punktów życia Kościoła. Obok kazania i sakramentu chrztu jest to jedno z narzędzi, za pomocą których Bóg trafia do człowieka. Od powstania wielkich ruchów reformacyjnych XVI wieku ukształtowało się kilka tradycji protestanckich trochę inaczej postrzegających Eucharystię. Różnica między Wittenbergą Lutra a Zurychem Zwingliego polega na różnej odpowiedzi na pytanie, czy w Eucharystii jest udzielane zbawienie. Według Lutra tak i dlatego bronił on realnej obecności ciała i krwi Chrystusa w chlebie i winie. Natomiast Zwingli odpowiadał „nie”, bo nic zewnętrznego nie może pomóc duchowości. Eucharystia według tej tradycji jest tylko znakiem rozpoznawczym chrześcijan, w związku z tym nie miała dominującego znaczenia, co w praktyce oznaczało, że sprawowano ją tylko kilka razy do roku. Z kolei Genewa Kalwina zgodził się z Wittenbergą, że w Eucharystii jest udzielane zbawienie, ale nie wyrazi tego językiem realnej obecności Chrystusa, gdyż jest ona jedynie duchowa. Zatem luteranizm jest najbliższy rzymskiemu katolicyzmowi, gdyż przyjmuje realną obecność Chrystusa, ale z kolei odrzuca arystotelesowski język w jej opisywaniu.

PIOTR SIKORA: W katolicyzmie rozumienie Eucharystii zmieniało się na przestrzeni wieków. Obecnie dominująca w popularnej teologii myśl jest określona polemicznie wobec Reformacji. Ale Kościół katolicki nie ma problemu z tym, że są Ojcowie Kościoła, którzy w różny sposób wyjaśniają Eucharystię, wcale nie używając arystotelesowskiego języka odwołującego się do substancji i przypadłości. Ich język – np. Efrema Syryjczyka –

jest znacznie bardziej metaforyczny i poetycki, odwołujący się nawet do kategorii symbolu. Sobór trydencki mocno podkreślił obecność Jezusa w Eucharystii, dekretując, że jest On „prawdziwie, rzeczywistość i substancjalnie”. Spowodowane to było określeniem się wobec Reformacji. To była głównie polemika z Zwinglim, bo w następnym zdaniu czytamy: „albowiem nie jest to sprzeczne, aby Zbawiciel nasz zasiadał zawsze w niebiosach po prawicy Ojca naturalnym sposobem obecności, a mimo to był obecny w swojej substancji na wielu innych miejscach”.

JS: To jest powiedziane przeciwko wszystkim Szwajcarom, funkcjonowało wówczas wśród nich polemiczne zawołanie: „Chrystus jest w niebie, a nie w winie i chlebie”. Natomiast Luter pewno podpisałby się pod intencją soboru trydenckiego, bo on bardzo mocno bronił realnej obecności. Skoro w słowach ustanowienia Jezus mówi: „To jest ciało moje... to jest krew moja...”, to to jest rzeczywistość ciała i krew. Jednak Luter był przeciwny wyjaśnianiu mechanizmu tej obecności. Dla niego, jeśli Bóg mówi, to tak się staje, jak w opisie stworzenia świata. Słowo Boże zawsze coś zmienia, jak pokazuje też tradycja prorocka w Biblii. U Lutra tym się Bóg różni od człowieka, że w Jego mowie nie ma rozdziału na informację i działanie. Jeśli my coś powiemy, to może ktoś coś z tym zrobić. U Boga jest inaczej. I skoro On mówi: „To jest ciało moje...”, to mamy w to wierzyć. Po co to jeszcze rozrząsać i mówić o transsubstancjacji?

Co na to katolicy?

PS: Poszli w polemikę. Polemiczne myślenie ma tendencję, żeby dookreślać po to, by ukazać różnicę. Katolickie trydenckie myślenie, ponieważ było zdominowane przez polemikę, za bardzo próbo-



wało wszystko sprecyzować, tracąc w jakimś stopniu wymiar tajemnicy. Jakby zapomniano o dopowiedzeniu soboru, że o sposobie obecności Jezusa w Eucharystii mówimy „słowami ledwo wyrażalnymi”. Jeśli weźmiemy to pod uwagę, to w dobie ekumenizmu możemy się otworzyć na różne inne określenia Eucharystii, pamiętając, że jest to tajemnica, której nie dookreślimy słowami.

O zmianie rozumienia Eucharystii na przestrzeni wieków mówił kiedyś na tych łamach, jako historyk Kościoła, kard. Grzegorz Ryś. W pierwszym tysiącleciu Eucharystię postrzegano jako mistyczne ciało Chrystusa, a Kościół traktowano jako Jego ciało rzeczywiste. W drugim tysiącleciu to się odwróciło: Eucharystię zaczęto postrzegać realistycznie, a Kościół mistycznie.

PS: Najważniejsze pytanie moim zdaniem jest takie: gdy mówimy o Eucharystii, to mamy na myśli najświętsze postacie eucharystyczne czy celebrację – wydarzenie? W pierwszym tysiącleciu nacisk położony był na wydarzenie, w którym



JULIA ZABRODZKA / FORUM

bierze udział i który w pewnym sensie tworzy wspólnota. W drugim tysiącleciu skupiono uwagę przede wszystkim na postaciach.

Pojawia się kult Eucharystii, którego mocnym wyrazem jest uroczystość Bożego Ciała, procesje eucharystyczne i adoracja Najświętszego Sakramentu.

JS: Te zmiany powstawały trochę na zasadzie: wszystko się musi zmienić, żeby wszystko zostało po staremu. Intencja się nie zmieniała: trzeba zabezpieczyć tajemnicę, która stoi na straży szczególnego związku Eucharystii z uwielbionym Panem. Tutaj eschatologiczne odniesienie jest bardzo ważne – Eucharystia daje przedsmak niebiańskiej uczty. Gdy zaczęto stawiać pytania, co leży na patenie, trzeba było przeformułować całość sposobu opisu, żeby zachować to, o czym sobór trydencki mówi, że nie jest do końca wyrażalne. Zmienił się jednak cały sposób przeżywania Eucharystii w Kościele: nastąpiło przejście od uczestniczenia w wydarzeniu do skoncentrowania uwagi na postaciach.

Eucharystia straciła charakter pokarmu dającego życie i umacniającego wspólnotę, a stała się adorowaną relikwią.

JS: Ale i jedno, i drugie podejście pozwala sięgać poza to, co doczesne. Oczywiście, na ile jako protestant potrafię zrozumieć sens relikwii.

PS: Ja jednak chciałbym wskazać na pewien problem. Bo Eucharystię można rozumieć jako coś, co transcenduje rzeczywistość, ale też jako coś, co przemienia rzeczywistość. To są jednak dwa różne podejścia do religijnego przeżywania życia ludzkiego. Czy centralne punkty religijnego zaangażowania, takie jak Eucharystia, mają nas z naszej codzienności wyciągnąć, czy tę naszą codzienność przemienić? Późnośredniowieczny kult, kładący nacisk na postacie eucharystyczne, m.in. w uroczystości Bożego Ciała, wyraźnie dzieli rzeczywistość na sacrum i profanum – sacrum pozwala przekraczać profanum. Nigdzie nie ma tak „namacalnej” Bożej obecności, jak pod eucharystycznymi postaciami.

A zobaczmy, co się dzieje, gdy popatrzymy na Eucharystię jak na wydarzenie, co wydaje mi się bliższe jej pierwotnemu

*Procesja Bożego Ciała w Łowiczu.
8 czerwca 2023 r.*

rozumieniu. Postacie eucharystyczne, czyli chleb i wino, które wspólnota przynosi na mszę, uobecniają całe życie ludzi – jest to „owoc ziemi oraz pracy rąk ludzkich”. To nasze życie oddajemy w liturgicznym ofiarowaniu, następuje jego przemiana i otrzymujemy je z powrotem, tyle że Boskie. W tym ujęciu Eucharystia nie jest czymś, co ma być inne od naszego życia. Przychodzimy z życiem nieprzemienionym i całe nasze życie staje się Boskie. Przemienione postacie znikają, bo je zjadamy, ale w związku z tym one przemieniają nas. Wtedy jakby my stajemy się nośnikami boskości. W kościołach rzymskokatolickich funkcjonują tabernakula jako miejsca przechowywania konsekrowanych postaci eucharystycznych. Można powiedzieć, że po komunii to my stajemy się takimi tabernakulami. Efreem powie, że to nie ty przemieniasz pokarm eucharystyczny w siebie, tylko to on przemienia ciebie w siebie.

Jak takie rozumienie Eucharystii ma się do adoracji Najświętszego Sakramentu?

PS: Moim zdaniem adoracja może jedynie pomóc nam uświadomić sobie, do jakiego wydarzenia się przygotowujemy. Celem Eucharystii jest przede wszystkim przemiana całego naszego życia w życie Boskie. Fakt, że święte postacie zostają zniszczone przez zjedzenie, nie jest tu bez znaczenia. One znikają w tobie po to, by twoje życie nabrało Boskiego charakteru. To jest nie tylko inne ujęcie teologiczne, ale inne podejście do życia religijnego. Nie przychodzę jedynie, by na chwilę dotknąć podczas adoracji innej rzeczywistości. Przychodzę, by zostać przemienionym i jakby ściągnąć tę inną rzeczywistość do mojego życia. Wówczas – mówiąc słowami św. Pawła – czy jemy, czy pijemy, czy cokolwiek innego robimy, wszystko robimy na Bożą chwałę.

Kult eucharystyczny wzmacnia poczucie naszej niegodności – stąd praktyki rzadkiego przystępowania do komunii czy przyjmowanie komunii do ust na kłęczkach, bo nasze ręce są niegodne, by dotykać świętych postaci.

→ Jak to pogodzić z pragnieniem bycia „przebóstwionym”?

PS: To przejawy doświadczenia owego *tremendum*, a więc nie tylko *fascinum* w kontakcie z *sacrum*. „Straszną jest rzeczą wpaść w ręce Boga żyjącego” – czytamy w liście do Hebrajczyków (10, 31). W tym sensie „straszną”, że tak bliski kontakt z Bogiem domaga się zmiany całego życia. Ten aspekt może być obecny także w owym wydarzeniowym podejściu do Eucharystii. Inaczej mówiąc, ryzykowne jest uczestniczyć w takim wydarzeniu, w którym przynosisz życie takie, jakie masz, oddajesz je, czyli wypuszczasz całkowicie z rąk, i dostajesz z powrotem niby to samo, ale zupełnie inne. Zatem uważaj, jak się zbliżasz do tego *sacrum*!

Podczas eucharystycznej procesji w Boże Ciało właśnie wchodzimy z rzeczywistością sakralną w nasze opłotki.

PS: Powiedziałbym tak: to jest to samo słuszne pragnienie, tylko realizowane w sposób, który wskazuje, iż nie do końca rozumiemy znaki, którymi się posługujemy. Słuszne pragnienie polega na tym, by nie zamknąć Bożej obecności tylko w przestrzeni sakralnej, ale by mogła ona ogarnąć także naszą codzienność. Jednak sens znaków eucharystycznych mówi, że nie trzeba tego konsekrowanego chleba obnosić po naszych ulicach. Trzeba upiec ten chleb, przynieść go na wspólne spotkanie – pamiętając, że przede wszystkim to ludzie tworzą świętą przestrzeń, a nie mury – oddać ten chleb, a wraz z nim swoje życie w ryzykownym rytuale, zjeść i potem samemu wrócić do codzienności. Nie potrzebujemy zatem monstrancji, jeśli zaryzykowaliśmy ową przemianę. W procesji ruch jest właściwy, tyle że znaki nie zostały do końca zrozumiane.

JS: Właśnie takie „relikwiny” rozumienie Eucharystii myśl reformacyjna wyrzuciła do kosza, bo to się kłóciło z tym, co o Eucharystii można było przeczytać w Nowym Testamencie i u Ojców Kościoła. Obie grupy tekstów wskazują przede wszystkim na wydarzeniowe rozumienie Eucharystii. Jest to u Lutra bardzo mocne. Píše on, że gdy ktoś ze mną przystępuje do komunii, to stajemy się realnie wspólnotą. I jeśli on potrzebuje pomocy, to ja mam mu rzeczywiście pomóc, a nie tylko – jak Luter ironicznie



MATEUSZ MAREK / PAP

DR HAB. JERZY SOJKA jest wykładowcą w Katedrze Teologii Systematycznej Chrześcijańskiej Akademii Teologicznej w Warszawie. Autor wielu książek, m.in. „Czytanie Reformatora. Marcin Luter i jego pisma”.



GRAŻYNA MAKARA / KATARZYNA WŁOCH

DR HAB. PIOTR SIKORA jest redaktorem działu „Wiara” w „Tygodniku”, kierownikiem Katedry Filozofii Współczesnej w Uniwersytecie Ignatianum w Krakowie. Opublikował m.in. „Logos niepojęty”.

dodaje – pomodlić się za niego. Gdy zrobię wszystko, co mogę, a on nadal będzie w potrzebie, dopiero wtedy pozostaje modlitwa. Jego perspektywa była taka: w chrzcie człowiek jest włączony w życie Boże i powołany do codziennej pokuty. Na tej drodze wyzbywania się grzeszności i rodzenia się na nowo jako nowy człowiek potrzebny jest posiłek. I tym jest Eucharystia. Tego nie da się przetłumaczyć na adorację czy miejsce święte. Reformacja unieważniła miejsca święte; uważa, że święte są te miejsca, w których zwiastowane jest słowo Boże.

Kalwin z kolei dużo trudu sobie zadał, żeby opowiedzieć, jak wygląda działanie Ducha Świętego, który m.in. poprzez uczestnictwo w Eucharystii włącza człowieka w zbawcze działanie Chrystusa. Zatem dla Kalwina Eucharystia jest narzędziem udziału w Chrystusie, natomiast dystansuje się on od sporu katolików i Lutra z Zwinglim o realną obecność.

Co to znaczy u luteranów, że realna obecność trwa, dopóki trwa zgromadzenie?

JS: To wynikało z praktycznego podejścia, ponieważ nie rozstrzygnięto pytania, do kiedy trwa ta obecność. Luter zalecał: spożyjcie wszystko, wtedy nie będziecie się musieli zastanawiać. Zatem nie kryje się za tym jakaś głęboka teologia. Chociaż są Kościoły luteranckie na świecie (np. w USA), które praktykują noszenie Eucharystii do chorych. W innych odprawia się Eucharystię po prostu u chorych (np. w Polsce).

A jakie są inne różnice?

JS: W luteranizmie ordynacja na pastora nie jest rozumiana jako sakrament święceń. To najpoważniejsza różnica. Inną różnicą, którą jednak rozwój teologiczny mógłby zniwelować, jest odrzucenie przez Reformację ofiarniczego charakteru Eucharystii. Gdy katolicy w tamtych czasach mówili, że Eucharystia powtarza ofiarę Chrystusa, to reformatorzy rozumieli to w ten sposób, że Jego ofiara na krzyżu nie była dostatecznie doskonała i trzeba ją powtórzyć. Tymczasem używane dziś teologiczne pojęcie anamnezy mówi raczej o uobecnianiu ofiary. Zwrócił na to uwagę katolicki teolog i ekumenista o. Celestyn Napiórkowski.

PS: To znowu przykład nadmiernej racjonalizacji religii. Liturgia uobecnia wieczność, w tym sensie, że wychodzi poza czas linearny. Nawet w pogańskich religiach to rozumiano. Podobnie gdy mówimy „niebo”, nie mówimy, że ono jest „gdzieś tam”. Już Grzegorz z Nyssy mówił w IV wieku, że niebo jest w nas.

Czy w historii protestantyzmu zdarzył się kiedykolwiek cud eucharystyczny?

JS: Nigdy. Nie mamy kategorii pojęciowych, żeby takie zdarzenie rozpoznać i sensownie opisać.

© Rozmawiał ARTUR SPORNIAK

Parafia po ludzku

JACEK TARAN

To ma być wspólnota ludzi świeckich, a biskupi chcą, żeby służyła księżom. To się nie może udać.

POLSKIE PARAFIE STOJĄ DZIŚ PRZED koniecznością zmian nie tylko w funkcjonowaniu administracyjnym, ale przede wszystkim w podejściu do ludzi i budowaniu z nimi relacji. Jak mówi „Tygodnikowi” ks. Radek Rakowski, proboszcz poznańskiej parafii Łacina pw. Imienia Jezus: – Trzeba przede wszystkim uwierzyć, że inny model jest możliwy, bo przecież można zrobić parafię na stu metrach i taboretach, nie trzeba od razu budowli z marmuru.

Postanowiliśmy przyjrzeć się polskiej proboszczowskiej codzienności.

Nauka w boju

Głównym problemem proboszczów okazuje się brak czasu, ten bowiem przeznaczają w dużej mierze na zadania administracyjno-gospodarcze. Ks. Mirosław Tykfer z poznańskiej parafii św. Jana Marii Vianneya mówi tak: – Jest zabytkowy cmentarz, na którym stale są remonty. Konieczne są pozwolenia, konsultacje z konserwatorem zabytków, trzeba szukać finansowania.

Według ks. Tykfera dużo czasu zajmują procedury sądu kościelnego. To głównie sprawy o stwierdzenie nieważności małżeństwa, w których konieczne są kilkogodzinne wywiady ze świadkami. Nie mało czasu zabierają też sąsiedzkie spory – komuś przeszkadzają głośniki kościelne, ktoś złamał rękę na terenie kościoła i domaga się odszkodowania.

Ks. Paweł Żarkowski, proboszcz małej parafii w Grochowsku (diecezja wrocławska), potwierdza te doświadczenia. – Najwięcej czasu zajmuje troska o gospodarowanie i zarządzanie parafią – mówi. – Kościół jest zabytkowy, do re-



PARAFIA ŁACINA / FACEBOOK

Msza w kaplicy parafii Imienia Jezus na poznańskim osiedlu Łacina. Mszę celebrowała księżka Radek Rakowski. Poznań, 7 stycznia 2024 r.

montu konieczne jest załatwianie rozmaitych papierów, szukanie dofinansowania dla prac konserwatorskich. Potrzeby *stricto* duszpasterskie to coś bardzo nieregularnego. Nie mogę powiedzieć, że stale chodzę i pocieszam zgnębionych. Do chorych jeżdżę dość regularnie. Proboszcz to często taki rolnik, który oprócz pracy gospodarskiej spełnia funkcje duchowe: to mszę odprowadzi, ślubu udzieli, pogrzeb odprowadzi.

Do zarządzania parafią nikt proboszczów nie przygotowuje. Zresztą nie tylko do tego. Ks. Tykfer: – Nie przygotowano nas dobrze do dwóch zasadniczych ról: lidera społecznego, bo niezależnie od tego, że proboszcz jest osobą duchową, to powinien być też liderem wspólnoty. Nie jesteśmy też dobrze przygotowani do zarządzania. Są kursy dla proboszczów, ale to o wiele za mało. Reszty trzeba się nauczyć w boju.

Biuro on-line

Rozwiązaniem może być model, który funkcjonuje w innej poznańskiej parafii. To eksperymentalna parafia na osiedlu Łacina. Proboszczem jest wspomniany ks. Radek Rakowski. Zatrudniona tam menadżerka Dominika Iwaszuta zajmuje się pracami administracyjno-organizacyjnymi. Ks. Rakowski nazywa swoją placówkę pierwszą cyfrową parafią w Polsce. Kaplica, która zlokalizowana jest na parterze zwykłego bloku pomiędzy psim fry-

zjerem a dentystą, otwiera się na aplikację. Całe biuro parafii jest on-line. Praktycznie nie ma już ofiar gotówkowych.

Ks. Rakowski: – Dzięki temu, że mam osobę do zarządzania parafią, mogę się skupić wyłącznie na głoszeniu Ewangelii, na pracy duszpasterskiej. Na to poświęcam najwięcej czasu. Nie chciałbym stać się taką typową parafią, w której będzie kościelny, organista, ministranci. U nas na mszy, codziennie od dwóch lat, inna osoba czyta czytanie, inna śpiewa psalm, inne przynoszą dary. Ludzie sami prowadzą nabożeństwa różańcowe czy majowe. Ja tylko spowiadam i jestem do dyspozycji w sprawach duchowych. Chciałbym, żeby nie interesowały mnie sprawy materialne, ale one jeszcze bardzo mnie obciążają.

Ks. Żarkowski z Grochowskiej podpowiada też inne rozwiązanie: – Widziałem, jak funkcjonuje to w Wielkiej Brytanii i USA, gdzie kilka parafii składa się na jedną księgową, która prowadzi sprawy administracyjne.

Co Bogu, co cesarzowi

Teoretycznie łatwo rozróżnić, jaka część przychodu powinna być zagospodarowana na potrzeby parafii, a jaka idzie do kieszeni księdza. Przyjęło się, że pieniądze z tacy zasilały budżet parafii, a ofiary składane na intencje mszalne, opłaty za pogrzeby, śluby – są wynagrodzeniem →

→ księdza. W praktyce nie jest to takie proste. Ks. Tykfer zdradza: – Jeśli ktoś przynosi pieniądze na dobro kościoła, np. na remont, to wiadomo, że tego nie ruszam, to są pieniądze kościelne. Ale co zrobić, jak ktoś daje naprawdę dużą ofiarę za intencję mszalną, na przykład tysiąc złotych, co jest kwotą o wiele przekraczającą standardową sumę? Teoretycznie to są pieniądze, które mogą iść do mnie, ale ktoś je przekazuje z informacją, że to na potrzeby kościoła. Przecież nie będę dyskutował, że to moje. Więc ze względu na deklarowane cele te pieniądze czasami się mieszają. Co wtedy robić? Staram się w takiej sytuacji przyjąć przeciętną kwotę ofiary dla siebie, a resztę pieniędzy przekazuję na parafię.

W parafiach działają rady ekonomiczne, co jest obowiązkiem nałożonym na proboszczów przez prawo kanoniczne. Proboszczowie, z którymi rozmawialiśmy, zgodnie twierdzą, że są one bardzo pomocne przy zarządzaniu parafią. W latach 2021-23 w diecezji poznańskiej odbywał się synod lokalny, który określił zasady działania rad ekonomicznych. Mają one wgląd w budżety parafii, znają kwoty przychodu, mogą kontrolować wydatki.

W cyfrowej parafii Łacina nawet sami wierni inaczej podchodzą do kwestii finansów. – Nasi parafianie chcą – mówi ks. Rakowski – żebyśmy ustalili taki abonament, jak za Netflix. Oczekują, że rada ekonomiczna obliczy, ile mniej więcej każda rodzina powinnałożyć. Potrzeby są duże, nie mamy nic swojego, wszystko wynajmujemy. Czysze są dużym obciążeniem. Rada ekonomiczna jest bardzo pomocna, zależy nam na przejrzystości ekonomicznej, a to dość rzadka sprawa w polskich parafiach. Niestety te rady w wielu miejscach to fikcja – uważa ks. Rakowski.

Poznajmy się

Księża podkreślają, że dobre zarządzanie parafią możliwe jest wyłącznie we współpracy z wiernymi. Potrzebne jest zatem budowanie relacji, przyjaźni. Konieczna jest więc oparta na współodpowiedzialności za wspólnotę. Jak ją zbudować? Recepta wydaje się dość prosta.

– Trzeba synodalności – mówi ks. Tykfer. – Ale trzeba też wychodzić do ludzi. Organizować wycieczki, zapraszać na kawę na probostwo, odwiedzać parafian. Im więcej przyjaźni, tym więcej współpracy. Synodalność może przyspieszyć te procesy.

Ks. Rakowski: – Stoję pół godziny przed mszą i każdego witam, każdego znam. Po mszy pijemy kawę, dzieci piją czekoladę, rodzice rozmawiają. Jesteśmy razem. Kaplica staje się miejscem spotkań. Jest ekspres do kawy, stół, kanapa. I ci ludzie się tam spotykają, na przykład robią sobie różańce do późnych godzin nocnych, rozmawiając ze sobą. Tak się tworzą relacje.

Kuria się czepia

Okazuje się, że czasem trudniej niż z wiernymi jest zbudować relacje z kurią biskupią. Szczególnie widoczne to jest w placówce Łacina, która swoim modelem znacząco odbiega od typowej parafii. Ks. Rakowski: – Z innymi parafiami czy urzędami komunikujemy się mailowo albo przez portale społecznościowe. Relacje z kurią? Jak pablokowałem donosicieli na Facebooku i Instagramie, to jest spokój. Średnio co dwa miesiące jestem wzywany do biskupa. I zwykle to są „skandale” typu, że teksty na naszej stronie internetowej o sakramentach pisali świeccy. Wielu to się nie mieści w głowie. Tylko że w naszej kaplicy, zrobionej w pomieszczeniu na sklep, mieliśmy w zeszłym roku 21 ślubów. To więcej niż w innych kościołach diecezji. Tak się dzieje, bo piszemy do tych ludzi ich językiem. I tłumaczę władzy kościelnej, że na tle tego, co się dzieje w Kościele, naprawdę nie trzeba być bardzo starać. Czasami wystarczy być miłym i pomocnym.

Ks. Rakowski podkreśla, że istotne jest to, iż parafia ma być dla ludzi, ma służyć wiernym, ma budować wspólnotę osób świeckich, a nie duchownych. – Oni chcą, żebym tworzył parafię dla księży. Komunikaty na Facebooku, Instagramie powinny być tak napisane, żeby biskup i księża byli zadowoleni. Odpowiadam: jak mi kiedyś zlecicie tworzenie parafii dla księży, chętnie to zrobię, ale na razie parafia jest dla świeckich.

Kuleje komunikacja

Ks. Tykfer podkreśla, że w relacjach z kurią konieczne są zmiany i poprawa dialogu. – Wielu księżom kuria kojarzy się głównie z tym, że deleguje ciągle nowe zadania do wypełnienia, domaga się pieniędzy i wysyła kontrole. Księża czują się przepracowani. Ja wiem, że słysząc to w Polsce, ktoś pomyśli: „ciekawe czym?” – ale tu naprawdę chodzi o liczbę zadań, które masz na głowie. W pewnym momencie zaczy-

nasz je odkładać, w końcu zaczyna cię to przerastać, pojawia się groźba wypalenia, depresji. Synodalność może doprowadzić do innego modelu zarządzania z centrali. I lepszego przyjrzenia się temu, co księża rzeczywiście robią – twierdzi ks. Tykfer.

Problemy z dialogiem zauważa też ks. Rakowski: – W Kościele kuleje komunikacja. Między księżmi a biskupami i między księżmi a świeckimi. Kiedy zmienimy język, Kościół popłynie do przodu. Tylko się trzeba otworzyć na Ducha Świętego, otworzyć się w odwadze. Do tego jednak potrzebna jest zmiana myślenia samych księży.

Mówi o tym ks. Paweł Żarkowski: – Panuje narracja oparta na twierdzeniu, że świat nas prześladowa, że jesteśmy zewsząd atakowani. Mamy zewrzeć szeregi, nie dopuszczać wątpliwości. Mam nadzieję, że pod tym tkwią jakieś dysydencje odruchy, tylko nie ujawniamy się na forum publicznym. Jak liczne są te odruchy, tego nie wiem, bo narracja obłożonej twierdzy jest dość głośno artykułowana.

Jakie dary potrzebne

Trudno stwierdzić, na ile powyższe historie są reprezentatywne dla całego środowiska. Zbierając materiały do tekstu, zwróciliśmy się z prośbą o rozmowę do blisko dwudziestu proboszczów z różnych regionów Polski. Ich reakcja była na ogół nacechowana niechęcią. Rozmawiać zgodzili się tylko ci, których działalność i profil osobowy nie są typowe dla przeciętnego proboszcza.

Ks. Mirosław Tykfer jest doktorem teologii fundamentalnej, byłym redaktorem naczelnym „Przewodnika Katolickiego”, wykładowcą na Wydziale Teologicznym Uniwersytetu im. Adama Mickiewicza w Poznaniu. Ks. Radek Rakowski był proboszczem na Karaibach, w Trinidadzie i Tobago, a jeszcze jako kleryk pracował w Chicago. Ks. Paweł Żarkowski jest wykładowcą w Wyższym Seminarium Duchownym we Włocławku.

Nie jest to reprezentacja typowa dla blisko dziesięciu tysięcy proboszczów diecezjalnych pracujących w naszym kraju. Jeśli zatem mamy się modlić do Ducha Świętego o dary dla kadry zarządzającej polskimi parafiami, to chyba najbardziej potrzebny jest dar męstwa. Wraz z nim przyjdzie może i chęć do dialogu oraz umiejętność wyjścia poza ramy fabuły o obłożonej twierdzy. © JACEK TARAN

WOJCIECH

Bonowicz: Zadanie



DWORZEC GŁÓWNY W KRAKOWIE. Z pociągu, do którego mam wsiąść, wysiada młoda kobieta z dwuletnim chłopczykiem w szerokim i chyba dość ciężkim wózku. Kobieta ma też sporą walizę i jeszcze torbę, wszystko to razem stara

się ogarnąć sama, pomoc innych przyjmując z pewnym lękiem. Jest ubrana w kolorowy, firmowy dres, makijaż ma staranny i mocny, a włosy sztucznie rozjaśnione. Mimo że stoję naprzeciwko, szuka wzrokiem kogoś w mundurze, a kiedy udaje jej się przywołać konduktora, pyta, gdzie mogłaby kupić bilety na lotnisko. „Niech pani mówi po polsku. Nie rozumiem ukraińskiego”, odpowiada mrukliwie konduktor i szybko odchodzi. Dopiero wtedy kobieta zwraca się do mnie, w słowa z rodzimego języka wplatając kilka angielskich. Usiłuję wytłumaczyć, że automaty biletowe są na dole, wskazuję też tablicę, na której wyświetla się numer odpowiedniego peronu. Rozkładałam przepraszająco ręce, dając do zrozumienia, że chętnie bym pomógł bardziej, ale muszę wsiadać. „*Niczoho, niczoho...*”, odpowiada z uśmiechem i dopiero wtedy robi się podobna do chłopca w wózku.

Na stacji benzynowej obsługuje mnie Tatiana. Ona z kolei mówi płynnie po polsku, prawie nie słychać wschodniego akcentu. Jest bardzo uprzejma, choć oczy ma zmęczone, bo jest za ladą sama, a klienci nie tylko płacą za benzynę, ale też zamawiają kawę lub hot-doga. Mam ochotę spytać, skąd przyjechała, ale zaraz zjawia się inna myśl – że może byłoby to niegrzeczne, może zbyt często słyszy to pytanie, może robi wszystko, żeby się wtopić, nie odróżniać. Tego samego dnia po południu trafiam przypadkiem na dużą budowę, przez którą muszę przejechać samochodem. Drogę zagradza mi koparka, podchodzi do mnie jeden z robotników, na oko czterdziestoparoletni. Niski i krępy mężczyzna o sympatycznym,

choć niepełnym uśmiechu, tłumaczy mi wszystko czystym ukraińskim, cierpliwie i serdecznie, ale ledwo go rozumiem. Mimo to potakująco kiwam głową, powtarzam „super” i „dziakuju”, a kiedy koparka robi mi miejsce, macham mu na pożegnanie.

Wojna trwa. Piszemy o niej od przeszło dwóch lat. Teraz przysunęła się jeszcze bliżej, odkąd coraz więcej się mówi o akcjach dywersyjnych w Polsce. Choć mniej spektakularne działania dywersyjne towarzyszą przecież wojnie od początku. Wśród nich ta, której przeciwdziałać najtrudniej: urabianie negatywnej opinii o Ukraińcach wśród Polaków i o Polakach wśród Ukraińców. Nagłaśnianie przykładów, które mają zniechęcić jednych do drugich, przedstawianie Ukrainek i Ukraińców jako „zabierających pracę Polakom”, a państwa ukraińskiego jako „zalewającego Polskę tanim zbożem”, eksponowanie głosów tych polskich polityków, którzy w antyukraińskiej narracji dostrzegali paliwo dla siebie. Niektórzy z owych polityków zresztą nie wydają się cyniczni, naprawdę życzą źle Ukrainie i naprawdę chcą, żeby uchodźców zza wschodniej granicy traktować jako obywateli drugiej kategorii.

Tej dywersji, powtarzam, przeciwdziałać najtrudniej. Złe słowo rozprzestrzenia się bardzo szybko, a negatywne przykłady kleją się do wyobraźni. Ze złych słów i zniekształconego obrazu biorą się odruchy najpierw zniecierpliwienia, potem niechęci, w końcu agresji. „Jeśli już muszą tu być, niech się zachowują tak a tak...”, „Oni tu sobie domy kupują, furami się rozbijają...”, „Język ukraiński w szkole? A po co? Niech po polsku mówią...”. Najtrudniej wypowiedzieć wojnę temu, co załęgło się w nas samych, co jakoś już nas przeniknęło. Wydawałoby się, że historia w tej sprawie pozostawiła nam dostatecznie dużo znaków ostrzegawczych. Ale okazuje się, że znaki śniedziej, przewracają się, czasem ktoś celowo je przestawi.

Trzymamy się całkiem nieźle. Ale „całkiem nieźle” to za chwilę może być za mało. Stąd moje przypomnienie, stąd apel o nieustanną czujność. Trzymamy się – ale czy wytrzymamy? ©

OGŁOSZENIE

Zapraszamy na spotkanie Klubów „Tygodnika Powszechnego”

TRÓJMIASTO, poniedziałek 3 czerwca, godz. 18.00, spotkanie z Piotrem Zatoniem, „Historia obnażona. O wojennych losach Kaszubów w filmie »Jutro będzie padać«”, Oliwski Ratusz Kultury (ul. Opata Jacka Ribińskiego 25, Gdańsk)

KRAKÓW, czwartek 6 czerwca, godz. 18.30, spotkanie z prof. Dorotą Probućką, „Prawa zwierząt czy ich dobrostan?”, cykl „Eko czwartki”, Piwnica Powszechna (ul. Pijarska 5/20)

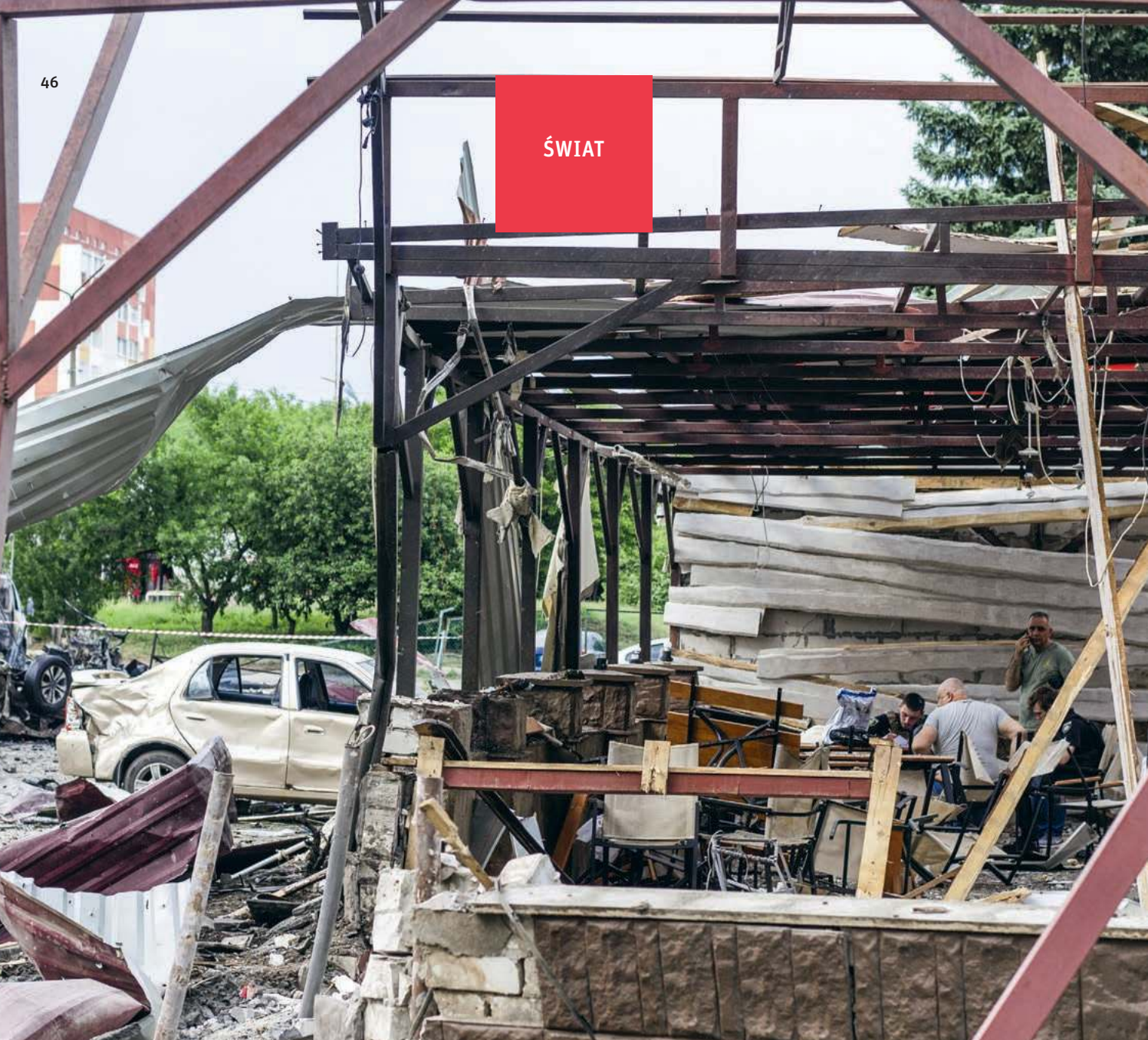
ŁÓDŹ, czwartek 6 czerwca, godz. 19.30, spotkanie autorskie z dr. hab. Markiem Kitą, „Zostać w Kościele. Zostać Kościołem”, aula klasztoru dominikanów (ul. Zielona 13)

REZERWUJ CZAS!

ZESKANUJ I SPRAWDŹ



więcej informacji na KlubTygodnika.pl/wydarzenia



Zniszczona przez rosyjską rakietę kawiarnia, Charków, 22 maja 2024 r.

SZKŁO WYMYŚLONO W CZASACH POKOJU

Na ulicach Wołczańska trwa regularna walka.
Ludzie opuszczają miasto pieszo.
Z drogi na południe zabiera ich wojsko albo policja.

TEKST I ZDJĘCIA: **ANTONINA PALARCZYK** Z OBWODU CHARKOWSKIEGO

ZÓŁTA SZWEDZKA CIĘŻARÓWKA, ZA KTÓREJ kierownicą zasiada Wowa, charkowski wolontariusz, przeżyła niejedno. Z ekipą organizacji „Jedność i Siła” na pokładzie i tonami pomocy humanitarnej docierała już do Kupiańska na północnym odcinku frontu, Chersonia pogrążonego w powodzi czy szeregu miejscowości w obwodzie donieckim.

Jesienią zeszłego roku kursowała między charkowską kostnicą, cmentarzem i zakładem pogrzebowym. Na wolontariuszy spadło smutne zadanie przewożenia ciał ofiar rosyjskiej rakiety, która uderzyła w kawiarnię, gdzie odbywała się stypa. Zginęło blisko sześćdziesiąt osób.

Dzisiaj krwawe żniwo wśród cywili zbiera rosyjska ofensywa na nowym odcinku frontu, w okolicy przygranicznych miejscowości – Wołczańska i Lipców. Jak zawsze w takich okolicznościach, gdy trzeba zająć się ewakuacjami i pomocą poszkodowanym, pojawiają się wolontariusze.

Dlatego Wowa swoją ciężarówkę kieruje w tamtą stronę.

Za chwilę mogą tu być Rosjanie

Opuszczamy Charków wczesnym rankiem. Na block poście – posterunku wojskowym przy wyjeździe z miasta – Wowa przepuszcza transport „smoczyców”, czyli elementów fortyfikacji polowych, spowalniających wroga czołgi. Pewnie jadą w tym samym kierunku.

Za naszymi plecami słychać głucho rąbnięcie. Na lokalnych kanałach telegramowych już po chwili piszą: „Minutę temu słychać było eksplozję, pozostanie w schronach. Choć pewnie nikt do tych schronów w Charkowie nie chodzi”. Pod spodem wysyp komentarzy: „Zajebicie, zadzwonię do roboty i powiem, że gdzieś daleko słychać wybuchy, więc poszłam do schronu”. „Nie da się pójść, gdy się nie wie dokąd. W mojej okolicy wszystkie piwnice zamknięte na kłódkę. Gdzie w takiej sytuacji szukać schronienia? W dziurze w drodze czy pobliskich krzakach?” „Przez trzy lata nie udało ci się rozwiązać tego problemu?” – odpowiada zaczepnie kolejna osoba.

Czułujew, wyzwolone w 2022 roku 30-tysięczne miasto, mijamy po drodze. Wita nas kłębam dymu i szybko znika z oczu. Tu też, jak przed chwilą w Char-



Wowa na tle swojej ciężarówki, którą nasza korespondentka dotarła pod Wołczańsk, 22 maja 2024 r.

kowie, spadła rosyjska rakietą. Trafiła w przedszkole. Skręcamy w stronę Wołczańska, mijamy remontowany most, wysadzony jakiś czas temu, gdy trwały walki wokół Charkowa. Roboty są już w końcowej fazie, jakby zupełnie ignorowano ryzyko, że na jego ponowne otwarcie mogą tu już być Rosjanie.

Miasto zrównane z ziemią

– Jak nad morzem – mówi Wowa, gdy przejeżdżamy przez niewielką zaporę na Dońcu, również częściowo wysadzoną. – Dwa lata temu tu była granica okupacji. Gdy przyjeżdżaliśmy z pomocą humanitarną, mieszkańcy z drugiej strony przechodzili po nią małą kładką.

Nad wodą unosi się lekka warstwa mgły, która stopniowo, im dalej od rzeki, przekształca się w siną powłokę dymu. Płonie las wzdłuż rzeki. Kwitnie też akacja. Od tej mieszanki łzawią oczy. A Wowa opowiada dalej.

– Gdy ruszyła ofensywa, zaczęliśmy wywozić cywilów. Już wcześniej ewakuowano dzieci.

Ze względu na bliskość rosyjskiej granicy Wołczańsk praktycznie codziennie był pod rosyjskim ogniem. Nigdy jednak na taką skalę jak teraz, gdy dosłownie zrównano go z ziemią.

– Ludzie dzwonili na gorącą linię z prośbą o ewakuację. W Charkowie jest centrum koordynacyjne, z którym współpracuje nasza organizacja. Choć nie wszyscy stosują się do jego poleceń. Już pierwszego dnia zginęło dwóch wolontariuszy. Zapędzili się za daleko, wpadli w ro-

syjskie ręce, zostali rozstrzelani, busa zabrano.

Tym razem się poszczęściło

Przydroże usiane jest ostrzeżeniami o minach, drogowskazami do ośrodków wypoczynkowych i tablicami przestrzegającymi przed zaproszeniem ognia, z czasów, gdy zagrożeniem był wyrzucony niedbale niedopałek, a nie rosyjska artyleria i pociski zapalające.

Zbliżamy się do skleconego naprędcy wojskowego posterunku.

– To już ostatni block post przed Wołczańskiem – mruczy Wowa. Przez okienko podaje nasze dokumenty młodzieńcowi z przewieszonym przez pierś automatem. Czerwona okładka mojego paszportu jest tak wytarta, że ledwo widać resztki złotego orzełka. Żołnierz robi niewyraźną minę.

– Polski paszport z daleka jest podobny do rosyjskiego – Wowa szczerzy się w uśmiechu. Włeczemy się dalej po drodze dziurawej jak sito. Kierowca ciągnie dalej swoją opowieść.

– Część mieszkańców nie chciała się ewakuować. Jeszcze rano stanowczo odmawiali, ale wieczorem, kiedy pocisk trafił w dom sąsiadów, już czekali przed bramą, ze spakowanymi torbami. Znaczny procent ludzi to osoby z niepełnosprawnościami albo starsze. Z domów trzeba je było wynosić na rękach. Razem z nimi braliśmy też zwierzęta. Babszki wsiadały do busa z kurami i gęsiami w torbach. Kiedyś wiozłem naraz trzy psy i chyba z dziesięć kotów, które



Zniszczony trolejbus na ulicy Charkowa, 22 maja 2024 r.

⇒ zaczęły dziką awanturę. Trzeba to było wytrzymać, a jednocześnie starać się nie wpaść pod rosyjski ogień.

– Od pierwszego dnia w mieście pojawiło się mnóstwo dronów FPV. Jak się chce przed takim uciec, trzeba jechać przynajmniej 80 km/h. Gonił nas jeden, ale zdążyłem schować się samochodem pod drzewem. Rozbił się w jego koronie. Drugi zrzucił pocisk na drogę przed nami, ale ten jakimś szczęśliwym trafem nie wybuchł. O tak, tamtego dnia zdecydowanie nam się poszczęściło.

Wolontariusze już tam nie wjeżdżają

– Rozumiem tych starszuchów, którzy zwlekali z wyjazdem aż do teraz, gdy już naprawdę nie ma wyjścia – kontynuuje Wowa. – Gromadzili swoje malutkie majątki przez dziesięciolecia, mają jakieś gospodarstwa. A teraz musieli się spakować w dwie, trzy torby. I wyjechać z domu ze świadomością, że go już nigdy nie zobaczą, przynajmniej w całości. O ile w ogóle uda się wrócić do Wołczańska. Dzisiaj, niemal dwa tygodnie od rozpoczęcia ofensywy, wolontariusze już tam nie wjeżdżają. Przedtem też wiązało się to z dużym ryzykiem. Każdego dnia Rosjanie byli bliżej i bliżej. Dzielnice najbardziej wysunięte na północ, w stronę granicy, były poza naszym zasięgiem już od pierwszego dnia. Ludzie szli w naszym kierunku, zgarnialiśmy

ich z ulic i skrzyżowań. Jeździmy zwykłymi busikami, nie mamy opancerzonych pojazdów. Byle ostrzał i samochód zniszczony, a ludzie w najlepszym wypadku ranni.

Teraz już są regularne walki w całym mieście. Ludzie opuszczają Wołczańsk pieszo. Z drogi idącej na południe zabiera ich wojsko albo policja. Gdy tak rozmawiamy, na Telegramie pojawia się nagranie, jak rosyjski pocisk uderza w policyjny samochód wywożący z Wołczańska cywili.

Jeszcze żyjemy, choć jak bezdomni

Docieramy na miejsce. Nasza ciężarówka będzie dziś potrzebna do transportu wyposażenia z wołczańskiego szpitala, przewiezonego do położonej kilkanaście kilometrów na południe szkoły. Kilka dni wcześniej był w niej też punkt przesiadkowy dla uchodźców, ale szybko został dostrzeżony przez rosyjski dron zwiadowczy. Teraz budynek straszy wybitymi oknami, a pod butami biegających tam i z powrotem pracowników szpitala chrzęszczą szklane okruchy.

Pobliska droga zamieniła się w tor wyścigowy dla karetek, pociągniętych zgniłozieloną farbą, i „kozaków” – uzbrojonych pojazdów ukraińskiej produkcji. Z niedalekich krzaków padają raz po raz ogłuszające serie wystrzałów ukraińskich wyrzutni rakietowych. Wśród

nerwowych krzyków wynoszone są dokumentacja, fotel ginekologiczny i metalowe ramy łóżek.

– Jesteśmy z Wołczańska, ale nie wiemy, czy cokolwiek z niego zostało – mówi zrezygnowanym głosem Andriej, jeden z pracowników szpitala, którzy teraz siedli na skraju naszej ciężarówki, ćmiąc papierosy. – Na mojej ulicy zostało dwóch mieszkańców, jeden na jej końcu, drugi na początku. Jesteśmy w kontakcie, wiem, że żyją. My też żyjemy, tyle że jak bezdomni.

– Tak, to my, z tego słynnego szpitala – dodaje ktoś inny.

Budynek był w części miasta kontrolowanej przez Rosjan, został ostrzelany przez wojsko ukraińskie, które podejrzewało, że skrył się w nim przeciwnik. Dla tego było o nim głośno.

– Szpital pracował za okupacji i po wyzwoleniu. Teraz przyszedł koniec. A my nie wiemy, gdzie się podziać. Nawet w tej szkole nas ostrzelali. To tylko kwestia czasu – dodaje Andriej i nic już więcej nie mówi.

To już rutyna

– W mieście coś uderzyło – relacjonuje bezbarwnym głosem Wowa, gdy w drodze powrotnej zatrzymuje ciężarówkę na stacji benzynowej. W jednej ręce trzyma hot-doga, w drugiej telefon z otwartym Telegramem. Do bazy w Charkowie wraca tylko na chwilę – nie żeby odpocząć, ale by zapakować stos płyt OSB. To już rutyna. Po każdym rosyjskim ostrzale wolontariusze zawożą poszkodowanym płyty, którymi zabezpiecza się okna, wybite falą uderzeniową.

– I tak każdego dnia, nie nudzimy się. Ewakuacja, ostrzał, konserwacja. Niedługo całe miasto będzie zbudowane z płyty OSB – mówi Wowa, który jutro znów pojedzie do wołczańskiego rejonu, by zgarnąć z drogi uciekających z miasta mieszkańców.

Rutynowo pracują też służby porządkowe. Odłamki rakiety, która uderzyła w pobliską kawiarnię, posiekały wszystko wokoło – w ich zasięgu znalazły się okoliczny blok i trolejbus, teraz naznaczony krwią kierowcy. Następnego dnia znów spada ich na Charków kilkanaście. I znów chrzęst szkła, bo wokół wylatują okna.

Szkoło to jednak wynalazek z czasów pokoju. © ANTONINA PALARCZYK

W jednej lidze z Putinem

MAREK MATUSIAK

Międzynarodowy Trybunał Karny w Hadze będzie rozpatrywał wniosek o nakaz aresztowania Benjamin Netanjahu „za zbrodnie wojenne”.

W 2019 r., PRZED WYBORAMI PARLAMENTARNYMI w Izraelu, na siedzibie partii Likud – betonowym biurowcu w centrum Tel-Awiwu – zawisły cztery ogromne banery. Na każdym premier Benjamin Netanjahu ścisnął dłoń innego zagranicznego lidera – Trumpa, Xi, Modiego albo Putina. Slogan głosił: „Netanjahu – inna liga”. „Inna”, a zatem poza zasięgiem jego konkurentów. Kampanię tę wyśmiewano wtedy jako przejaw pychy i bufonady. Teraz jednak nabrała nowego znaczenia, bo jej bohater rzeczywiście ma szansę znaleźć się z Putinem w jednej lidze – przywódców objętych nakazem aresztowania Międzynarodowego Trybunału Karnego (MTK).

Uzasadnione powody

20 maja Karim Khan, prokurator MTK, poinformował, że zwróci się do Trybunału o wydanie nakazu aresztowania dla trzech liderów Hamasu oraz dwóch izraelskich polityków – ministra obrony Jo’awa Galanta oraz właśnie szefa rządu. Khan uznał, że istnieją „uzasadnione powody”, aby podejrzewać te osoby o odpowiedzialność za zbrodnie wojenne oraz zbrodnie przeciwko ludzkości, popełnione w trakcie konfliktu zbrojnego trwającego od 7 października ub.r. W przypadku hamasowców lista obejmuje m.in.: eksterminację, zabójstwo, tortury, a także gwałt oraz inne formy przemocy seksualnej. W przypadku polityków izraelskich podejrzewania dotyczą na-

tomiast głodzenia ludności cywilnej jako metody prowadzenia wojny, umyślnego sprawiania wielkich cierpień albo ciężkich uszkodzeń ciała i zdrowia, zamierzonego zabójstwa, zamierzonego kierowania ataków przeciwko ludności cywilnej, a także eksterminacji. Prokurator podkreślił zarazem, że dochodzenia nadal trwają, co oznacza, że możliwe jest zarówno rozszerzenie listy podejrzeń, jak i złożenie wniosków dotyczących kolejnych osób.

To, czy nakazy zostaną wydane, zależy teraz od Trybunału, a konkretnie jego trzyosobowej izby przedprocesowej, złożonej z sędziów z Francji, Rumunii i Beninu. Co i kiedy zdecydują – nie wiadomo. W przypadku Putina w 2023 r. rozpatrywanie wniosku trwało mniej niż miesiąc. W przypadku Omara al-Baszira (b. prezydenta Sudanu) w 2009 r. – aż dziewięć miesięcy. Jeżeli jednak sędziowie przyjmą argumentację prokuratora, wszystkie 124 państwa (w tym Polska), które ratyfikowały Statut Rzymski, ustanawiający MTK, będą miały obowiązek wykonania nakazu aresztowania.

Prokurator (ani sam Trybunał) nie ocenia walczących stron jako takich. Nie wypowiada się także – w tym przypadku – co do samego konfliktu ani tego, czy powinien być toczony. Stwierdza jedynie, że istnieje podejrzenie, iż w jego trakcie popełniano zbrodnie wojenne, i wskazuje osoby potencjalnie odpowiedzialne. Przykładowo głód w Gazie jest faktem, podobnie jak to, że spowodowany jest działaniami izraelskimi, m.in. zamykaniem przejść granicznych, długotrwałym wstrzymywaniem transportów czy ich zawracaniem z niejasnych przyczyn. Pytanie dotyczy jedynie tego, czy dowody zgromadzone przez Khana pozwalają uzasadnić podejrzenie, że Galant i Netanjahu ponoszą za tę sytuację osobistą odpowiedzialność.

Natomiast co do jurysdykcji MTK – Izrael jako suwerenne państwo ma prawo jej nie uznawać (tak jak nie uznają jej Stany Zjednoczone, Federacja Rosyjska czy Chiny). Od 2015 r. uznaje ją natomiast Palestyna, co oznacza, że Trybunał może zajmować się zarówno zbrodniami



Karim Khan, prokurator Międzynarodowego Trybunału Karnego, Wyszorod k. Kijowa, luty 2023.

W takim scenariuszu świat Netanjahu i Galanta bardzo się skurczy.

Nieprzekonujące argumenty

Decyzja Karima Khana spotkała się – co nie zaskakuje – z ostrym sprzeciwem Izraela. Stwierdzono m.in., że MTK nie ma w odniesieniu do Izraela jurysdykcji, prokurator zrównał suwerenne państwo z organizacją terrorystyczną, a także dopuścił się – to zdanie samego Netanjahu – „czystego antysemityzmu”. Argumenty te nie wydają się jednak przekonujące.

popełnionymi przez Palestyńczyków (np. zamachem z 7 października), jak i tymi popełnionymi na terytoriach palestyńskich (czyli m.in. w Gazie). A jeśli chodzi o „czysty antysemityzm” – szafowanie tym oskarżeniem przez Netanjahu na prawo i lewo za każdym razem, kiedy izraelskiemu przywódcy coś się nie podoba, nie służy jego wiarygodności i rozmywa kontury samego pojęcia. Zwłaszcza w sytuacji, gdy od początku wojny na zarzut ten narażona była już znaczna część organizacji i instytucji międzynarodowych. ©

Sekwana warta igrzysk

SZYMON ŁUCYK Z PARYŻA I SEINE-SAINT-DENIS

Olimpijski płomień zmierza do Paryża, a Francja odlicza dni do igrzysk. Na dwa miesiące przed olimpiadą w chórze sporów i narzekania przebijają się głosy entuzjastów.

SMIAŁA, OLŚNIEWAJĄCA, HISTORYCZNA, łamiąca schematy – przymiotniki można mnożyć. Taka ma być, wedle zapowiedzi organizatorów, ceremonia otwarcia letnich igrzysk olimpijskich, zaplanowana na 26 lipca 2024 r. w Paryżu.

Po raz pierwszy w historii uroczystość ta ma odbyć się poza stadionem i do tego po części na wodzie. W paradzie na Sekwanie ma popłynąć około 100 statków z delegacjami wszystkich krajów biorących udział w olimpiadzie. Na trasie tej rzecznej defilady ze wschodu na zachód Paryża – od mostu Austerlitz po wieżę Eiffla – widowisko będzie śledzić 320 tys. widzów (miało być dwa razy tyle, ale liczbę zredukowano ze względów bezpieczeństwa). Finał ceremonii, wraz z artystycznym spektaklem, odbędzie się na esplanadzie Trocadéro, rozciągającej się nad Sekwaną, *vis-à-vis* wieży Eiffla.

Gotowi na każdy wariant

Ceny biletów wstępu na tę ceremonię wahały się, zależnie od miejsca, od 90 euro do 2700 euro. Najtańsze zniknęły natychmiast, więc wielu chętnych odeszło z kwitkiem. Jak mieszkający pod Paryżem Théo Timboussaint, na co dzień trener klubu piłkarskiego Red Star FC i społecznik. Jest nieco rozczarowany: – Igrzyska nie powinny być świętem dla wybranych. Nie każdego stać, by płacić kilkaset euro za oglądanie otwarcia igrzysk.

Jednak nie jest przesądzone, że ci, którzy kupili bilety, obejrzą obiecane *show*. Rzeczna parada to scenariusz idealny. Natomiast prezydent Emmanuel Macron zapowiedział już, że gdyby okazało się, iż zagrożenie atakiem terrorystycznym jest wysokie, wówczas w grę wchodzi warianty B lub C. Jeden i drugi bez parady na Sekwanie.

Prasa zaznacza, że według wariantu B spektakl wprawdzie odbędzie się, ale wy-

łącznie na Trocadéro. A trzeci wariant? Dojdzie do niego, jeśli sygnały od służb antyterrorystycznych będą alarmujące: wtedy przewidziano tylko protokolarne otwarcie imprezy na stadionie Stade de France w Saint-Denis, bez jakiegokolwiek części artystycznej.

Francuzi są jednak przekonani, że ceremonia na Sekwanie się odbędzie. Choć obaw jest mnóstwo. Wciąż dobrze pamięta się tu krwawe zamachy islamiistyczne: w listopadzie 2015 r. na paryski klub Bataclan oraz w lipcu 2016 r. na nadmorskiej promenadzie Nicei.

Okazja wymarzona

Gérald Darmanin, minister spraw wewnętrznych, w marcowym wystąpieniu w Senacie powiedział wprost, że Al-Kaida i Państwo Islamskie mają zamiar dokonać zamachu w czasie paryskich igrzysk. Choć zaznaczył, że według jego służb „na razie nie są do tego zdolne”. Nikt nie lekceważy też rodzimych islamistów, tych „niezrzeszonych”, osiadłych we Francji. Dla nich masowa impreza to wymarzona okazja do zaistnienia na oczach świata.

Według szefa MSW ochrona igrzysk to „największe wyzwanie w kwestii bezpieczeństwa i logistyki”, z jakim Francja ma od lat do czynienia. Zadanie ochrony tak



dużej imprezy jest tym bardziej skomplikowane, że część dyscyplin sportowych – to znów olimpijski precedens – odbędzie się nie na stadionach czy w halach, lecz w zaaranżowanej przestrzeni miasta, np. na Polach Marsowych (siatkówka plażowa), na placu Zgody (wyścigi kolarskie BMX i breakdance), w pałacu w Wersalu (jeździectwo).

Wszystko to sprawia, że poruszanie się po centrum Paryża będzie nie lada wyczynem. Już na tydzień przed ceremonią otwarcia całe wybrzeże Sekwany i ścisłe centrum miasta będą zamknięte dla ruchu, także pieszego; do tych stref będą mogli wejść tylko stali mieszkańcy i inne osoby, które otrzymały wcześniej specjalne kody QR.

Monitoring algorytmiczny

Dziennik „Le Monde” podaje, że w dniu otwarcia, 26 lipca, bezpieczeństwa uczestników ma chronić 45 tys. policjantów i żandarmów, a także komandosi z elitarnych jednostek terrorystycznych. Do tego należy dodać 10 statków i 4 helikoptery ze snajperami na pokładach. W czasie ceremonii przestrzeń powietrzna zostanie zamknięta w promieniu 150 km od stolicy.

Przy okazji olimpiady po raz pierwszy we Francji będzie testowany na szeroką skalę – na ulicach, dworcach, w środkach komunikacji itd. – tzw. algorytmiczny monitoring wykorzystujący sztuczną inteligencję (aby to było możliwe, konieczna była specjalna ustawa). System, oparty na stałych kamerach i dronach, ma identyfikować potencjalnie niebezpieczne zachowania i wysłać wtedy natychmiast sygnał ostrzegawczy do policji.

Ten „inteligentny” monitoring wywołuje protesty francuskich i europejskich organizacji pozarządowych, m.in. Amnesty International. Argumentują one, że to pierwszy krok do „permanentnej inwigilacji”. Skoro system ma być eksperymentowany nie tylko podczas olimpiady i paraolimpiady, ale do końca 2024 r., to – zdaniem protestujących – można się obawiać, że będzie używany także do innych celów niż ściganie przestępców i terrorystów.

Władze ripostują, że takie obawy są bezzasadne, gdyż kamery, o których mowa, nie są wyposażone w automatyczną funkcję identyfikowania twarzy. Nie przekonuje to jednak oponentów.

Piesz, rowerem, z sąsiadem

Olimpiada, rozdzielona między Paryż i kilka innych miast (część dyscyplin odbędzie się m.in. w Lille, Bordeaux, Nantes, Lyonie, Nicei i Marsylii), potrwa do 11 sierpnia. Zaraz potem, od 28 sierpnia do 8 września, Paryż będzie gościł igrzyska paraolimpijskie.

Podczas obu imprez stolica spodziewa się 15 mln kibiców – i na serio traktuje się groźbę „zatkania” transportu. Już teraz paryska komunikacja bywa przeciążona, czy to z powodu awarii taboru, czy niedostatecznej liczby maszynistów metra. Co prawda podczas olimpiady ma być więcej połączeń miejskich, a dla osób z niepełnosprawnościami podstawionych będzie 200 specjalnych autobusów, ale to może nie wystarczyć.

Od wielu miesięcy władze prowadzą kampanię medialną skierowaną do paryżan. Billboardy zachęcają, by przesiąść się na rower (latem w stolicy pojawiają się tymczasowe parkingi dla cyklistów), organizować wspólne przejazdy autem (z sąsiadem, kolegą z pracy) albo poruszać się pieszo (na krótkie dystanse). Oraz aby pracować zdalnie. Oprócz „marchewki” jest i „kij”: podczas olimpiady ceny jednorazowych biletów paryskiej komunikacji wzrosną dwukrotnie.

Związkowców skok na kasę

Wielu paryżan deklaruje, że na czas igrzysk opuści miasto, choć trudno liczyć na masowy eksodus.

– Sport mnie kompletnie nie interesuje, wyjadę na ten czas do rodziny na prowincję. Jednak mam wielu znajomych z Paryża, którzy wykupili bilety na olimpijskie zawody – mówi „Tygodnikowi” Clara, młoda mieszkanka podparyskiego Saint-Denis.

Władze obawiały się także, że podczas igrzysk transport publiczny mogą zakłócić protesty pracowników metra, kolejarzy i kontrolerów lotu – to znana francuska specjalność. Związki zawodowe tych branż zapowiedziały bowiem przerwanie pracy na okres letni, jeśli nie dostaną premii lub innych rekompensat za cięższą niż zwykle pracę.

Groźbę strajków chyba rozwiano, bo dyrekcje przewoźników zgodziły się na

Triathlon na Sekwanie – zawody testowe przed igrzyskami olimpijskimi, Paryż, sierpień 2023 r.



BERTRAND GUAY / AFP / EAST NEWS

→ większość żądań. Liberalny ekonomicznie tygodnik „Le Point” pisze o tym – nie kryjąc oburzenia – że syndykaliści „zaszantażowali” władzę i dokonali „skoku na kasę”. Jednocześnie obwinia władze o odwiekanie negocjacji i nadmierną ustepliwość.

Popluskasz się w Sekwanie

Organizatorzy mają też inne powody do zmartwienia. W tym zwłaszcza czystość Sekwany. W jej wodach, w pobliżu mostu Aleksandra III, ma się odbyć maraton pływaków na 10 km oraz część triathlonu i paratriathlonu.

Tylko czy się odbędą? To wciąż niepewne z powodu zanieczyszczenia rzeki. Gdyby spełnił się czarny scenariusz, byłaby to katastrofa prestiżowa i dla organizatorów, i dla władz państwowych.

Prezydent Macron, dopytywany przez media w końcu lutego, obiecał, że „nie długo wykąpie się w Sekwanie”. Choć daty – całkiem rozsądnie – nie chciał podać. Starsi Francuzi pamiętają, jak ówczesny mer Jacques Chirac obiecał w 1990 r., że „za trzy lata” będzie zażywać kąpieli i słowa nie dotrzymał. Z kolei władze Paryża obiecują, że w 2025 r. wszyscy paryżanie będą mogli pluskać się na trzech miejskich plażach – po raz pierwszy od stu lat, gdy zakazano kąpieli w Sekwanie!

„Czy po wydaniu 1,4 mld euro na oczyszczanie rzeki olimpijczycy będą mogli w niej pływać?” – niepokoi się „Le Figaro”. Odpowiedź ekspertów może zaskakiwać: koniec końców zależy to od pogody. Jeśli będzie ładnie, zawody się odbędą, jeśli bardzo deszczowo, zostaną przełożone o parę dni lub odwołane (zaślepczego akwenu nie zaplanowano).

Dlaczego tak? „Le Monde” wyjaśnia, że podczas obfitych opadów kanalizacja w Paryżu jest przeciążona i nadmiar nieczystości trafia wprost do rzeki. Prowadzone od ośmiu lat inwestycje pozwoliły polepszyć jakość wód, ale ulew i tak pogarszają sytuację. Ujawnione na początku kwietnia wyniki testów wykazały nadmierne stężenie w rzece bakterii pałeczki okrężnicy (*Escherichia coli*), pochodzącej z fekalii. Pozostaje zatem zaklinanie słońca...

Departament z problemami

Szacunki mówią, że organizacja igrzysk będzie kosztować ok. 9 mld euro – w ten

sposób mają one być najtańszymi w najnowszej historii. Wpływy z biletów i zwiększonej turystyki mają pokryć te nakłady – jeśli dobrze pójdzie, z pewnością.

Ale istotniejsze od tego są korzyści na dłuższą metę. Każda olimpiada to dla gospodarza szansa na przyspieszone inwestycje w infrastrukturę, procentujące na kolejne lata. Tak jest i tym razem.

Największe inwestycje z tej okazji zrealizowano w leżącym na północ od Paryża departamencie 93, czyli Seine-Saint-Denis (Seine to francuska nazwa Sekwany, a miasto Saint-Denis to największe miasto tego terytorium). To najbiedniejszy i jednocześnie najmłodszy – pod względem średniej wieku mieszkańców – z europejskich departamentów Francji, zamieszany masowo przez ludność pochodzenia afrykańskiego i arabskiego.

Wśród Francuzów „93” ma złą reputację. Według statystyk policyjnych to miejsce o bardzo wysokiej przestępczości i aktywności gangów narkotykowych, gdzie duże wpływy ma radykalny islam. W miejscowościach na terenie Seine-Saint-Denis dochodziło w minionych dekadach do bitew młodzieżowych gangów z policją – do ostatnich, gwałtownych, latem 2023 r., gdy podczas kontroli drogowej policjanci zastrzelili 17-letniego kierowcę.

„Wioska”, która będzie dzielnicą

Od wielu lat władze samorządowe i państwowe próbują zmienić ten negatywny obraz północnych obrzeży stolicy. Nie przypadkiem to w Saint-Denis zbudowano od podstaw ogromną sportową „wioskę”: dla 14 tys. olimpijczyków i 9 tys. paraolimpijczyków. „Wioska” ma być wizytówką innowacji *à la française*: jest ekologiczna (zasadzono 9 tys. drzew) i całkowicie dostępna dla osób z niepełnosprawnościami. Przy budowie stosowano w dużej mierze konstrukcje drewniane, na dachach są panele słoneczne.

Po zakończeniu paraolimpiady „wioska” ma przemienić się w dzielnicę dla 6 tys. mieszkańców. Będą tu biura, szkoły, akademiki, żłobek, przedszkole. Jedna czwarta mieszkań ma mieć charakter lokum socjalnego, pozostałe zostaną sprzedane (za średnią cenę prawie dwukrotnie niższą niż średnia cena nieruchomości w samym Paryżu).

Jednak niektórzy aktywiści z Saint-Denis krytykują lokalne władze za, jak mówią, chęć „gentryfikacji” miasta i twierdzą, że poolimpijska dzielnica nie rozwiąże problemu mieszkaniowego najuboższych. Ich zdaniem trzeba budować więcej tanich mieszkań na wynajem w dobrym standardzie.

W rozmowie z „Tygodnikiem” zarzuty odpiera Emmanuel Constant, wiceprzewodniczący rady departamentu Seine-Saint-Denis: – Już w tej chwili nasz departament ma bardzo wysoką proporcję mieszkań socjalnych. Francuska średnia wynosi 25 proc., a my mamy ich w departamencie 35-40 procent. A teraz wytyka się nam, że nie chcemy ich mieć jeszcze więcej? Dlaczego tego zarzutu nie stawia się zamożnym dzielnicom Paryża?

Constant uważa, że celem polityki mieszkaniowej w tym najuboższym departamencie Francji powinno być zwiększenie poziomu tzw. *mixité*, czyli mieszanie się grup o różnym statusie społecznym i pochodzeniu. Stąd koncepcja poolimpijskiego osiedla, w którym zamożniejsi właściciele będą sąsiadami mniej zasobnych lokatorów.

Merci, olimpiado!

W przededniu olimpiady Francja huczy od sporów i polemik, które ze sportem nie mają wiele wspólnego. Ale od momentu, gdy na początku maja do Marsylii dotarł ogień olimpijski, dominują głosy entuzjastów igrzysk.

Takich jak wspomniany Théo, mieszkaniec „93”. – Wierzę, że cały Paryż będzie świętować. Dla mnie jako sportowca olimpiada to coś wyjątkowego – mówi „Tygodnikowi”.

– Sport musi być dla każdego, nie tylko dla bogatych – Théo tłumaczy swój entuzjazm. – Gdyby nie igrzyska, nie odnowiono by dawnych hal sportowych i boisk. Nie wybudowano by pływalni olimpijskiej w Saint-Denis, która po imprezie ma być oddana mieszkańcom. Na przedmieściach każdy chłopiec chce być piłkarzem, jak pochodzący z „93” Mbappé, ale wiele dzieci nie umie pływać. Dzięki igrzyskom uruchomiono środki dla stowarzyszeń, które zajmują się tym.

Dla Théo są to konkretne, wymierne sprawy: – Dlatego mówię: Merci, olimpiado!

© SZYMON ŁUCYK



FUNDACJA MIEJSC PAMIĘCI BUCHENWALD I MITTELBAU-DORA / MATERIAŁY PRASOWE

Otwarcie Muzeum Pracy Przymusowej w Czasach Narodowego Socjalizmu.

Wstęgę przecinają byli pracownicy przymusowi, m.in. Ivan Ivanji (na wózku) i Leokadia Wieczorek. Weimar, 17 maja 2024 r.

Ostatni świadkowie wracają do Niemiec

ŁUKASZ GRAJEWSKI Z WEIMARU

Leokadia miała cztery lata, gdy w 1940 r. została zesłana wraz z rodzicami, robotnikami przymusowymi. Dziś przybyła do Weimaru, by otworzyć muzeum, które ma tłumaczyć Niemcom ten mniej znany rozdział III Rzeszy.

W WEIMARZE Z POCZĄTKIEM MAJA otwarto Muzeum Pracy Przymusowej w Czasach Narodowego Socjalizmu. W Polsce ten rozdział zbrodniczej działalności aparatu III Rzeszy jest dość dobrze znany – w historiach prawie trzech milionów polskich rodzin z okre-

su II wojny światowej przewija się wątek przodków, którzy zostali zesłani na roboty przymusowe do Niemiec.

Dlatego z polskiej perspektywy można początkowo ze zdziwieniem zareagować na główną motywację twórców nowej instytucji na mapie Weimaru. Motywacją

ta jest bowiem powszechna niewiedza społeczeństwa za Odrą. – To jest w Niemczech z pewnością mniej znany rozdział historii – mówi w rozmowie z „Tygodnikiem” Daniel Logemann, dyrektor nowego muzeum. – Tego tematu nie ma w programie szkolnym. Niektóre instytucje w Niemczech podejmowały już to zagadnienie, ale my jako pierwsi przedstawiamy je całościowo.

Logemann bardzo dobrze zna losy Polaków w czasie wojny. W latach 2010-15 pracował przy tworzeniu wystawy głównej Muzeum II Wojny Światowej w Gdańsku. Już tam odpowiadał za odpowiednie przedstawienie tematu pracy przymusowej w III Rzeszy.

W sąsiedztwie Goethego

Muzeum nie przez przypadek umiejscowiono w Weimarze. To niewielkie miasto, w którym mieszka 65 tys. ludzi, jest kulturalnym magnesem przyciągającym turystów z całego kraju i z zagranicy. To ➔

→ w końcu tutaj mieszkali i tworzyli giganci niemieckiej poezji: Johann Wolfgang von Goethe i Friedrich Schiller. To tutaj w 1919 r. założono Bauhaus, szkołę artystyczno-rzemieślniczą, która rozprzęgowała modernizm w architekturze i wzornictwie na całym świecie.

Ale także w Weimarze, podczas II wojny światowej, narodowi socjaliści zbudowali *Gauforum* – nowe wzorcowe centrum miasta, w którym zasiadał *gauleiter* (szef NSDAP w tym regionie) Fritz Sauckel. Ten powieszony po wojnie zbrodniarz wojenny odpowiadał w III Rzeszy za sprawy zatrudnienia, choć w jego przypadku brzmi to jak ponury eufemizm. Sauckel i jego urzędnicy sprowadzili do Niemiec ponad 20 mln pracowników przymusowych z całej Europy. To właśnie w *Gauforum* otwarto dziś Muzeum Pracy Przymusowej.

Bajka o serdeczności

Jednym z zadań nowego muzeum jest rozprawienie się z pewnym stereotypem na temat pracy przymusowej.

– Oczywiście, pracownicy przymusowi pojawiali się po wojnie w historiach niemieckich rodzin. Jednak głównie mówiono o tym na takiej zasadzie, że ktoś tam faktycznie u nich pracował na gospodarstwie, jakiś Polak – wyjaśnia Daniel Logemann. – Brakowało w tych relacjach świadomości, że to był zbrodniczy, dobrze zaplanowany na potrzeby wojny proceder na masową skalę, który dotknął miliony ludzi.

Logemann zwraca uwagę, że w wielu niemieckich rodzinach przetrwał do dziś mit, iż nawet jeśli w danym gospodarstwie lub firmie pracowali pracownicy przymusowi, to przynajmniej byli dobrze traktowani.

– Powtarzano, że przecież mogli siedzieć razem przy stole z gospodarzami, że byli niemal jak członkowie rodziny. I może faktycznie czasami tak było, choć udokumentowano fatalne warunki wielu pracowników przymusowych. A co równie ważne, oni nigdy nie znaleźli się tam dobrowolnie – mówi Logemann.

– Wielu trafiło na roboty do Niemiec prosto z łapanek. Rozdzielano ich od rodzin, nie mogli dostawać listów. O tym wszystkim nie mówiło się w rodzinnych przekazach. Mówiło się tylko, że przykładowo Piotrek albo Paweł mieli się u nas dobrze. W większości niemieckie rodziny



Daniel Logemann, dyrektor Muzeum Pracy Przymusowej w Czasach Narodowego Socjalizmu w Weimarze, maj 2024 r.

nie widziały nawet powodu, żeby poznać i zapamiętać ich nazwiska – przekonuje niemiecki historyk.

Całe moje dzieciństwo

Jednym z nielicznych wciąż żyjących świadków, którzy przeżyli koszmar zsyłki na roboty przymusowe do Niemiec, jest Leokadia Wieczorek. Polka była gościem honorowym podczas otwarcia muzeum 8 maja. Została przyjęta z honorami i przecinała czerwoną wstęgę, symbolicznie otwierając wystawę główną dla zwiedzających.

– To było coś wspaniałego, móc być w tym miejscu. Na każdym kroku czułam przyjaźń. Powtórzę, przyjaźń – mówi Leokadia Wieczorek w rozmowie z „Tygodnikiem”. Dziś 88-letnia, jest prezeską dolnośląskiego okręgu Stowarzyszenia Polaków Represjonowanych przez III Rzeszę.

Po czym słabnącym głosem dodaje, że po obejrzeniu wystawy wszystko do niej wróciło: – Całe moje dzieciństwo tam.

Życie Leokadii została postawione na głowie w kwietniu 1940 r. Pewnego dnia niemieccy policjanci weszli do domu o piątej nad ranem, kazali się spakować i bez słowa wytłumaczenia zawieźli całą rodzinę na dworzec w Wieluniu. Tam ludzi wciskano do wagonów bydłowych. Rodzice tylko domyślali się, że uwięzienie jest konsekwencją decyzji ojca, który odmówił podpisania Volkslisty.

Czteroletnia Leokadia wraz z rodzicami, dziadkami i innymi bliskimi została zesłana do wsi Westerbürg koło miasta Habelstedt w Dolnej Saksonii. W gospodarstwie rolnym, do którego trafili wraz z większą polską grupą, dorosli przez cały dzień zajęci byli pracą. Ona zostawała sama.

Wspomina spartańskie warunki, ciągły brak jedzenia i dyskryminację, choćby ze strony miejscowych dzieci należących do Hitlerjugend, które rzucały w nią kamieniami.

– Chciałabym, żeby dzieci w moim wieku nigdy nie przeżyły tego, co ja przeżyłam w czasie wojny. To była tragedia. Nie miałam dzieciństwa, nie mogłam się uczyć, a po powrocie straciłam mamę, która rozchorowała się w Niemczech od ciężkiej pracy – mówi Leokadia.

Jej historia nie ma nic wspólnego z wizją przechowywaną w niemieckich rodzinach: o rzekomej serdecznej gościźnie, z jaką mieli spotykać się pracownicy przymusowi.

Darmowa siła robocza

Wystawa główna nowego muzeum krok po kroku rozprawia się z wygodnymi niemieckimi mitami na temat pracowników przymusowych. Jej kolejne etapy pokazują zbrodniczy charakter procedury.

W gospodarstwach rolnych, gdzie do pracy zmuszono najczęściej obcokrajowców, warunki bytowe pracowników w dużym stopniu zależały od gospodarza. Ale decyzja o ludzkim traktowaniu była ryzykowna – propaganda III Rzeszy na każdym kroku podkreślała, żeby trzymać „podludzi” z Europy Wschodniej na dystans. Specjalne broszury przypominały, by pod żadnym pozorem nie usadzać ich przy wspólnym stole z niemiecką rodziną.

– Zdarzały się przypadki, że sąsiedzi donosili na kogoś, kto dobrze traktował pracowników przymusowych. A za to groziło zesłanie do obozu koncentracyjnego – mówi Logemann.

Muzeum pokazuje też, że choć niemal każdy Niemiec napotykał na swej drodze pracowników przymusowych, a miliony Niemców – w tym także wielkie koncerny – wzbogacały się na darmowej sile roboczej, to prawie nikt po wojnie nie został pociągnięty do odpowiedzialności.

Poszkodowani polscy obywatele musieli czekać aż do transformacji demokratycznej w Polsce i do zjednoczenia Niemiec. Dopiero w 2000 r., po długich (i chwilami nerwowych) negocjacjach międzynarodowych państwo niemieckie powołało fundację, która w kolejnych latach wypłacała zadośćuczynienie dla żyjących jeszcze ofiar, a także dla wywiezionych wtedy dzieci. Ich wysokość była



Leokadia Wieczorek z rodzicami, Weroniką i Władysławem Gaickimi, 1945 r.

jednak – w zestawieniu z ich cierpieniem – raczej symboliczna.

Nowe zagrożenie

Otwarcie Muzeum Pracy Przymusowej ma dziś aktualny wymiar polityczny.

Jesienią tego roku w Turynii, gdzie leży Weimar, oraz w dwóch innych wschodnich landach Niemiec, Saksonii i Brandenburgii, odbędą się wybory do parlamentów krajowych (landtagów). W sondażach od długiego czasu na pierwszym miejscu utrzymuje się nacjonalistyczna Alternatywa dla Niemiec (AfD). Aktualne sondaże w Turynii dają jej poparcie rządu 30 procent.

Właśnie w tym landzie AfD jest szczególnie radykalna, głównie za sprawą nie-

sławnego lidera. Björn Höcke chce zerwać ze społecznym konsensusem, który sprowadza się do kultywowania pamięci o zbrodniach własnego narodu w czasie dyktatury III Rzeszy i brania za nie odpowiedzialności. Z tego względu po 1945 r. społeczeństwo (zachodnio)niemieckie unikało patriotycznych uniesień i manifestowania narodowej dumy. AfD chce to zmienić.

Höcke zapowiedział już zmianę podejścia do niemieckiej historii o 180 stopni. Pomnik ofiar Holokaustu w Berlinie nazwał hańbą. Na wiecach wyborczych sięga po hasło używane przez nazistów „Wszystko dla Niemiec”. Ponieważ używanie tego terminu, tak jak symboliki nazistowskiej, jest zabronione, lider AfD zo-

stał niedawno skazany przez sąd na karę grzywny.

Pracownicy muzeum chcą podjąć próbę wyrwania mieszkańców Weimaru i turystów z ich strefy komfortu. To nie są tylko historie z zamierzchłej przeszłości. Muzealnicy i historycy robią wszystko, by do ludzi dotarło, że naród obecnie szcycący się poszanowaniem demokracji, praworządności i praw człowieka, w latach 30. XX w. zaledwie w ciągu kilku lat przeistoczył się w morderczą dyktaturę. Nic nie jest dane na zawsze.

Ivan odszedł we śnie

– Nie mam już urazy do Niemców – mówi Leokadia Wieczorek w rozmowie z „Tygodnikiem” i wspomina pewną historię z dzieciństwa: – Po tym, jak przyjechaliśmy do Niemiec, jeden z mężczyzn, którzy musieli nam ustąpić miejsca w budynku, tak mnie popchnął, że spadłam do piwnicy. Krew leciała mi z buzi i z uszu. Niemiecki weterynarz zawiózł mnie do szpitala tam powiedział, że jestem Niemką, i tak uratował mi życie. Później wiele razy przychodził do nas wieczorem, kiedy rolety były już zasłonięte, i leczył polskie dzieci. To nie znaczy, że wszyscy Niemcy byli dobrzy, ale nie wszyscy byli źli.

Z myślą o nowym muzeum dodaje: – Edukacja ma wpływ na człowieka, na to, kim będzie.

W jego otwarciu uczestniczył również 95-letni Ivan Ivanji, więzień obozów Auschwitz i Buchenwald. Przyjechał z Belgradu. Wraz z Leokadią Wieczorek przecinał tę samą wstęgę. Uczestniczył w oprowadzaniu po wystawie. Uśmiechnięty i pełen wigoru, odpowiadał świetnym niemieckim na pytania dziennikarzy. Wieczorem przyjął zaproszenie organizatorów do restauracji. – Oczywiście, mam ochotę na szparagi i wino – miał powiedzieć.

Po czym w nocy zmarł w hotelowym łóżku, we śnie.

Odszedł w Weimarze, kilkanaście kilometrów od obozu w Buchenwaldzie, gdzie walczył o przeżycie. Przez całe swoje życie jako tłumacz i pisarz pracował na rzecz zagojenia wojennych ran i porozumienia.

„Wykonał swoją pracę” – napisał jego syn Andrej w mediach społecznościowych.

On tak. W rękach następnych pokoleń jest jej kontynuowanie.

© ŁUKASZ GRAJEWSKI



HISTORIA

NAM SIĘ UDAŁO

PROF. ANDRZEJ PACZKOWSKI:

W 1988 i 1989 r. władze PRL prowadziły politykę dwutorową. Podejmowały rozmowy z Solidarnością, a równocześnie potajemnie przygotowywały powtórkę stanu wojennego. Na szczęście na koniec przeważała opcja polityczna.

PATRYCJA BUKALSKA: Gdy w 2009 r. rozmawialiśmy w „Tygodniku” przed 20. rocznicą wyborów z 4 czerwca 1989 r., mówił Pan: „Bardzo często jest tak, że historycy czy niehistorycy oglądają przeszłość z miejsca, w którym tkwią w danym momencie. Jeśli za 10 lat

Polska będzie krajem stabilnym i rozwijającym się, otoczenie będzie nieagresywne, a my nie będziemy czuli zagrożenia, to wtedy Okrągły Stół nabierze kształtów powabnych jako dobry początek drogi”. Dziś jesteśmy w groźnym momencie historii. Czasem myślę, że to, co

udało się Polsce osiągnąć w 1989 r., to cud.

ANDRZEJ PACZKOWSKI: Wydarzenia roku 1989, w tym Okrągły Stół i wybory czerwcowe, wyrastały z czegoś zupełnie przeciwnego niż to, co dzieje się dziś, zwłaszcza na Ukrainie. Rok 1989 w Europie Środkowej był możliwy, bo osłabł Związek Sowiecki.



CHRIS NIEDENTHAL / FORUM

Tablica z wynikami wyborów na placu Konstytucji w Warszawie, czerwiec 1989 r.

To był warunek generalny zmian w krajach zależnych do Moskwy. Teraz Rosja pokazuje światu, że wyszła ze swojej „smuty”.

Patrząc w perspektywie historycznej, Putin chce odwrócić czas?

Dziś jest odwrotnie niż wtedy: Ameryka słabnie, a Rosja się wzmacnia. Wtedy Moskwa wyprowadzała wojska z Afganistanu, dziś atakuje Ukrainę. Rok 1989 oznaczał zwycięstwo Ameryki w najważniejszej konfrontacji, tej ze Związkiem Sowieckim. Wtedy wydawało się nam, że tak będzie już do końca świata, nastanie pokój, a demokracja jeśli nawet nie zapanuje wszędzie, to będzie narzucać całemu światu wzór do naśladowania.

Po 1989 r. miałam wrażenie, że tworzy się nowy świat. Zachętnieśmy się możliwościami. Wydawało się, że może być tylko lepiej. Dziś

patrzę na moich synów i myślę czasem, czy ten świat się rozpada. Nasz rok 1989 był wąskim „oknem możliwości”, które wykorzystaliśmy?

Z pewnością. Dla Polski i innych krajów zależnych od Moskwy, a nawet dla samego państwa sowieckiego nastąpił wówczas pozytywny zbieg okoliczności. Z jednej strony w Związku Sowieckim pogłębiał się kryzys ekonomiczny i tożsamościowy, a jego władze podejmowały nieskoordynowane próby znalezienia odpowiedzi na ten kryzys. Z drugiej strony USA były zdecydowane, gdy idzie o ich politykę zagraniczną, i konsekwentnie wspierały wszystko, co osłabiałoby Moskwę. Z jednej strony mający twarde poglądy Ronald Reagan, z drugiej strony Michaił Gorbaczow, chaotycznie szukający rozwiązań. No i „szeryf” wygrał.

Co równie ważne: kraje Europy Środkowej, dla których otworzyło się to „okno możliwości”, wskoczyły w nie. Polacy byli przygotowani najlepiej: była opozycja, która wiedziała, czego chce, był Kościół, potężny i autonomiczny, a z drugiej strony Jaruzelski, który tak jak Gorbaczow chaotycznie konfrontował się z próbami reform. Gdyby w Moskwie zamiast Gorbaczowa był wtedy jakiś „sowiecki Reagan”, byłoby nam ciężiej.

Podobno Jaruzelski namiętnie wcytywał się wtedy w sondaże opinii publicznej i tym się kierował?

Jaruzelski rzeczywiście rozbudował swój aparat ekspercki, władze prowadziły w miarę bezstronne badania. Rzecz jasna, tylko na swoje potrzeby. Natomiast czy on kierował się wynikami tych badań? Nie wiem. Miał dużo różnych źródeł, w tym wewnętrzne z MSW, z bezpieki. Inna sprawa, jak je interpretowano.

Jaruzelski miał jeszcze jedno ciekawe źródło: bezpiekę udało się spenetrować placówki USA w Polsce, a Departament Stanu poważnie traktował swoje placówki zagraniczne i wysyłał do nich mnóstwo informacji: o wydarzeniach w świecie, zamiarach Waszyngtonu itd. Od połowy lat 80. Służba Bezpieczeństwa, przy pomocy sowieckich ekspertów, miała dostęp do materiałów, które docierały do konsulatów w Poznaniu i Krakowie.

Dlaczego to było tak ważne?

Jaruzelski i jego otoczenie uważały, że podstawą ich kłopotów jest gospodarka,

i że jeśli ona się podniesie, nastąpi realna stabilizacja systemu. Widzieli, że gospodarka musi być poważnie zreformowana, ale nie mogli tego zrobić własnymi siłami, a Moskwa nie mogła już pomóc. Pozostawał Zachód i zachodnie koła ratunkowe: przyjęcie PRL do Międzynarodowego Funduszu Walutowego, dogodnie kredyty, nieoprocentowane pożyczki. A skoro to USA decydowały wtedy o polityce finansowej Zachodu, Jaruzelski wsłuchiwał się w głos Amerykanów. Chciał mieć z nim jak najlepsze stosunki. Trudno powiedzieć, kiedy ten sposób myślenia utrwalił się w kierownictwie partii. W każdym razie starania o wejście do MFW podjęto już w 1981 r.

Ale wprowadzono stan wojenny.

Stan wojenny to przekreślił. Reagan sformułował jednak trzy warunki, które miały umożliwić poprawę relacji amerykańsko-polskich, przede wszystkim gospodarczych i finansowych: zniesienie stanu wojennego, uwolnienie więźniów politycznych i wznowienie rozmów z Solidarnością. Na przełomie 1988/89 r. te warunki były już wypełnione. Otworzyła się furtka na pomoc amerykańską, która nie była jednak tak duża, jak Warszawa chciała. Wymuszało to kolejne zmiany, w tym rozmowy o gospodarce, jak ją przekształcać.

Dlaczego uważa Pan, że Polska była wtedy najlepiej przygotowana do zmian?

Istniała zorganizowana, świadoma i mająca program opozycja, natomiast w aparacie władzy była frakcja, która uważała, że coś trzeba w kraju zmienić, że nie można wrócić do stalinizmu, do więzień, pięcioletnich planów gospodarczych itd. No i był Kościół, w tym ten najważniejszy, watykański.

Czy to siła opozycji uniemożliwiła przeprowadzenie w PRL tzw. wariantu chińskiego, czyli reformy gospodarczej bez zmiany politycznej?

Moja teza jest taka, że powstały jesienią 1988 r. rząd Mieczysława Rakowskiego był próbą jakiegoś wariantu „drogi chińskiej”. Nie mówię oczywiście o wyprawadaniu czołgów na ulice, jak w Pekinie w czerwcu 1989 r., ale o pomyśle na głęboką reformę gospodarczą przy zachowaniu monopolu władzy partii →

→ komunistycznej. Rakowski miał zapewne taki pomysł. Nie był wcale zwolennikiem ustępstw wobec Solidarności, choć był politykiem elastycznym i nie mógł sprzeciwiać się Jaruzelskiemu. Ślady takiej próby istnieją. Jednak w Polsce droga chińska była niemożliwa do realizacji.

Na tamten rok 1989 patrzył Pan i jako historyk, i jako opozycjonista, uczestnik wydarzeń. Wynik wyborów z 4 czerwca zaskoczył obie strony. Pana też?

Kilku czołowych działaczy PZPR zrobiło wtedy zakład, jakie będą wyniki. Aleksander Kwaśniewski uważał, że Komitet Obywatelski Solidarności będzie miał 78 mandatów w Sejmie, czyli połowę tego, co faktycznie dostał. Z kolei Rakowski sądził, że w stuosobowym Senacie opozycja będzie mieć 38 miejsc. Sam miałem nadzieję na dobry wynik, ale nie liczyłem na aż taką miażdżącą przewagę opozycji.

Z czego ta przewaga wynikała?

Ze sprawności opozycji w kampanii wyborczej, a także z takich „gorbaczowskich” klimatów w kierownictwie PRL, gdzie chaos sąsiadował z zadufaniem. Nie mieli pomysłu na te wybory, a zarazem byli optymistycznie nastawieni. Pewien działacz Biura Politycznego PZPR miał powiedzieć: „Musimy uważać, żebyśmy za bardzo nie wygrali, bo wybory będą niewiarygodne”. Skończyło się to dla nich katastrofą.

Przypomnijmy wyniki: Komitet Obywatelski zdobył 161 mandatów do Sejmu – wszystkie, jakie podlegały wolnemu głosowaniu. Oraz 99 na 100 mandatów w Senacie.

Jednak, o czym często się zapomina, frekwencja wyniosła wtedy tylko 62 proc., nieoczekiwanie mało. Oczywiście nikt nie liczył na 99 proc., ale jednak okazało się, że w społeczeństwie jest bardzo duża grupa, która albo nie interesuje się polityką, albo nie chciała głosować z jakichś innych powodów. A skoro frekwencja była niewiele powyżej 60 proc., oznacza to, że tylko ok. 40 proc. ogółu Polaków zagłosowało za „listą Wałęsy”. Tylko tylu opowiedziało się za realną zmianą.

W drugiej turze – w praktyce brali w niej udział tylko ci kandydaci strony rządowej, którzy w pierwszej turze nie

przekroczyli progu 50 proc. głosów, jak np. Kwaśniewski – frekwencja była jeszcze niższa, tylko 25-procentowa. Dla rządzących to był blamaż. Dowód na brak zaufania społeczeństwa do partii komunistycznej. Obraz klęski.

Strona solidarnościowa była lepiej zorganizowana?

Siła wyborcza Komitetu Obywatelskiego polegała na tym, że była „drużyna Wałęsy” i żelazna zasada: jeden kandydat na jedno miejsce. Prawie wszyscy kandydaci mieli swoje zdjęcie z Wałęsą. To był pomysł Andrzeja Wajdy. Bo wielu wyborców nie znało swoich lokalnych kandydatów, a Wałęsę znali wszyscy. Czegoś takiego PZPR nie mogła zrobić. Bo z kim mieli sobie robić zdjęcia? Z Jaruzelskim w ciemnych okularach?

Komuniści zgłaszali też wielu kandydatów. W niektórych obwodach na jedno miejsce przeznaczone dla koalicji komunistycznej było po dziewięciu chętnych. Oni się nawzajem znosili. Ponadto w tej części, która była przeznaczona *de facto* dla opozycji – te 35 proc. miejsc w Sejmie – mogli się zgłaszać bezpartyjni, o ile zebrali 3 tys. podpisów. Tak startował Jerzy Urban w Warszawie. 4 czerwca byłem mężem zaufania w komisji w Londynie, gdzie głosowano na kandydatów z obwodu nr 1, i pamiętam, jak zliczano karty: kupka Andrzeja Łapickiego z „drużyny Wałęsy” szybko rosła, a kupka Urbana nie tak bardzo.

Po stronie władz nie było też takiej spójnej kampanii, jaką zrobił Komitet Obywatelski. Nie pomyślano o kulturze popularnej. Przecież Jane Fonda przyjechała, Yves Montand i Stevie Wonder przyjechali, popierając Solidarność. A kto miał przyjechać do Jaruzela? No i ten jeden plakat, wspólny: Gary Cooper jako szeryf zamiast pistoletu ma kartę do głosowania i znaczek Solidarności i idzie zrobić porządek. To było genialne, przemawiało do wyobraźni.

Zjednoczona opozycja z dobrą, przemyślaną kampanią, wygrała z rozchwianą i niespójną stroną komunistyczną?

W zasadzie tak, choć nie zapominajmy, że część opozycji sprzeciwiała się częściowo wolnym wyborom. Były też niezależne listy opozycyjne, np. Konfederacja Polski Niepodległej wystawiła 16 kan-

dydatów w 16 obwodach, z których żaden się jednak nie dostał. Były też grupy opozycyjne, które wzywały do bojkotu wyborów, np. Solidarność Walcząca.

Czy idąc rano 4 czerwca londyńskimi ulicami do komisji wyborczej w ambasadzie PRL, zastanawiał się Pan, jak ten dzień się skończy?

O tym, jak się skończył, dowiedzieliśmy się właściwie dopiero następnego dnia rano! Ze względu na różnicę czasu wyniki głosowania w obwodach za granicą spływały w bardzo różnym momencie. Pierwsza była chyba Mongolia czy Japonia.

W Londynie frekwencja nie była porażająca, głos oddało chyba ok. 1,5 tys. osób. Ale ruch przed ambasadą był. Był też stół Solidarności Walczącej, wzywającej do bojkotu wyborów. Atmosfera była rozluźniona, piknikowa, prowadzono dyskusje. Niedziela, ładna pogoda. Kolejka jakaś stała, choć oczywiście nie taki tłum jak w październiku 2023 r.

Pamiętam, jak przyszedł starszy pan i oddał głos, legitymując się przedwojennym indeksem Politechniki Lwowskiej. Bo spora część głosujących to była jeszcze emigracja wojenna, weterani II wojny światowej. Byli też ludzie z emigracji solidarnościowej.

Jakiś moment utkwił Panu w pamięci?

Jedna scena, wstrząsająca. Wyszedłem na papierosa przed ambasadę i widzę, że ulicą idzie w milczeniu jakiś pochód. Gdy się zbliżyli, okazało się, że to Chińczycy. Kilkaset osób. Niektórzy nieśli tekturowe trumny. Szli pod ambasadę chińską. To było już po Tiananmen. Do tamtej masakry doszło tego samego dnia, 4 czerwca, tyle że w Londynie było dopiero południe, a tam już było po wszystkim... Cisza wśród nas zapanowała, ci od stolików wstali. Podeszliśmy wszyscy do krawężnika, wyciągnęliśmy palce na znak zwycięstwa. Niektórzy Chińczycy też podnieśli palce, choć pewnie nie wiedzieli, co to za ludzie im się przyglądają. Do dziś czuję wzruszenie, gdy to wspominam. Nam się udało.

Może to za sprawą Tiananmen i naszych powyborczych dyskusji – czy władze uznają wynik, czy jednak unieważnią wybory i wyprowadzą wojsko – tamto polskie zwycięstwo wydawało się nam takie kruche?

Trzeba tu powiedzieć o czymś, co wiemy od niedawna, a o czym napisał historyk Piotr Hac w książce „Rzeczywistość równoległa”. Dotarł on do dokumentów, głównie MSW i SB, a także wojskowych, dotyczących wprowadzenia stanu wyjątkowego, czegoś w rodzaju stanu wojennego...

W roku 1989?

To zaczęło się wcześniej. Pierwsze przygotowania ruszyły na przełomie 1986/87 r. w MSW: organizacyjne, logistyczne. Jesienią 1987 r. do przygotowań włączono Komitet Obrony Kraju i Sztab Generalny: ustalano, jakie jednostki wojska i milicji mają wziąć w tym udział. 29 kwietnia 1988 r. – to ważna data, wtedy trwała już pierwsza wiosenna fala strajków – gen. Czesław Kiszczak, minister spraw wewnętrznych, wydał polecenie i nastąpiła intensyfikacja przygotowań. Już 4 maja przygotowano dokument zatytułowany „Zamiar i myśl przewodnia wprowadzenia stanu nadzwyczajnego”, co jest kalką tytułu dokumentu dotyczącego stanu wojennego przyjętego w marcu 1981 r. Ten dokument przesłano do Komitetu Obrony Kraju i Sztabu Generalnego.

Czyli taka opcja była w 1989 r. realna? Brali ją pod uwagę?

Dzisiaj widać, że władze PRL prowadziły dwutorową politykę. Z jednej strony w tym samym czasie, maju-czerwcu 1988 r., pojawiają się sygnały o chęci rozmów: profesor Stelmachowski spotyka się z ministrem Czyrkim, minister Ciosek ma kontakty z ludźmi Solidarności. Latem 1988 r. Ciosek poufnie zapowiada, że mogą być wybory kontraktowe, że opozycja dostanie jedną trzecią miejsc. Czyli: była przygotowywana część polityczna, częściowo jawna, i była przygotowywana część siłowa, tajna. 20 sierpnia 1988 r., gdy zaczęła się druga fala strajków, na zebraniach Komitetu Obrony Kraju i sztabu MSW podsumowano stan przygotowań. Oraz, co istotne, ustalono tzw. tabelę sygnalizacyjną.

Co to takiego?

Wykaz haseł, które odpowiadają poszczególnym etapom działań. To było ustalane i chowane w zalakowanych kopertach, a następnie rozsyłane do Wojewódzkich Urzędów Spraw Wewnętrznych i wojewódzkich komitetów obrony.



ANDRZEJ IWANCUK / REPORTER

PROF. ANDRZEJ PACZKOWSKI

(ur. 1938; zdjęcie z 1990 r.) jest historykiem. W PRL działał w opozycji demokratycznej, m.in. redagował podziemne Archiwum Solidarności. Autor wielu książek o dziejach Polski w XX wieku, w tym: „Droga do »mniejszego zła«. Strategia i taktyka obozu władzy, lipiec 1980 – styczeń 1982”, „Wojna polsko-jaruzelska”, „Trzy twarze Józefa Światły”. W przeszłości był członkiem Kolegium i Rady IPN. Zapalony wspinacz, w latach 1974-95 był prezesem Polskiego Związku Alpinizmu.

Na dane hasło koperty się otwiera i tam jest zapisane, że np. o godzinie 4.30 rano to i to ma się zdarzyć. W 1981 r. taka tabela sygnalizacyjna nazywała się „Synchronizacja”. W sierpniu 1988 r. przygotowano podobną tabelę pod kryptonimem „Horyzont”. Na to hasło wywoławcze należało wykonać zawarty w kopercie rozkaz. Istniała więc opcja siłowa, o której Jaruzelski ani Kiszczak nigdy potem publicznie nie mówili. Choć Kiszczak przecież to wszystko podpisał i rozesłał!

Na koniec przeważała jednak opcja polityczna.

Wcześniej jednak to szło równoległe. W tych samych dniach, gdy przygotowywano i rozsyłano koperty, Kiszczak spotyka się z Wałęsą – to ich pierwsza rozmowa. Mamy więc taką sytuację, że równocześnie mówi się o Okrągłym Stole, we wrześniu 1988 r. jest spotkanie w Magdalence strony rządowej i Solidarności, rejestrują się jawne komitety zakładowe Solidarności, a jednocześnie cały czas jest gotowość do rozwiązania siłowego. Zomowcy ćwiczą, przygotowywane są listy do internowania... Według tych dokumentów przewidywano udział 62 tys. żołnierzy. To niewiele mniej niż w grudniu 1981 r.

Skończyło się, jak się skończyło... Ktoś mógłby powiedzieć, że było to działanie

standardowe, że każdy system oparty na przemocy chce być przygotowany do jej użycia. Jednak to była już potencjalna gotowość – nie ogólna możliwość, ale już gotowość. Wszystko zależało od ostatecznej decyzji politycznej. I ważne, abyśmy dziś wiedzieli, że coś takiego było rozpa-trywane.

To utwierdza mnie w przekonaniu, że mieliśmy nadzwyczajne szczęście, że w 1989 r. nam się udało.

Tak, finalny efekt zależał od bardzo wielu czynników. I wbrew pozorom nie tylko od postawy Gorbaczowa i Jaruzelskiego, nie tylko od stanowiska Reagana, ale też od tego, jak postępowała opozycja w Polsce. Że nie dała pretekstu do wprowadzenia stanu wojennego.

Warto też pamiętać, że zmiana zaczęła się – gdyby szukać jej źródeł – wcześniej: od powstania opozycji demokratycznej w końcu lat 70. Bez tej opozycji Solidarność albo by nie powstała, albo by powstała, ale miała inny charakter. Wtedy zaczęła się ta długoletnia polska droga do wolności. Tak, nam się udało, także w tym sensie, że w kolejnych latach po tamtym przełomie schroniliśmy się w NATO i Unii Europejskiej. Nie udało się to Ukraincom.

W roku 1989 myślał Pan już jako historyk o znaczeniu tego, czego jest Pan świadkiem i uczestnikiem?

Przyznam, że wtedy nie patrzyłem na to okiem historyka. Zajmowałem się Mikołajczykiem i przedwojennym Stronnictwem Ludowym! Może dlatego, że nie sądziłem, że aż tak to się skończy. W 1999 r., w dziesiątą rocznicę Okrągłego Stołu, zapytałem Lecha Kaczyńskiego, kiedy po raz pierwszy pomyślał, że coś może się w Polsce zmienić. Odparł, że chyba dopiero w 1986 r. Ja jeszcze tak nie myślałem, miałem widok z dołu, na pierwszym planie była jakaś dżubanina konspiracyjna, protesty, praca. Ale że za chwilę przełoży się to na historię kraju? Nie, tak nie myślałem.

Także dlatego patrzę na to jak na nasz cud i nadzwyczajne szczęście.

Niektórzy mówią o „drugim cudzie nad Wisłą”. Ale tak jak w roku 1920, tak i przed 35 laty to ludzie go sprawili. Żołnierze i ich dowódcy najpierw, a społeczeństwo obywatelskie i jego liderzy 69 lat później.

© Rozmawiała PATRYCJA BUKALSKA

FUJ, ALE CIEKAWE!

Dlaczego tak chętnie sięgamy po dokumenty o seryjnych mordercach, zdjęcia tkanek zaatakowanych przez pasożyty, opisy technik tortur, wywiady z gangsterami czy doniesienia z miejsc katastrof?

ŁUKASZ JACH

STARE PORZĘKADŁO MÓWI, ŻE CIEKAWOŚĆ to pierwszy stopień do piekła. Dobrze wiemy jednak, że bez ciekawości nie rozwijałyby się ani nauka („Co znajduje się po drugiej stronie Księżyca?”), ani sztuka kulinarna („Jak smakowałoby to pieczywo, gdyby dodać do niego trochę kminku?”), ani kultura („A co, gdyby w sztuce oprócz chóru pojawiał się również pojedynczy aktor?”). Chociaż więc chronimy dzieci przed wieloma innymi rzeczami, to zwykle robimy dużo, aby rozbudzać w nich zainteresowanie światem.

Nasza ciekawość ma jednak i drugie oblicze, którym nie chwalimy się zwykle, gdy poznajemy nowych ludzi, idziemy na pierwszą randkę lub staramy się o nową pracę. Mowa tu o ciekawości dotyczącej zagadnień makabrycznie szokujących, związanych z odczuwaniem dyskomfortu albo wywołujących wstręt. Popychani tym rodzajem zainteresowania, sięgamy po dokumenty o seryjnych mordercach, zdjęcia tkanek zaatakowanych przez pasożyty, opisy technik tortur, filmy z operacji chirurgicznych, wywiady z gangsterami czy doniesienia z miejsc katastrof. O tym, jak bardzo pociągają nas sprawy na co dzień ukryte za zasłoną psychicznego komfortu, dobitnie świadczą też dzisiejsza popularność gatunku *true crime*.

Psychologowie chcą poznać tego, co niepokojące, groźne czy osobliwe, określają mianem *morbid curiosity*, co można tłumaczyć jako „chorobliwa” bądź „niezdrowa” ciekawość. Nazwy te nie są jed-

nak najszcześniejsze – kryją się w nich wartościowanie i sugestia, że w motywacji do poznawania rzeczy szokujących jest coś z gruntu niewłaściwego. Bez takiego obciążenia opisywane zjawisko mogłoby nazywać się „szkarłatną ciekawością”. Wszak szkarłat to czerwień jasna jak świeża krew, za szkarłatną maską skrywała swą twarz śmierć w opowiadaniu Edgara Allana Poe’go, a „Studium w szkarłacie” to opowieść o wczesnych śledztwach Sherlocka Holmesa i doktora Watsona. Jaka jednak jest ta nasza chorobliwa czy szkarłatna ciekawość?

W poszukiwaniu zjeżonego włosa

Niegdyś ciekawością dotyczącą wydarzeń związanych z przemocą i śmiercią zajmowano się w ramach badań nad temperamentem. Według Marvinina Zuckermana niektórzy ludzie mają silnie rozwinięte potrzeby związane z poszukiwaniem doznań. Potrzeby te popychają w kierunku intensywnych przeżyć i emocjonujących przygód oraz wiążą się z podatnością na nudę podczas wykonywania rutynowych, codziennych czynności. Wyniki badań przeprowadzonych na Uniwersytecie Delaware wykazały, że ludzie chcący oglądać treści pełne grozy i przemocy mają podwyższoną potrzebę doznań, co łączono ze specyfiką budowy ich układu nerwowego i wrażliwością na neuroprzekazniki. Zgodnie z tym ujęciem przemoc i makabra miałyby interesować widzów

Wykład z anatomii na Uniwersytecie w Lipsku, październik 2012 r.



WALTRAUD GRUBITZSCH / DPA / AFP / EAST NEWS

głównie dlatego, że budzą silne i długotrwałe emocje. Gdyby zaś na horyzoncie pojawiło się coś bardziej ekscytującego, osoby poszukujące doznań szybko zwróciłyby swoją uwagę w inną stronę.

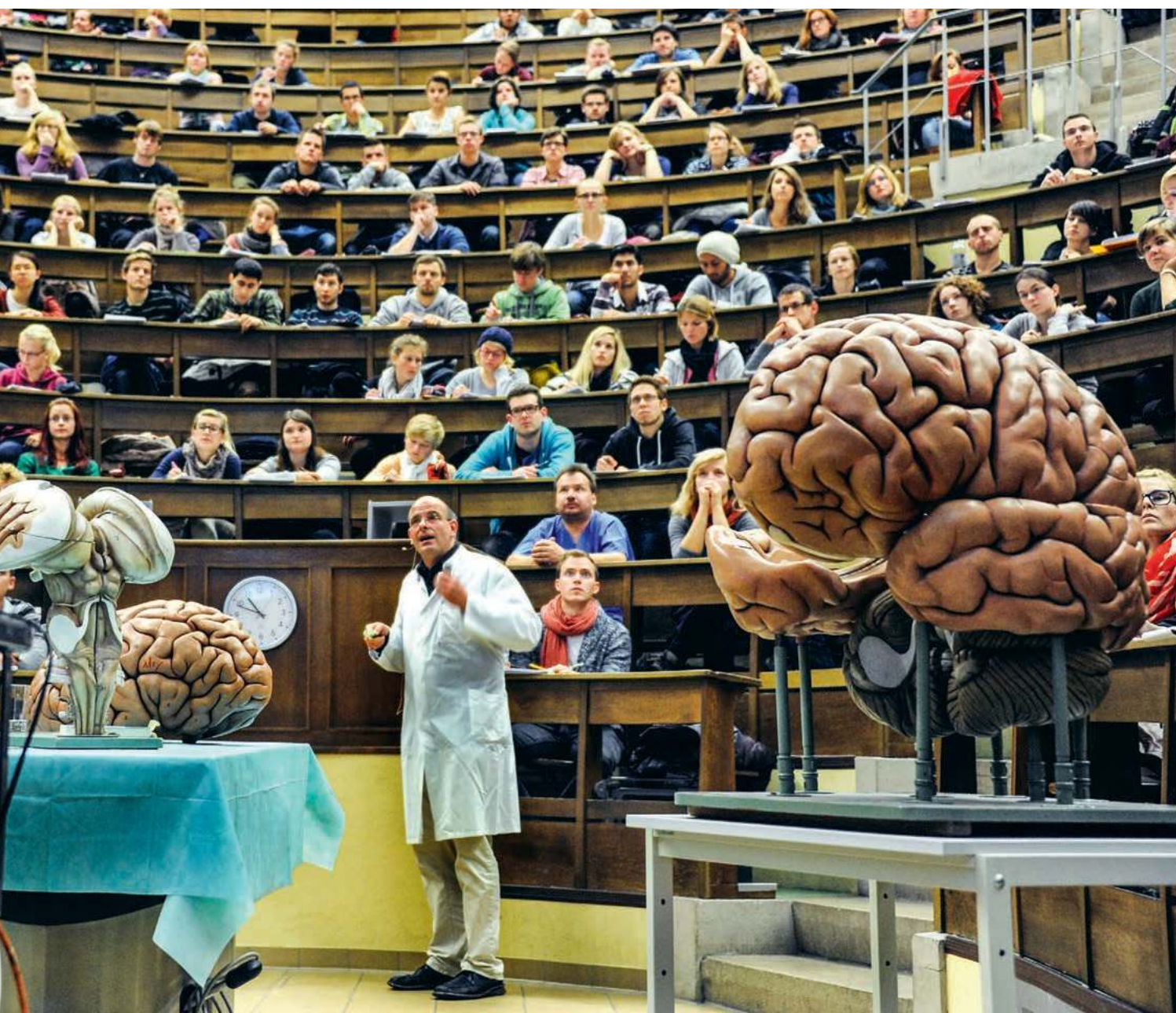
Koncepcja Zuckermana zainspirowała badaczy z Uniwersytetu w Alabamie, którzy do swojego laboratorium zaprosili kilkadziesiąt osób. Uczestnicy najpierw wypełniali kwestionariusze mierzące ciekawość związaną z budzącymi grozę wydarzeniami. Potem każdej z osób pokazywano doniesienia telewizyjne, z których część dotyczyła negatywnych wydarzeń (np. scenę wypadku, w którym chłopiec został zmiądzony przez przewróconego SUV-a), a pozostałe prezentowały zdarzenia neutralne bądź pozytywne (np. wy-

ścigi balonów). W trakcie oglądania badanym zmierzono fizjologiczne wskaźniki związane z uwagą oraz poziomem pobudzenia, a także proszono ich o subiektywną ocenę tego, jak bardzo są pobudzeni i jak bardzo każdy z filmów był dla nich ciekawy.

Niezależnie od poziomu ciekawości dotyczącej ponurych spraw, badani uznali materiały związane z przykrymi wydarzeniami za ciekawsze od pozostałych. Między badanymi o różnych poziomach szkarłatnej ciekawości nie odnotowano jednak ani różnic w fizjologicznych wskaźnikach uwagi przy oglądaniu filmów, ani w deklarowanym stopniu zainteresowania nimi, ani w subiektywnych ocenach pobudze-

nia. Co jednak ciekawe, badani o wysokim poziomie fascynacji niebezpiecznymi treściami mieli wyższe niż reszta wskaźniki fizjologicznego pobudzenia przy oglądaniu doniesień o przykrych wydarzeniach.

Może więc zaciekawienie tym, co mroczne i niebezpieczne, to efekt pogoni za pobudzeniem przekładającym się na dobre samopoczucie? Więcej światła na tę kwestię rzucają wyniki uzyskane przez Suzanne Oosterwijk na Uniwersytecie w Amsterdamie. W jednym z jej badań uczestnicy wielokrotnie wybierali pomiędzy obejrzeniem zdjęcia czegoś neutralnego albo zdjęcia kojarzącego się z przemocą lub śmiercią. Pokazywane zdjęcia podzielono na kategorie społeczną →



→ (np. konflikt), fizyczną (np. okaleczone kończyny) i naturalną (groźne węże).

Badani woleli oglądać negatywne zdjęcia z kategorii społecznej częściej niż jakiegokolwiek inne obrazy. Kiedy jednak w innym badaniu autorka dodała możliwość oglądania zdjęć zawierających miłe obrazy, w każdej z możliwych kategorii uczestnicy wybierali je częściej niż obrazki makabryczne. Z innej perspektywy: im wyższe było deklarowane przez badanych zainteresowanie przykrymi bądź makabrycznymi widokami, tym częściej wybierali do obejrzenia właśnie takie fotografie. By uniknąć nudy, ludzie mogą więc sięgać nawet po treści na temat przykrych wydarzeń (spójrzmy choćby na telewizyjne paradokumenty prezentujące relacje społeczne silnie nasycone negatywnymi emocjami). Gdy jednak na horyzoncie pojawia się alternatywa, przy makabrycznych doniesieniach pozostaną raczej ci z nas, w których odzywa się szkarłatna ciekawość.

Lepiej się przygotować

Zdecydowanie kompleksowo do badania mrocznej strony ciekawości podchodzi Coltan Scrivner, który zainteresowanie tym, co niebezpieczne, makabryczne czy wywołujące gęsią skórę, porównuje do zainteresowania seksem. Choć biologiczną funkcją seksu jest rozmnażanie się, na co dzień zajmują nas raczej sygnały mogące do seksu prowadzić, takie jak atrakcyjność fizyczna, okoliczności czy zachowania potencjalnych partnerów. Podobnie sprawy mają się w przypadku śmierci – aby jej unikać, musimy pozostawać czujni na okoliczności prowadzące do utraty życia, stąd też mocno przykuwają one naszą uwagę.

Szkarłatna ciekawość, według Scrivnera, ma więc u swych podstaw przydatny mechanizm adaptacyjny. Aktualnie naturalny popyt na ważne z ewolucyjnego punktu widzenia bodźce – tak seksualne, jak i związane z potencjalnie zagrażającymi okolicznościami – napotyka jednak obfitą podaż zdjęć, filmów czy animacji.

W piosence do jednej z części przegód agenta 007 Alicia Keys i Jack White wymieniali wiele zwyczajnych rzeczy, które finalnie mogą uczynić kogoś martwym. Fakt wielości możliwych sposobów zadawania śmierci nie umknął uwadze Scrivnera, który zaproponował wielowy-

miarową strukturę szkarłatnej ciekawości. Stworzona przez niego skala Morbid Curiosity Scale służy do pomiaru aż czterech rodzajów fascynacji rodem z dreszczowca.

Pierwszą z nich jest interesowanie się umysłami ludzi zadających innym fizyczną i psychiczną krzywdę (np. „Byłbym zainteresowany obejrzeniem wywiadu z uwięzionym seryjnym zabójcą mówiącym o jego zbrodniach”), drugą jest fascynacja tym, co przerażające i łamiące codzienny porządek świata (np. „Byłbym zainteresowany uczestnictwem w egzorcyzmach lub oglądaniem filmu o nich”), trzeci wymiar obejmuje pełne przemoc relacje między ludźmi (np. „Gdybym żył w średniowiecznej Europie, byłbym zainteresowany udziałem w publicznej egzekucji”), czwarty zaś odnosi się do różnych form naruszania lub uszkodzania ciała (np. „Interesuje mnie zobaczenie, jak przebiega amputacja kończyny”).

Mając obiecującą teorię i odpowiednie narzędzie, Scrivner zaczął poszukiwać związków pomiędzy szkarłatną ciekawością a innymi właściwościami psychicznymi oraz codziennymi zachowaniami. Przykładowo udało mu się ustalić, że tym, co makabryczne i niebezpieczne, bardziej interesują się osoby skłonne do przekraczania reguł, mniej obawiające się własnej śmierci, traktujące innych w wyrachowany sposób oraz dobrze czujące się w silnie emocjonujących sytuacjach. Częściej są to też mężczyźni, ludzie młodszy oraz – co wiedzieliśmy już wcześniej – osoby bardziej podatne na nudę.

Wysoki wynik na skali Scrivnera pozwalał przewidywać, czy mając wybór, ludzie zdecydują się zapoznać z treściami neutralnymi (np. zdjęcie słynnego budynku czy wywiad z astronautą), czy raczej z czymś wywołującym ciarki na plecach (np. zdjęcie nawiedzzonego domu czy wywiad z profilerem pracującym dla FBI). Ponadto pomiary szkarłatnej ciekawości wykonane w odstępie miesiąca były do siebie bardzo podobne, co wskazuje, że jest ona raczej stałą tendencją umysłową.

Szkarłat w natarciu

Ewolucyjne podejście do ciekawości spraw budzących groźbę podkreśla jej strategiczne znaczenie związane z poznawaniem rzeczy mogących zagrażać życiu lub zdrowiu. Jak podają autorzy artykułu opublikowanego w „Evolutio-

nary Studies in Imaginative Culture”, zjawiska typowe dla szkarłatnej ciekawości wystąpiły w trakcie pandemii COVID-19, kiedy to wraz z wprowadzaniem restrykcji w podróżowaniu i codziennym życiu swoją drugą młodość przeżywał w USA film „Contagion – epidemia strachu”, zrealizowany w 2011 r. Być może wielu oglądających potraktowało ten film opowiadający o kryzysie wywołanym przez wirus jako źródło ponurej wiedzy o tym, co ma szansę niedługo naprawdę się wydarzyć. W przeprowadzonych wtedy badaniach uwzględniono zaś fakt, że koronawirus niewątpliwie budzi powszechne zainteresowanie, jednak niektórzy mogą być go ciekawi nieco bardziej niż inni. W tym celu wykorzystano kwestionariusz z pytaniami na temat zarówno ogólnej ciekawości (np. „Jak bardzo jesteś zainteresowany poznaniem wytycznych dotyczących zmniejszania ryzyka zakażenia koronawirusem?”), jak i jej bardziej mrocznej odmiany („Jak bardzo byłbyś zainteresowany zdjęciami tego, co koronawirus robi z organizmem?”).

Przy analizie uzyskanych wyników okazało się, że szkarłatna ciekawość nie miała związków z ogólnym zainteresowaniem koronawirusem, ale korelowała za to z fascynacją dotyczącą aspektów pandemii budzących groźbę. W początkowym okresie pandemii swoje pięć minut mieli więc ci, którzy zwykle poszukując wiedzy na jakiś temat, lubią przekraczać granicę psychicznego komfortu.

Bywa jednak i tak, że suche fakty są mniej ciekawe niż barwna fikcja, a wtedy szkarłatna ciekawość może prowadzić w szpony dezinformacji. Świadczą o tym wyniki zebrane przez Scrivnera i Josepha M. Stubbersfielda, którzy zajęli się kwestią związków między zaciekawieniem mrocznymi osobliwościami a skłonnością do przekonań spiskowych. W jednym z badań wykazali oni, że ogólna tendencja do wiary w spiski wiąże się z ciekawością dotyczącą funkcjonowania umysłów niebezpiecznych ludzi oraz fascynacją tym, co niebezpieczne i co wykracza poza codzienny porządek świata. Inne badanie pokazało zaś, że osoby preferujące oglądanie szokujących obrazów (np. zdjęcia mężczyzny, który zabił i zjadł swoją dziewczynę – zamiast zdjęcia mężczyzny, który uratował przyjaciela przed utonięciem) częściej chciały poznawać spiskowe wyjaśnienia zdarzeń

(np. że fluoryzacja wody wodociągowej to tajny sposób firm chemicznych na pozbycie się niebezpiecznych produktów ubocznych), a nie ich powszechnie przyjęte wersje. Ciekawość i pociąg do szokujących informacji mogą więc tworzyć koktajl wymagający umiejętnego dawkowania. W dzisiejszym świecie nie brakuje wszak sytuacji, gdy estetyka przekazu jest ważniejsza od jego treści.

Przemocowe brzmienia

Ciekawość dotycząca tego, co budzi grozę, może zostać zaspokojona nie tylko przez poszukiwanie informacji, ale również... słuchanie muzyki. Tak przynajmniej twierdzą badacze z Australii, którzy śledzili powiązania pomiędzy szkarłatną ciekawością a preferowaniem ociekających brutalnością piosenek metalowych i rapowych. Jedno z badań Merricka Powella i współpracowników pokazało, że studenci określający się jako fani gatunków zawierających pełne przemocy teksty (np. black metal i gangsta rap) cechowali się wyższym poziomem ciekawości względem tego, co szokujące i makabryczne, niż studenci lubiący inne gatunki muzyki. Innym razem badacze odnotowali, że na podstawie poziomu szkarłatnej ciekawości można przewidywać intencje związane z dalszym poznawaniem brutalnych utworów, nawet jeżeli badani wcześniej nie byli fanami takiego rodzaju twórczości.

Ciekawość makabry wiązała się jednak również z chęcią dalszego wsłuchiwania się w utwory metalowe zawierające pozytywny przekaz. Australijski zespół wyjaśnił to faktem, że choć mrok zniknął w takim przypadku z warstwy lirycznej, wciąż pozostawał on w warstwie dźwiękowej, co mogło nadal oddziaływać na osoby lubiące poznawać to, co tajemnicze i niepokojące.

Omawiane badania miały również aspekt jakościowy, którego rezultaty przedstawiono niedawno na łamach czasopisma „Psychology of Popular Media”. Uczestnicy zapoznawali się z kilkudziesięcioma fragmentami utworów metalowych i rapowych, z których część zawierała brutalne przekazy, a część przekazy pozytywne. Zadaniem badanych było wskazanie, czy interesowałoby ich zapoznanie się z dalszym ciągiem utworu oraz udzielenie komentarza na ten temat. Tym, co motywowało badanych do dal-



Anthony Hopkins jako dr Hannibal Lecter w filmie „Milczenie owiec” (1991)

Tym, co makabryczne i niebezpieczne, **interesują się osoby skłonne do przekraczania reguł**, mniej obawiające się własnej śmierci oraz traktujące innych w wyrachowany sposób.

szego podążania za utworami z pozytywnym przekazem, były głównie chęć dowiedzenia się, co będzie dalej (np. „Chciałam wiedzieć, czy zmieni się w bardziej delikatny”), podziw („Brzmiało niesamowicie, podobało mi się”) i operowanie kontrastami („Tekst był nieoczekiwany w odniesieniu do brzmienia piosenki”). Inaczej było natomiast w przypadku piosenek zawierających teksty ociekające przemocą.

Choć i tutaj istotne były dostęp do informacji (np. „Chcę zobaczyć, o co chodzi w tej tematyce”) czy podziw („Gitarowy riff jest fajny, więc chcę go posłuchać”), badani ujawniali również motywacje związane z zaciekawieniem brutalnością i makabrą. Mówili np., że coś brzmi trochę przerażająco, ale jednocześnie interesująco, a jedna z osób przyznała wręcz, że do usłyszenia całej piosenki i poznania artysty popycha ją fakt, że tekst jest niezwykle mroczny i obrazowy.

Wzorcowa motywacja

W jednej ze scen „Portretu Doriana Graya” tytułowy bohater oznajmia swojemu mentorowi Henrykowi, że książka, którą ten mu przysłał, była fascynująca. Henryk komentuje to słowami: „Tak, wyobrażałem sobie, że ci się będzie podobała”. „Ja nie powiedziałem, Harry, że mi się podobała. Powiedziałem, że jest fascynująca. A to wielka różnica” – odpowiada Dorian.

Dyskusja między postaciami dobrze oddaje to, jak działają na nas sprawy rozbudzające szkarłatną ciekawość. Choć ich przebieg czy estetyka mogą budzić odrazę, i tak z zapartym tchem zastanawiamy się, co będzie dalej, niczym widzowie jednocześnie fascynującego i przerażającego spektaklu. Dlaczego jednak gdy jeden z głosów wewnętrznych mówi nam: „to niebezpieczne!”, drugi zaś: „to ciekawe!”, w wielu sytuacjach ulegamy temu drugiemu, a potem chcemy więcej i więcej?

Odpowiedź na to pytanie częściowo zawarta jest w książce Simona Barona-Cohana „Poszukiwacze wzorów”. Według tego autora umysły przynajmniej niektórych osób wyczulone są na wychwytywanie i katalogowanie zależności przyczynowo-skutkowych. Nawet wtedy, gdy obserwujemy coś po raz pierwszy, staramy się dostrzec w tym prawidłowości ogólne, a ich odkrywanie działa na nas jak nagroda i napęd do kolejnych obserwacji. Z tego punktu widzenia odbieramy rzeczywistość jako zbiór systemów, niezależnie, czy chodzi tu o cykl pór roku w przyrodzie, przebieg przyjęcia imieninowego czy strzelanie do celu. Rozrywki takie jak sport, gry planszowe czy konkursy to właściwie systemy w najczystszej postaci. Odkrycie zasad rządzących danym systemem dostarcza nam satysfakcji, a pojawiające się przy tym trudności zarówno frustrują, jak i napędzają do dalszych poszukiwań. Pewnie wielu z nas pamięta np., ile czasu poświęciliśmy na próby narysowania zamkniętej koperty bez odrywania ołówka od kartki, zanim przyznaliśmy, że to niemożliwe.

Także w sprawach budzących grozę bez trudu odnajdziemy systemowy charakter. By się o tym przekonać, wystarczy cofnąć się o kilka akapitów do stwierdzeń wyjętych z kwestionariusza badającego poziom szkarłatnej ciekawości. Każde z nich odnosi się do procesu, którego wcześniejsze kroki mają określone skutki. Wygląda więc na to, że ciekawość dotycząca tego, co groźne i makabryczne, może być pochodną naturalnej tendencji do poszukiwania i rozumienia prawidłowości, która na co dzień objawia się w formie ciekawości jako takiej. Przy ocenianiu nie warto więc być zbyt radykalnym. „Ta ciekawość jest wściekła, pierwszy stopień do piekła, lecz ostatni stopień do nieba” – śpiewa przecież Grzegorz Turnau. © ŁUKASZ JACH

A portrait of a middle-aged man with grey hair and glasses, wearing a dark jacket, with his hands clasped in front of him. The background is dark and textured.

STAROŚĆ TO PUSTE MIEJSCE

DIDIER ERIBON, FILOZOF I SOCJOLOG:

Matka dzwoniła do mnie nocami i nagrywała długie wiadomości – lament samotnej i nieszczęśliwej kobiety. Wyobraziłem sobie, że w tym samym momencie dziesiątki, setki tysięcy starych kobiet i mężczyzn dzwoni do swoich dzieci i mówi to samo.

MICHAŁ SOWIŃSKI: Czy można zrozumieć starość?

DIDIER ERIBON: Nie, dopóki się jej nie doświadczy. Starość to granica. Albo jest się po jednej, albo po drugiej stronie, nie można być pomiędzy.

Dlaczego?

Bo ludzie starsi doświadczają świata w zupełnie inny sposób. Niestety, nawet najlepsza, najbardziej empatyczna wyobraźnia nie jest w stanie tu pomóc.

Czyli dzieli nas mur i nic nie da się zrobić?

Przeciwnie. Właśnie dlatego, że z perspektywy młodości starość wydaje się czymś niewyobrażalnym, tym bardziej powinniśmy próbować uczyć się patrzeć na świat oczami ludzi starych. Kiedyś zajmujemy ich miejsce. Powinniśmy być cierpliwi i wyrozumiali. Nie wzdychajmy, gdy spotkana na schodach sąsiadka opowiada nam po raz kolejny tę samą długą historię. Odkąd skończyłem książkę o swojej matce, zacząłem zwracać uwagę na więcej tego typu szczegółów. Albo inaczej – coraz mocniej sobie uświadamiam, że wkrótce też będę miał problem z wyciąganiem bilonu w sklepie.

Opisując ostatnie lata i miesiące życia matki, przywołuje Pan filozofów: Simone de Beauvoir, Norberta Eliasa, Jeana Améry'ego. Nie ma ich wielu. Zachodnia kultura ma problem ze starością?

Zdecydowanie, starość to puste miejsce w naszej zbiorowej wyobraźni, w języku – zarówno w tym codziennym, jak i filozoficznym.

DIDIER ERIBON – francuski socjolog i filozof. Pracuje na uniwersytecie w Amiens, wykładał na wielu uczelniach, m.in. w Berkeley, Princeton, Cambridge i Walencji. Napisał kilkanaście książek poświęconych socjologii, filozofii, historii idei oraz gender studies. W 2019 r. po polsku ukazała się jego głośna książka „Powrót do Reims” (przetł. Maryna Ochab, Karakter). Na zdjęciu w Berlinie, listopad 2016 r.

Dlaczego?

To cecha immanentna większości nowoczesnych języków filozofii. Weźmy choćby Jeana-Paula Sartre'a. Jednostkowe bycie w rozumieniu egzystencjalizmu zawsze rzutowane jest w przyszłość – oczywiście niedookreśloną, niepoznawalną, ale jednak przyszłość. Ten czasoprzestrzenny wymiar naszego istnienia jest tu kluczowy. I nie tylko tu – temporalność wpisana jest we wszystkie XX-wieczne koncepcje człowieka. A starsi ludzie, jak choćby moja matka pod koniec życia, nie potrafią już myśleć o sobie w przyszłości. Gdy nie można wstać samemu z łóżka, pójść do łazienki, świat staje się dziwną mieszaniną przeszłości i teraźniejszości, aczkolwiek tej drugiej z każdym dniem ubywa. Nasze myślenie o ludzkiej egzystencji praktycznie nie uwzględnia starości.

Ślepa plamka?

gorzej nawet – abyśmy mogli spokojnie żyć, zazwyczaj musimy pozbyć się starości z naszego myślenia. Zachodnia kultura dysponuje wieloma mechanizmami, które w tym pomagają.

Wróćmy zatem do tych kilku filozoficznych wyjątków.

Moją ulubioną książką o starości jest „La Vieillesse” [fr. „Starość”] Simone de Beauvoir...

...nieprzetłumaczona na polski.

Jej losy są bardzo dziwne, nawet w Francji mało kto o niej słyszał. Przeczytałem ją jeszcze na studiach, a podczas pisania ostatniej książki postanowiłem do niej wrócić. Gdy wspominałem o tym znajomym, nikt jej nie kojarzył. Nawet moja koleżanka, która zajmuje się zawodo-wo historią feminizmu. Jest to tym dziwniejsze, że „Druga płeć” tej samej autorki jest być może jedną z najważniejszych pozycji światowej humanistyki XX w. Co więcej, „La Vieillesse” pomyślana została jako tekst symetryczny wobec „Drugiej płci”, bo porusza podobne wątki, tylko z nieco innej perspektywy. To też bardzo ciekawa, oryginalna krytyka Sartre'a i jego omijającego cielesny wymiar egzystencjalizmu.

I nikt jej nie chce czytać?

O kwestie genderowe spieramy się nieustannie, ciągle powstają nowe kon-

cepcje, które w taki czy inny sposób nawiązują do poprzednich, założycielskich tekstów. O starości nie chcemy rozmawiać, tym bardziej się o nią spierać. Nie ma i pewnie nigdy nie będzie zajęć z teorii starości na zachodnich akademiach.

Dlaczego?

Ludzie w podeszłym wieku, zamknięci w domach opieki, schorowani nie są w stanie zawiązać politycznie istotnej wspólnoty. Moja matka, gdy skarżyła się na warunki w jej domu opieki, nigdy nie używała liczby mnogiej, choć mogła, bo problemy w większości dotyczyły wszystkich mieszkańców. De Beauvoir, podobnie jak ja – jestem jej bardzo wdzięczny za wszelkie inspiracje – napisała „La Vieillesse” dopiero po śmierci matki, co w tym kontekście również wydaje się znaczące. We wcześniejszych jej dziełach temat ten właściwie się nie pojawia.

Pana książka coś tu zmieni?

Na razie zaprzyjaźniony księgarni mój mi, że po ukazaniu się mojej książki kilka osób dziennie pyta o „La Vieillesse”, co wcześniej nigdy się nie zdarzało. Byłbym przeszczęśliwy, gdyby udało mi się wprowadzić kolejną książkę de Beauvoir na listy bestsellerów. Ale mówiąc poważnie – to pokazuje, jak bardzo brakuje nam języka, aby rozmawiać na temat późnej starości.

Ratuje nas literatura?

Do pewnego stopnia, na pewno jest bardziej przydatna niż filozofia. Pisarze i pisarki rzadko piszą w bardzo podeszłym wieku – choć oczywiście bywają genialne wyjątki, jak choćby Annie Ernaux. Niemniej tworząc powieść trzeba wczuwać się w inne, często bardzo odległe postaci. Literatura pozwala nam spojrzeć na świat oczami innego człowieka.

Pisze Pan, że matka była całe życie agnostyczką, może nawet ateistką, ale na pogrzebie chciała obecności księdza.

Przedstawiciele klasy robotniczej z tego pokolenia nigdy nie byli religijni, ale potrzebowali rytuałów strukturyzujących ich życie. Dlatego przystępowali do pierwszej komunii, brali śluby kościelne – pamiętam, że sam bywałem w kościele na tego typu wydarzeniach. Tylko zadeklarowani komuniści odrzucali wszelkie

→ formy religii. Moja mama nie była radykałem – chciała księdza, bo taki był zwyczaj, nie dlatego, że się nagle nawróciła i zaczęła wierzyć w życie po śmierci.

Matematyka i demografia są tu bezwzględne i jednoznaczne – wszystkie europejskie społeczeństwa starzeją się, i to szybko. Jesteśmy na to gotowi?

Nie jesteśmy. Brakuje nam rzeczy najbardziej podstawowych, miejsc w szpitalach czy domach opieki. Dodatkowo większość instytucji, które działają dziś, nie spełnia elementarnych standardów medycznych, o godności osób w nich mieszkających nawet nie wspominając. Moja mama spędziła w takim miejscu ostatnie 11 tygodni swojego życia – w tym czasie wielokrotnie skarżyła się na złe traktowanie, opryskliwość pracowników czy fatalne warunki sanitarne.

Miedzy innymi po to napisałem tę książkę, żeby zwrócić uwagę społeczną na te kwestie – oczywiście nie ja pierwszy i z pewnością nie ostatni. Problem w tym, że wszyscy udają, że tego nie widzą, choć prawie każdy odwiedzał kogoś bliskiego w tego typu placówkach albo słyszał o nich od znajomych. Od czasu do czasu wybucha we Francji skandal, gdy jakiś dziennikarz ujawni rażące patologie występujące w tym czy innym ośrodku, jednak oburzenie zazwyczaj trwa krótko i ma raczej powierzchowny charakter. Jako społeczeństwo świadomie i masowo wybieramy ignorancję.

Co się musi stać, żeby sytuacja się zmieniła?

Nie wiem, ale stawka jest wysoka. Nie chodzi mi nawet o wymiar etyczny, ale ekonomiczno-polityczny. Nie wiem, jak długo będziemy w stanie udawać, że nie ma problemu. Moja matka często dzwoniła do mnie nocami i nagrywała długie wiadomości – niekończący się lament samotnej i nieszczęśliwej kobiety. Wyobraziłem sobie, że w tym samym momen-

cie dziesiątki, setki tysięcy starych kobiet i mężczyzn dzwoni do swoich dzieci i mówi to samo.

Przerażająca wizja. Na co się skarżyła?

Na przykład na to, że nie pozwalają jej wziąć prysznica. Nie chodziło jednak o to, że jej tego po prostu zabraniają, tylko w ośrodku brakowało personelu – żeby mogła się umyć, potrzeba było dwóch silnych osób. Dlatego prysznic brała raz na tydzień. Pamiętam dobrze te wiadomości... Gdy ich słuchałem, czułem potworne oburzenie, złość – wydawało mi się to niewyobrażalnym skandalem. Byłem zły na moje państwo, dla którego opieka nad osobami starszymi ewidentnie nie jest priorytetem. Podobnie służba zdrowia – od dekad każda kolejna władza, niezależnie od barw politycznych, zamyka oddziały szpitalne, zmniejsza liczbę szpitalnych łóżek. Cały polityczny sektor jest zdemolowany przez neoliberalne myślenie. Ekipa Macrona ma w tym szczególne zasługi.

Starość się nie opłaca?

Starzy, schorowani ludzie z perspektywy drapieżnego kapitalizmu są oczywiście bezużyteczni. Pisała już o tym de Beauvoir w latach 70. – od tego czasu wiele zmieniło się na gorsze.

Pisze Pan, że niektórzy próbują się wzbogacić na „siwym złocie”.

Za każdym razem, gdy o tym myślę, zbiera mi się na wymioty. Ale tak – na starości też można zarobić. Wystarczy odpowiednio radykalnie „optymalizować” koszty funkcjonowania domów opieki – oszczędzać na personelu, infrastrukturze, nawet na jedzeniu. To klasyczny i bardzo skuteczny mechanizm. Aby wykorzystać jakąś grupę ludzi, nawet całą klasę społeczną, jak na przykład kiedyś robotników, należy uczynić ją niewidzialną. Otoczyć ją mniej lub bardziej metaforycznym murem. Zabrać język, żeby nie mogła opisywać swojej kondycji.

Czyli godna śmierć tylko dla bogatych.

Prywatny system opieki nad osobami starszymi jest we Francji absurdalnie kosztowny. Moich braci i mnie, choć żyjemy w miarę dostatnio, nie było na to stać. Starsi ludzie o tym wiedzą i to tylko pogłębia ich rozpacz. Dlatego po

kilku miesiącach przebywania w państwowych ośrodkach, odarci z godności i pozbawieni nadziei, umierają, choć z medycznego punktu widzenia trudno wskazać przyczynę. Moim zdaniem to rodzaj nieuświadomionego samobójstwa. Dlatego to problem polityczny – skargi mojej matki, która nagrywała się nocami na moją pocztę głosową, miały naturę *stricte* polityczną. Dramat polega na tym, że nie były w stanie przedrzeć się do dyskursu publicznego, zamierały w próżni.

„Życie, starość i śmierć kobiety z ludu” to protest w jej imieniu?

Ludzie bliscy śmierci nie wyjdą na ulice, nie założą związków zawodowych, mogą tylko biernie przyjmować przemoc systemu. Jako postać o pewnej pozycji społecznej i medialnej mogłem uczynić ten pojedynczy, cichy głos słyszalnym. Mogłem prywatne uczynić publicznym. Oczywiście mówienie w czyimś imieniu zawsze bywa problematyczne, ale nie ma alternatywy poza milczeniem. To dla mnie definicja polityki: uczynić indywidualne doświadczenie powszechnie dostępnym. Opór mojej matki był pasywny, a ja chciałem, żeby stał się aktywny, żeby mógł coś zmienić.

Udało się?

Po publikacji książki otrzymałem setki listów, a mój wydawca dostał mnóstwo wiadomości poprzez media społecznościowe. Większość z nich brzmiała podobnie – ludzie dziękowali mi, że opisałem coś, co przydarzyło się także im: ich rodzice przechodzili przez to samo co moja matka, do tego dusząca złość i bezsilność. Pojawiały się też postulaty różnych działań – otrzymałem wiele zaproszeń do udziału w konferencjach i debatach. W większości przypadków musiałem odmówić, bo nie jestem ekspertem w tej dziedzinie. Wiem tyle, ile zobaczyłem na własne oczy. Ale samo to wzburzenie było bardzo znaczące, bo pokazało skalę problemu. Powoli, ale konsekwentnie narasta społeczny opór wobec polityków. Czy presja okaże się wystarczająca? Nie wiem, w grę wchodzi olbrzymie pieniądze, więc na pewno nie będzie łatwo. Z drugiej strony wiele grup społecznych zmagających się z wykluczeniem odnosiło sukcesy w walce o swoje prawa. Myślę,



Najciekawsze tematy
nowego numeru „Tygodnika”
w prasówce Radia 357 – środy o 8.30.
Słuchaj na żywo lub w podkastach na Radio357.pl

że pora dołączyć osoby starsze do tego grona.

Proszę wybaczyć szorstkość tego pytania, ale czy w ciągu tych kilku ostatnich miesięcy życia Pana matki nie rozważał Pan zabrania jej do siebie do domu?

To pytanie nie wydaje mi się szorstkie. To, że użył Pan tego przymiotnika, wynika, jak mi się wydaje, z bardzo konserwatywnego, reakcyjnego wręcz sposobu myślenia o rodzinie i relacjach społecznych. Moja książka ukazała się najpierw we Francji, potem w Niemczech, we Włoszech i innych krajach Europy. W związku z tym udzieliłem wielu wywiadów i w żadnym z nich nie padło tego typu pytanie. Wyjątkiem jest Polska, gdzie jestem o to pytany właściwie przy każdej okazji. Być może Polacy, przynajmniej niektórzy, są dużo bardziej przywiązani do wyidealizowanej i zmitologizowanej idei tradycyjnych struktur rodzinnych...

Aż tak?

Mieszkam w Paryżu w małym, dwupokojowym mieszkanku, łącznie 50 metrów... A ludzie pytają mnie, dlaczego nie wziąłem mamy do domu. Poza wszystkim – nie mam żadnych kwalifikacji, żeby zajmować się osobą w jej stanie. Wątpię też, aby mama się na coś takiego w ogóle zgodziła. A co do zasady, sprowadzanie problemu do poziomu osobistego – do pytania „dlaczego nie opiekowałeś się bardziej swoją matką?” – oznacza zrzucanie odpowiedzialności na jednostkę, a nie na system gospodarczy i społeczny, państwo, rządy, partie polityczne... To ahistoryczny, aspołeczny i apolityczny postulat. Dlatego też, z przykrością to stwierdzam, jest to prawicowy punkt widzenia, zamaskowany dyskursem o wartościach rodzinnych. Nic się nie zmienia, jeśli nie odzucimy tego sposobu myślenia.

Z Pana książek jasno wynika, że nigdy nie był Pan blisko ze swoją rodziną.

Aby wykorzystać jakąś grupę ludzi, nawet całą klasę społeczną, należy uczynić ją niewidzialną. Otoczyć ją metaforycznym murem.

Zabrać język, żeby nie mogła opisywać swojej kondycji.

Bycie nastoletnim gejem w prowincjonalnym miasteczku pod koniec lat 60. nie było łatwe. Homofobia była wszędzie, także wewnątrz mojej rodziny. Ojciec krzyczał do telewizora najgorsze homofobiczne obelgi, często bez większego związku z tym, co akurat wyświetlało się na ekranie. Musiałem stamtąd uciec, aby przetrwać. Nie byłem w stanie żyć w takich warunkach. Musiałem wymyślić siebie na nowo. Miałem to szczęście, że od zawsze interesowałem się kulturą, dlatego dość łatwo odnalazłem się w Paryżu. Pomogła mi Simone de Beauvoir, w której zaczytywałem się na studiach – marzyłem, żeby żyć tak jak ona. O tym z grubsza opowiadałem w „Powrocie do Reims”. Dla mnie rodzina to opresyjna instytucja, której za wszelką cenę chciałem się pozbyć.

Dużo pisze Pan o przyjaźni jako alternatywnej strukturze budowania bliskich relacji.

Niedługo po polsku ukaże się książka mojego partnera, Geoffroy de Lagasneriego, zatytułowana „Trójka”, w której opowiada on o naszej wspólnej relacji z Édouardem Louisem – to wielka opowieść o sile przyjaźni, która, w przeciwieństwie do rodziny, poszerza, a nie zawęża horyzonty. W moim przypadku dochodzi jeszcze fakt, że po prostu bardzo nie lubiłem swojego ojca. Głównie

z jego powodu nie chciałem jeździć do Reims. Był głupim, prostackim homofobem, dlatego dopiero po jego śmierci odwiedziłem matkę w rodzinnym mieście. Nastąpił między nami rodzaj pojednania. Wtedy też przyszedł mi do głowy pomysł na książkę.

Z samą matką było łatwiej?

Zdecydowanie, ale wciąż trudno było mi wytrzymać jej potworny rasizm. Też miała zwyczaj komentować to, co akurat leciało w telewizji. Wiele razy myślałem sobie wtedy – dlaczego się godzę na coś takiego? Przecież nikomu innemu bym na to nie pozwolił. Czy więzy rodzinne mają polegać na tym, że akceptuje się coś, co w innej sytuacji byłoby nieakceptowalne?

Co czuł Pan do matki, szczególnie pod koniec jej życia?

Na pewno nie miłość, raczej nie czułość, najbardziej chyba współczucie – szczególnie dla jej umęczonego, cierpiącego ciała, zniszczonego nie tylko przez wiek, ale też ciężką, fizyczną pracę. I jeszcze wdzięczność – chciałem jej podziękować za to, że się dla mnie poświęciła. Byłem pierwszym członkiem rodziny, który poszedł na studia – jednak żeby było to możliwe, ona musiała harować w fabryce. Wcześniej pracowała jako sprzątaczką i służącą. Paradoksalnie, to nas od siebie oddaliło jeszcze bardziej. Ja z roku na rok stawałem się intelektualistą, a ona wciąż była tą samą prostą kobietą z klasy pracującej. Tak, jestem jej za to wdzięczny. Bez jej poświęcenia nie mógłbym zostać tym, kim jestem dziś. Kimś zupełnie innym niż ona. ©



*Didier Eribon,
ŻYCIE, STAROŚĆ I ŚMIERĆ
KOBIECY Z LUDU,
tłum. Jacek Giszczak,
Karakter,
Kraków 2024*

TP

Już 12 czerwca wydanie powiększone o magazyn literacki „KSIĄŻKI W TYGODNIKU”.

Wśród autorów m.in. Jan Błaszczak, Urszula Honek, Anouk Herman i Paweł Pieniążek.

Czytaj i rośnij z nami!

Zdarzyło się jutro

MACIEJ MIŁKOWSKI

George Saunders nawet w najbardziej ponurych wizjach zawsze zostawia czytelnikom furtkę nadziei. A przede wszystkim: nie boi się happy endów.

GEORGE SAUNDERS JEST DZIŚ BEZ WĄTPIENIA jednym z najważniejszych pisarzy na świecie. Nie bez powodu uważa się go za spadkobiercę Thomasa Pynchona czy Kurta Vonneguta. Sam pisarz podkreśla przywiązanie do amerykańskiej tradycji minimalistycznej spod znaku Raymonda Carvera czy Ernesta Hemingwaya, mimo że jego własne opowiadania bywają raczej rozbuchane niż chłodne i analityczne. Ważnym punktem odniesienia jest dla niego także wielka literatura rosyjska, której poświęcił tom esejów – będący swego rodzaju podręcznikiem twórczego pisania – „Kąpiel w stawie podczas deszczu”. Przy tym wszystkim, w wypowiedziach prasowych pozuje na naturuszczyka. I niewątpliwie stworzył własny, niepowtarzalny sposób pisania.

Urodzony w 1958 r., debiutował tuż przed czterdziestką. Wcześniej pracował jako inżynier geofizyk, dekarz, portier i pracownik rzeźni. Od samego początku przywiązany do krótkich form, jest autorem pięciu zbiorów opowiadań, z których po polsku ukazały się dotąd trzy. Na teren dłuższej formy zapuścił się raz, ale już przy pierwszym podejściu stworzył arcydzieło. Powieść „Lincoln w Bardo” przyniosła mu Nagrodę Bookera i rozgłos znacznie większy niż opowiadania.

Saunders od lat uczy młodych pisarzy i pisarki. Jeśli wierzyć opowieściom, w których przedstawia się jako samouk bez usystematyzowanego intelektualnego zaplecza, trzeba przyznać, że jako wykładowca literatury ma co najmniej jedno wybitne osiągnięcie dydaktyczne – nauczył doskonale pisać siebie.

Powtarzalne, niepowtarzalne

Jerzy Maksymiuk zwykł mówić, że w muzyce nie ma czegoś takiego jak powtórzenie – jest jedynie zwielokrotnienie. Kolejne odegranie tego samego tematu

nie unieważnia poprzednich odtworzeń ani ich nie zastępuje, raczej się na nie nakłada. Nawroty motywu pracują w umyśle słuchaczek i słuchaczy łącznie, czego efektem jest spotęgowanie oddziaływania intelektualnego i emocjonalnego.

Podobnie pracują motywy w najnowszym tomie opowiadań Saundersa, który właśnie ukazał się w polskim tłumaczeniu. Wiele jest w „Dniu wyzwolenia” tematów i dekoracji dobrze znanych z poprzednich zbiorów pisarza. Te liczne nawiązania sprawiają, że czytającemu książkę Saundersa przypominają się znakomite tomy poprzednie – choćby „10 grudnia” i „Sielanki”.

Zamiast śledzić te nawiązania – by nie powiedzieć autoplagiaty – spróbujmy nazwać motywy i tematy, do których Saunders w kolejnych tomach obsesyjnie powraca. Być może w ten sposób uda się lepiej zrozumieć tę niezwykłą, łamiącą wszelkie schematy twórczość. Czytając książki Saundersa mamy bowiem pewność, że obcujemy z literaturą najwyższych lotów, ale bardzo trudno jest to przekonanie metodycznie uzasadnić. Wiemy, że to jest dobre, ale, no właśnie, dlaczego?

Używając określenia Ernesta Sábato: „Oto przed nami pisarz i jego zmary”.

Już pojutrze

Pierwszym, co rzuca się w oczy przy lekturze dowolnego tomu próz Saundersa, jest niedookreśloność miejsca i czasu. Zwłaszcza czasu. Fabuły rozgrywają się w jakiejś przyszłości – a raczej równoległości, czyli terażniejszości potencjalnej. Autor zdaje się mówić: może i tak nie jest, ale niedługo już będzie. Może tak nie jest, ale przecież mogłoby być. Rysowana w ten sposób przyszłość z pewnością jest przyszłością nieodległą. Czytelników Saundersa dzieli od jego postaci ledwie chwilką. Jakiś przełomowy wynalazek, wydarzenie polityczne – coś, co zmienia

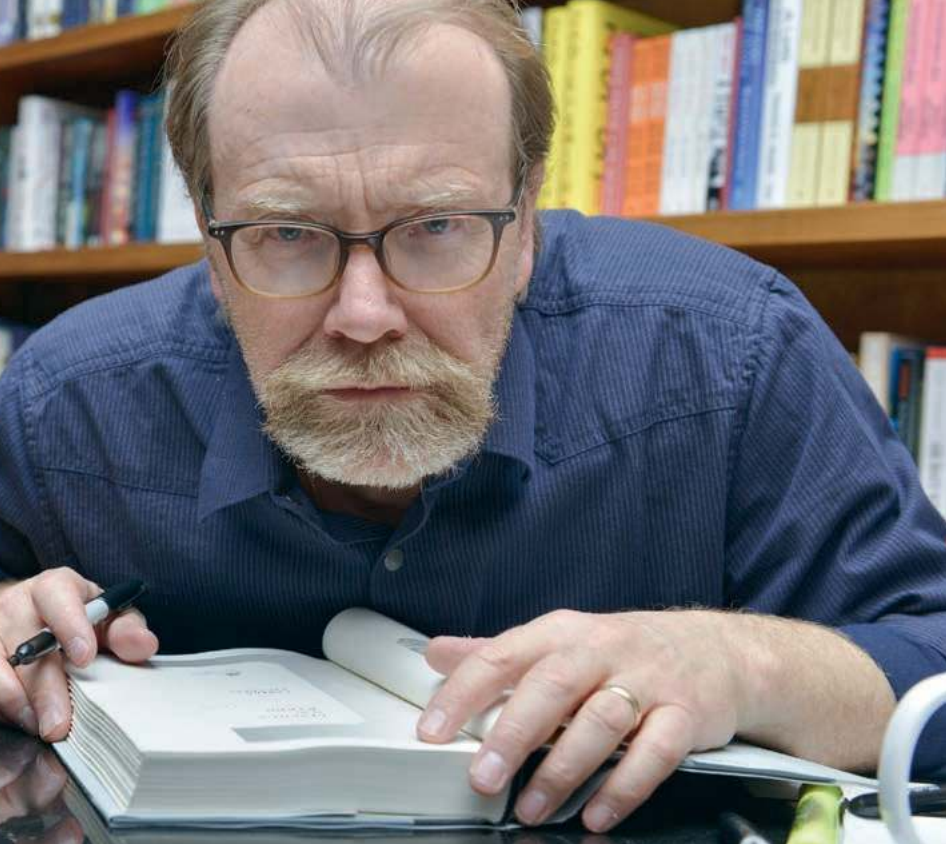
dekoracje ludzkiego życia, ale nie całkiem przezebrowuje jego fundamenty psychologiczne czy socjologiczne.

Bohaterowie Saundersa to zawsze ludzie tacy jak my, tyle tylko, że umieszczeni w świecie różnym od naszego o jakiś istotny szczegół. Pod tym względem jego prozy przypominają serial „Black Mirror”. Oglądamy to, czego jeszcze nie ma, ale przecież już zaraz może być. Zwłaszcza że Saunders bardzo chętnie opisuje przełomowe wynalazki, które już niedługo zmienią – lub potencjalnie zmienią – niektóre aspekty ludzkiego życia, inne zaś pozostawiają całkiem nienaruszone. Zmienia oczywiście na gorsze.

Opowiadania bardzo często opisują świat, w którym rozwój technologiczny nie całkiem zaradził dzisiejszym nieszczęściom, a raczej parę nowych nieszczęść stworzył, bazując na dobrze znanych nam, odwiecznych cechach ludzkości – głupocie, chciwości, małości. Pisarz wielokrotnie opisuje jakiś rodzaj totalitaryzmu, tyle że niemal zawsze jest to totalitaryzm „miękki”, oparty na triumfie populizmu i kapitalizmu, a nie przemocy fizycznej. Raczej w duchu „Nowego wspaniałego świata” Huxleya niż „1984” Orwella.

Ludzkość osiąga u Saundersa absurdalne poziomy zniewolenia w pogoni za dobrobytem, z powodu chęci zaimponowania sąsiadom, z wygodnictwa, tchórzostwa. W „Dniu wyzwolenia” bogaci ludzie wieszają sobie na ścianach innych





George Saunders podpisuje swoją książkę „Lincoln w Bardo”. Coral Gables, Floryda, 19 lutego 2017 r.

do czego zachęca dziadek z „Listu miłego”.

Pasywność, niezdolność do działania, nieumiejętność podjęcia decyzji – to zresztą kolejny obsesyjnie nawracający temat Saundersa. W „Wodospadzie” spacerowicz może uratować tonącą dziewczynkę, w innym opowiadaniu chłopak może uratować swoją porywaną koleżankę. Ale to jest trudne, bo trzeba coś w sobie przezwyciężyć, odrzucić wstyd, poczucie bycia ocenianym, przełamać naturalną dla każdego człowieka potulność. Saunders dowodzi, że aby uratować tonące dziecko, trzeba stoczyć z samym sobą zażartą walkę. O bardzo niepewnych rezultatach.

Akcja bardzo często toczy się na obrzeżach i marginesach. Po pierwsze, rozumianych dosłownie. Spacer za miastem, nieprzenikniona dzicz ledwie kilka minut drogi od cywilizacji – to typowa sceneria Saundersa. Tak jak jego dystopie są w czasie oddalone od nas ledwie o kilka potencjalnych lat, tak i pustkowia, na które rzuca nieraz swoich bohaterów, oddalone są od bezpiecznego życia o kilkanaście minut spaceru. Po drugie zaś, są też i tu obrzeża rozumiane metaforycznie – dramaty rozgrywają się pośród ludzi ubogich, wykluczonych, zniewolonych. Ten ostatni motyw – zniewolenie – powraca w niemal każdym opowiadaniu Saundersa.

Różne są zresztą przyczyny uwięzienia – niekiedy rodzinne, innym razem ekonomiczne. Poddawani brutalnym eksperymentom bohaterowie „Ucieczki z Pajęczej Głowy” czy „Elliota Spencera” podpisują na wszystko odpowiednie zgody. Podobnie jak i uwięzieni w „Dniu wyzwolenia” czy „Dziewczętach Sempłiki”. To wszystko się dzieje dobrowolnie. Ludzie z obrzeży nie mają innego wyboru, ale cały czas podkreśla się, że dokonują wyboru. Niekiedy zresztą obrzeża metaforyczne spotykają się u Saundersa z literalnymi – bohaterowie „Upiora” żyją dosłownie pod ziemią.

Cały ten cieplarniany horror nieodległej futurystyki nie jest jednak niczym przesadnie oryginalnym. Wielu dzisiejszych pisarzy i filmowców eksploduje podobne światy. Na czym więc polega oryginalność Saundersa? Co go właściwie wyróżnia?

ludzi – z wykasowaną pamięcią – aby wykorzystywać ich do widowisk narracyjnych, mających zapełnić pustkę intelektualną i emocjonalną. W „Dziewczętach Sempłiki” podobni ludzie wieszali sobie innych ludzi w klatkach. W „Elliotcie Spencerze” – również wykorzystującym motyw kasowania pamięci – ludzkość niedalekiej przyszłości wykorzystuje ludzi bezdomnych, biednych, uzależnionych, czy na inne sposoby wykluczonych, do przewrotnego marketingu politycznego, swego rodzaju domowej wojny hybrydowej.

Najsilniej motywy polityczne są jednak zarysowane w „Liście miłosnym”. Tytułowy list pisany jest przez dziadka do wnuczka w epoce po upadku demokracji, po jej utraceniu w wyniku nieuwagi, zaniechań, niedbalstwa. Dziadek sugeruje wnuczce bierność i oportunizm jako narzędzia przetrwania w nowym społeczeństwie totalitarnym, równocześnie mimowolnie przyznając, że to właśnie bierność i oportunizm pozwoliły się dyktaturze narodzić i zatriumfować. Ogromnym atutem obu tych opowiadań jest bardzo bliskie skojarzenie z naszą dzisiejszą rzeczywistością.

Saunders tworzy antyutopie przyczajone w naszym jutrze, najwyżej pojutrze. Manipulatorów z „Elliota Spencera” od dzisiejszych specjalistów od politycznego marketingu dzielą jedynie możliwości techniczne. Możliwości, które bez

wątpienia w najbliższych latach będą się stale zwiększać. Akcja „Listu miłego” nie rozgrywa się zaś wcale za kilkadziesiąt lat, ale raczej za lat kilka, najwyżej kilkanaście. Aluzje do postaci Donalda Trumpa nie są trudne do odczytania.

Nie bój się happy endu

Opowiadania Saundersa dokładnie pokazują trywialne podglebie ogólnoludzkich katastrof – naszą małość, zwyczajność, przeciętność. Globalne katastrofy biorą się tu nie tyle z dramatycznych zwrotów historycznych, ile z chęci prześcignięcia znajomych albo rodziny, przypodobania się komuś albo pragnienia, by uczynić życie znośniejszym, bardziej komfortowym. Z pragnienia odrzucenia wolności na rzecz iluzorycznego poczucia bezpieczeństwa.

Saunders pokazuje więc ludzi najzwyklejszych i w swej zwykłości raczej odpychających. Bohaterowie „Dnia matki” odgrywiają przed naszymi oczami kalejdoskop wielkich dramatów, nieodmiennie zanurzonych w najpowszedniejszej życiowej szarzyźnie. Te „wielkie sprawy małych ludzi” bywają komiczne, gdy rzecz dotyczy sfery uczuciowej czy stosunków służbowych – jak we „Wtopie w pracy” – ale zarazem pokazują, że przeciętny człowiek jest zawsze zdolny do nieprzeciętnych podłości. To na tym gruncie mogą, zdaniem pisarza, wyrosnąć totalitarne koszmary nieodległej przyszłości. O ile na to – brakiem odzewu – przyzwolimy,

JOHNNY LOUIS / GETTY IMAGES

→ Przede wszystkim jakiś rodzaj optymizmu. Współczesne utopie są bowiem bez wyjątku pesymistyczne. Żyjemy w bardzo pesymistycznej epoce, co łatwo sprawdzić porównując współczesnych utopistów z pisarzami końca XIX wieku, takimi jak choćby Juliusz Verne. Wówczas dość powszechnie do głosu dochodziło przekonanie, że już niebawem triumfy nauki pozwolą zlikwidować wszystkie dotychczasowe bolączki ludzkości.

Dzisiejsi twórcy, bogatsi o doświadczenia XX wieku, sądzą zaś, że kolejne odkrycia nauki pozwolą ludziom zakuwać ludzi w coraz doskonalsze kajdany. Saunders podziela to przekonanie, ale w swoich najbardziej ponurych wizjach zawsze zostawia furtkę nadziei. I nie boi się happy endów. Niestety jest umieszczone poza przestrzenią tekstu. W jego ramach wszystko kończy się mniej więcej dobrze.

Po prostu „nie”

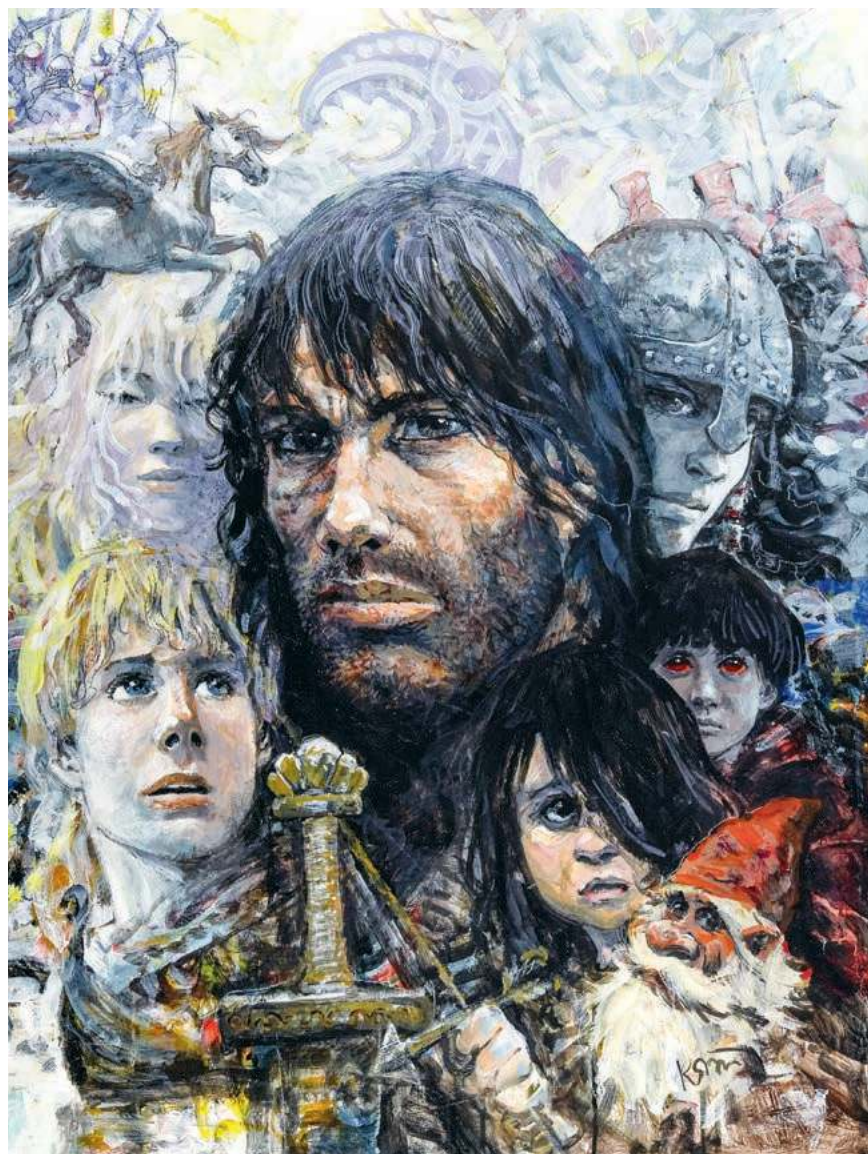
Do wypowiedzianych albo niewypowiedzianych happy endów prowadzi jakaś pojedyncza, niełatwa decyzja. Ktoś decyduje się na sprzeciw, gest buntu. Bohater wydostanie się z pułapki, wstanie i sobie po prostu pójdzie. I za każdym razem okazuje się, że wobec takich najprostszych buntowniczych gestów pracowicie budowany system opresji jest bezradny. Najnowsze technologie całkowicie nas kontrolują i wiedzą o nas wszystko. Ale wobec zwyczajnego „nie” są bezbronne.

W „Liście miłosnym” dziadek wytrwale namawia swego wnuka do posłuszeństwa i pasywności, ale z każdym akapitem mamy coraz większą pewność, że na dłuższą metę wnuk go nie posłucha. I pewnie na tym polega największa siła opowiadań Saundersa: potrafi zaszczyć w nas przekonanie, że pojedynczy człowiek będzie mógł zawsze – ale to zawsze – zburzyć dowolny system jednym nonkonformistycznym gestem.

© MACIEJ MIŁKOWSKI



George Saunders
DZIEŃ WYZWOLENIA
tłum. Michał Kłobukowski,
Znak, Kraków 2024



Okladka albumu specjalnego „Thorgal – Świat Thorgala”, Le Lombard, 2012 r.

Wędrowka Wikinga

MONIKA OCHĘDOWSKA

Bohaterowie Grzegorza Rosińskiego często zostają obdarzeni podwójną tożsamością, a ich prawdziwe pochodzenie jest tajemnicą. Tę podwójność można zauważyć także w losie samego artysty.

PODOBNO KIEDY MALUJE, MYŚLI O OJCU. Widzi go tak, jakby był jednym z bohaterów ciemnozielonych obrazów norweskiego malarza Edvarda Muncha, na których ktoś z troską dogląda leżącą w łóżku bliską osobę, domowego pacjenta. Matka małego Grzegorza Rosińskiego choruje na stwardnienie rozsiane – jest

sparaliżowana, latami pielęgnuje ją mąż. Być może dlatego Rosiński, już jako słynny ilustrator i autor komiksów powie, że najważniejszy w jego historiach jest portret pary bliskich sobie ludzi, którzy walczą z przeciwnościami losu. Przygodowe tło jest jedynie pretekstem do pokazania ich relacji.



Fragment komiksu „Western”, Egmont Polska, 2001 r.

W dokumencie Piotra Kielara „Ja, Rosiński”, prezentowanym właśnie na Krakowskim Festiwalu Filmowym, świat Thorgala także stanowi barwne, znajome tło pierwszoplanowych perypetii. Na pierwszy rzut oka mamy tu do czynienia z następującym po czterech dekadach intensywnego związku rozstaniem – zmęczonego autora z wykreowanym przez niego bohaterem, dawno żyjącym już własnym życiem i, co tu kryć, utrzymującym rodzinę swego stwórcy. Rosiński maluje ostatnie wielkoformatowe planse komiksu, nim z ulgą odda pędzel kolegom po fachu – odtąd to oni będą kontynuować serię (właśnie ukazał się w polskim tłumaczeniu 2 tom nowego cyklu wedle scenariusza Freda Duvala, z ilustracjami Corentina Rouge’a).

Co jest zatem sednem opowieści? Relacje ojca z synem, dziedziczącym prawa do jego bohatera. Plansze z herosem stają się symbolem drogi, którą razem ze swoim Wikingiem przeszedł ilustrator, a którą podejmuje teraz jego syn. Przekazaniu źródła mocy towarzyszy w filmie Kielara rzut oka na ich relację.

Piraci, kowboje i św. Mikołaj

Prawdopodobnie wszystko zaczęło się od fascynacji pewnym francuskim malarzem i grafikiem, tworzącym w drugiej połowie XIX w. Kiedy rodzina Rosińskich z małym Grzesiem przeprowadza się w 1946 r. do Wrocławia, chłopiec w ruinach miasta znajduje wiele ilustrowanych publikacji w języku niemieckim, między innymi znane wtedy w całej Europie i obu Amerykach „Pismo Święte w obrazach Gustawa Doré”. Genialny Francuz, debiutujący jako nastolatek, jest także autorem ilustracji do prawie wszystkich dzieł Edgara Allana Poe.



Okladka wydania zbiorczego czterech pierwszych tomów serii „Skarga Utraconych Ziem”, scen. Jean Dufaux, Dargaud Benelux, 2007 r.

Nie bez powodu Thorgal Rosińskiego przypominać będzie jednocześnie Mojżesza i bohatera popkultury (zob. ramka). Połączenie patosu i grozy, realizmu i romantyzmu, charakterystyczne dla Rosińskiego, ma swoje źródła między innymi w dziecięcej fascynacji pracami Dorégo, którego dziś uważa się *nota bene* za autora tzw. protokomiksów. W ilustrowanych przez niego „Dziejach świętej Rusi” (w oryginale „Malowniczej, dramatycznej i karykaturalnej historii świętej Rusi”) humorystycznym obrazkom i scenom batalistycznym towarzyszą bowiem krótkie teksty – zupełnie jak w komiksie.

Rosiński zna już zatem narrację łączącą obrazki z tekstem, kiedy w 1948 r. we Wrocławiu rozpoczyna się Światowy Kongres Intelktualistów w Obronie Pokoju. Razem z gośćmi zza granicy poja-

wiają się nad Odrą zachodnie czasopisma, m.in. „Vaillant”, dodatek do dziennika Francuskiej Partii Komunistycznej „L’Humanité”, którego główną atrakcją są komiksy fantastyczno-przygodowe i humorystyczne (później „Vaillant” będzie można kupić m.in. w warszawskim Empiku).

Zafascynowany komiksowym pisemkiem Rosiński jeszcze w szkole podstawowej rysuje „Dzieci kapitana Granta” oraz „20 000 mil podmorskiej żeglugi” na podstawie powieści Juliusza Verne’a, „Wyspę skarbów” Roberta Louisa Stevensona, a także komiksy o tematyce westernowej (w liceum zrobi kilka plansz inspirowanych „Białym kanionem” z Gregorym Peckiem w roli głównej, by dostać darmowe wejściówki do kina). Najważniejszymi bohaterami jego rysunków są wtedy nieodmiennie piraci i kowboje.

Pod koniec lat 50. prace opublikuje w magazynie harcerskim „Korespondent Wszędobylski”, któremu zaprojektuje także winietę i elementy oprawy graficznej. Pasję dzieli ze szkolnym kolegą Bogusławem Polchem, późniejszym autorem rysunków do komiksów o Kapitanie Żbiku, Funkym Kowalu i Wiedźminie. Polch skądinąd nie skończy liceum plastycznego właśnie ze względu na nie mile wówczas postrzegane, bo kojarzące się ze zgniłym Zachodem, fascynacje komiksem. Ostatecznie zostanie technikiem mechanikiem o specjalizacji... obróbka skrawaniem.

Kiedy w latach 60. Rosiński studiuje grafikę na warszawskiej ASP, modna jest sztuka nieprzedstawiająca, tymczasem amatora kolorowych zeszytów pociąga anachroniczny wówczas realizm. Szczęśliwie trafia wreszcie do pracowni słynnego rysownika i scenografa Jana Marcina Szancera, twórcy klasycznej postaci Ambrożego Kleksa. Rosiński także postanawia zostać ilustratorem.

Przełom lat 60. i 70. to okres bardzo intensywnej pracy, młody absolwent ASP robi okładki książek i płyt dla Muzy i Polskich Nagrań, rysuje do szkolnych podręczników, atlasów zwierząt i innych pomocy dydaktycznych. Maluje nawet świąteczne pocztówki ze świętym Mikołajem. Jego prace powielane są w setkach tysięcy egzemplarzy – to właśnie skala będzie Rosińskiego cieszyć najbardziej. Każdy projekt robi w odmiennym stylu, eksperymentuje, zmienia techniki i narzędzia. ➔

Milicja, Żbik i Relax

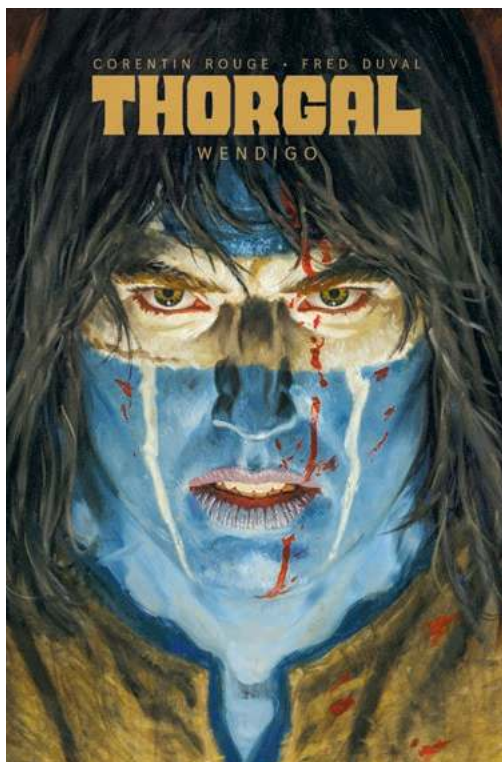
⇒ W roku 1967 komendant Milicji Obywatelskiej, generał Tadeusz Pietrzak, chce poprawić wizerunek milicji w oczach młodzieży. Wpada na pomysł wypuszczenia komiksowej serii o przygodach pewnego kapitana – tak rodzi się Jan Żbik. Rosiński, jako ilustrator historii, debiutuje piątym zeszytem serii pt. „Dziadem Tamary”. Scenariusze piszą dziennikarki „Polityki”, autorzy i autorki kryminałów oraz powieści milicyjnych, a nawet historyk i późniejszy polityk, Leszek Moczulski.

Podczas realizacji tego zlecenia Rosiński musi się dopasować do stylistyki stworzonej przez poprzedników – zaprawiony w pracy ilustratora nie ma z tym większego problemu, przeciwnie. Jak zauważy krytyk i tłumacz komiksów Rosińskiego Wojciech Birek, poprawia niedociągnięcia, nasycy serię onomatopiejami, eksperymentuje ze światłocieniem, bawi się formami dymków.

Ta swoboda będzie w ogóle kluczem do sukcesu Rosińskiego i bardzo przyda się artyście po przeprowadzce do Belgii na początku lat 80., kiedy to będzie zmuszony brać bardzo różne zlecenia, od projektowania okładek kaset VHS i plakatów biur podróży po etykiety na wino. Mniej skłonny do takich zajęć Tadeusz Baranowski, trzymający się swojego charakterystycznego stylu wypracowanego u boku Profesorka Nerwosolka, nie odniesie już takich sukcesów na Zachodzie.

Rosiński – poza tym, że jest po prostu lepszy warsztatowo od poprzednich rysowników „Żbika” – jako pierwszy w Polsce stosuje podpatrzoną na Zachodzie metodę kolorowania na tzw. blaudrukach, czyli jasnoniebieskich wydrukach komiksowej kreski. To praktyczne – jeśli coś się nie uda, można źle pokolorowaną planszę wyrzucić bez straty oryginalnej kreski. Rosiński robi łącznie jedenaście „Żbików”. Potem rysuje na zamówienie „Pilota śmigłowca”, w którym także zastosuje formalne eksperymenty, skorzysta z pasteli i węgla. W miejsce prostokątnych kadrów pojawiają się pod jego palcami dzieła po skośnych, łukach i krzywiznach.

W końcu zostaje redaktorem naczelnym magazynu komiksowego „Relaks”, wydawanego w nakładzie 100, a potem 200 tys. egzemplarzy, w którym publikować będą m.in. Janusz Christa, Andrzej Mleczko, Edward Lutczyn, Tadeusz Baranowski i Bogusław Polch. To na łamach „Relaksu” pojawiają się też odcinki „Thorgala” – pierwszego opublikowanego w PRL-u legalnie i w całości komiksu zachodniego. Rosiński, pracując już z wydawcą belgijskim, zastrzega sobie prawa do serii na rynek polski.



„Thorgal. Saga. Wendigo”

Historia Thorgala

FANI FANTASTYKI od lat spierają się, kto jest najważniejszym rodzimym herosem. O ile część uznaje wyższość Geralta z Rivii (rysowanego przez szkolnego kolegę Rosińskiego, Bogusława Polcha), to nie brakuje osób przypisujących pierwszeństwo Thorgalowi Aegirssonowi – ikonie europejskiego komiksu. Zrodzony ze współpracy belgijskiego scenarzysty Jeana Van Hamme'a oraz rysownika Grzegorza Rosińskiego bohater zadebiutował na łamach czasopisma „Tintin” w marcu 1977 r. Do Polski przyjechał zaledwie pół roku później, zaznaczając swoją obecność w magazynie „Relax”. Szybko skradł serca czytelników, osiagając niewyobrażalne dziś nakłady.

Thorgal posługuje się łukiem z kunsztem godnym Artemidy, w walce mieczem nie ma sobie równych. To urodzony wojownik gotów stanąć w szranki z najpodlejszymi kreaturami i szubrawcami. Chwyta za broń wyłącznie w ostateczności, na co dzień wzbrania się przed przemocą, na pijatyki i awantury spogląda z politowaniem. Wychował się wśród wikingów, lecz różni się od nich zarówno wyglądem – jest smuklejszy od przysadzistych pobratymców, zamiast blond czupryny posiada gęste, kruczoczarne włosy – jak i usposobieniem. Jest odważny, ale nie buńczuczny.

WYJĄTKOWOŚĆ Thorgala tkwi w jego pochodzeniu. Mistrz łuku i miecza to postać przypominająca tyleż Mojżesza, co jego popkulturową reinterpretację – Supermana. Już w drugiej odsłonie sagi ujawniono, że jest ostatnim przedstawicielem Gwiezdnego Ludu – rasy praludzi, zamieszkujących Ziemię przed wielkim kataklizmem. Chcący ocalić nowo narodzonego syna przed śmiercią rodzice złożyli go na morzu w niezatapialnej kapsule. Odnalazł go wikingiński wódz Leif Haraldson, który nazwał ocalałego na cześć władcy piorunów Thora oraz Aegira, zamieszkującego cieśninę Kattegat patrona wód.

CHOĆ THORGAL nie szuka guza, kłopoty znajdują go same. Na swej drodze co rusz napotyka mitologiczne stworzenia oraz przedstawicieli różnorodnych, ziemskich oraz pozaziemskich, cywilizacji. Wojak mimo woli tymczasem marzy wyłącznie o świętym spokoju oraz ciepłym domowym ognisku. Dlatego zamiast dostatniego życia w zamku Brek Zarith wybiera bezludną wyspę, na której wraz z żoną Aaricią oraz synem Jolanem (w kolejnych latach Thorgal doczeka się także córki Louve oraz syna Aniela) może cieszyć się tym, co cenniejsze od tysięcy sakw złota – wolnością.

© REMIGIUSZ RÓŻAŃSKI



MATERIAŁY PRASOWE EGMONT POLSKA

Yans w każdym z nas

Producent kosmetyków i chemii domowej pracuje nad lekiem, który pomaga powracającym z misji amerykańskim żołnierzom w ciągu zaledwie kilku tygodni wyjść z PTSD. Lęk? Koszmary senne? Dzięki specyfikowi od Geista wszystko znika. Ceną za „wyleczenie” jest częściowa utrata pamięci. Zyskiem dla Pentagonu: możliwość wysłania zaprawionych w boju wojskowych (w których zainwestowano setki tysięcy dolarów) na kolejne misje.

Pomysł wyprodukowanego przez Julię Roberts serialu „Homecoming”, którego dwa sezony można oglądać dziś w streamingu, brzmi jak zaczerpnięty ze starego komiksu Grzegorza Rosińskiego i André-Paula Duchâteau. Jego bohater Yans, wracając ze swoich podróży w czasie wprost do roku 2027, każdorazowo podlega procedurze wymazywania pamięci, której towarzyszy „lecniczy sen” produkowany przez „syntetyzer wizji”. Życie przeszłością jest zakazane. Nostalgia – tępiona. Yans przestaje rozumieć, do którego świata przynależy, skąd naprawdę pochodzi. Zabiera swoją ukochaną Orchideę z przeszłości do dystopijnego miasta pierwszej połowy XXI w. Od teraz wspólnie będą zmagać się z siłami zła i razem pracować.

Gdyby się nad tym zastanowić, bohaterowie Grzegorza Rosińskiego często zostają obdarzeni podwójną tożsamością, a ich prawdziwe pochodzenie objęte jest tajemnicą. Nie są świadomi, skąd przychodzą – jak Yans albo bohater „Westernu” Nate Colton – albo też prawdę o sobie ukrywają. Tej podwójności można oczywiście upatrywać w losie samego malarza, który – uciekając z PRL-u – zaczyna nowe życie daleko od domu. Tak, nostalgia jest w takiej sytuacji zakazana, a życie przeszłością może być, jak pokazały losy wielu emigrantów tamtego



MATERIAŁY PRASOWE KFF

Od góry: Fragment komiksu „Yans”, Egmont Polska, 2021 r.
Kadr z filmu „Ja, Rosiński”, reż. Piotr Kielar, 2024 r.

czasu, zgubne. Artysta będzie żył w takim zawieszeniu dwie dekady.

Spotkanie w Angoulême

Do Rosińskiego niezmiennie ustawiają się długie kolejki na festiwalach we Francji, Belgii, w Polsce. Zobaczymy je również w filmie Kielara. Jak znosi to ktoś, kto postanowił właśnie przejść na emeryturę?

– Myślę, że Rosiński najbardziej lubi teraz polskie festiwale, w szczególności ten łódzki – opowiada „Tygodnikowi” Artur Wabik z krakowskiego Muzeum Komiksu. – We Francji jest wielu łowców autografów i rysunków, funkcjonuje duży rynek, na którym się nimi obraca (oryginalna plansza Rosińskiego kosztuje ponad 10 tys. euro). Dlatego autor „Thorgala” lepiej się czuje w miejscach kameralnych, w bezpośrednich rozmowach, wśród bliskich. Cieszy się z powrotów do miejsca, w którym się urodził. Lubi przyjeżdżać do niewielkich domów kultury i tam spotkać się z fanami, porysować z nimi na żywo. Wielokrotnie widziałem, jaką mu to sprawia przyjemność. Byłem na przykład na jego wystawie we Wrocławiu. To był taki ciepły, słoneczny dzień. Rosiński szczer-

śliwy, w słomkowym kapeluszu, mamy nawet zdjęcia razem, jak się wygłupiamy. Niedługo potem widzę go naburmuszonego na ogromnej imprezie we francuskim Angoulême, gdzie kręci się 250 tys. ludzi. Taki spęd? – krzyczy. – Już nigdy tu nie przyjadę!

Czyżby, jak Thorgal, marzył wyłącznie o świętym spokoju oraz cieple domowego ogniska? Jeśli tak, drogą do wolności Rosińskiego okazała się... Łódź, której przekazał trzy lata temu w depozycie swoje wcześnie prace. ©© MONIKA OCHEŃDOWSKA

Dziękuję za pomoc przy pisaniu tekstu Arturowi Wabikowi, współtwórcy krakowskiego Muzeum Komiksu.

Film **JA, ROSIŃSKI** w reż. Piotra Kielara będzie można zobaczyć podczas internetowej edycji 64. Krakowskiego Festiwalu Filmowego od 31 maja do 16 czerwca.

W dniach 15 czerwca – 8 września w Pałacu Kultury i Nauki w Warszawie prezentowana będzie wystawa **GRZEGORZ ROSIŃSKI W ILUSTRACJACH**. Jej organizatorem jest stołeczne Muzeum Karykatury im. Eryka Lipińskiego.

Komedia omyłek

ANITA PIOTROWSKA

Przeciętniak tęskniący za kroplówką adrenaliny zostaje wkręcony w wir wydarzeń przyprawiających o zawrót głowy. Prawie jak u Hitchcocka.



CZASEM TRZEBA ZABIĆ W SOBIE INŻYNIERA Mamonia, czyli algorytm podpowiadający najbardziej znane lub podobne do siebie piosenki. W przypadku Richarda Linklatera jest to o tyle utrudnione, że stosując w swoich filmach ciągły płodozmian, jednocześnie stworzył niedościgły wzór – kina, które jak żadne pozwalało odczuć upływający czas, towarzyszyć zmieniającym się wewnątrz nie i fizycznie bohaterom, przegadywać z nimi całe życie.

Dzięki uchu do dialogów i obsadowej intuicji Julie Delpy, Ethan Hawke czy Patricia Arquette stworzyli u niego swoje najlepsze role. „Przed wschodem słońca” i jego sequele, rozłożone na dwie dekady, stały się doświadczeniem pokoleniowym, a kręcony przez dwanaście lat „Boyhood” oddawał nie tylko zmienną dynamikę rodzinną, ale i proces kulturowych przeobrażeń.

Nic więc dziwnego, że po kinie tak psychologicznie intensywnym i więziotwórczym trudniej przebić się z czymś radykalnie odmiennym. Na przykład z ekscentryczną komedią „Gdzie jesteś, Bernadette?” (2019), która mimo popisowej kreacji Cate Blanchett nie była sukcesem na żadnym polu. Tymczasem Link-

later dalej nie zamierza odcinać kuponów od swoich wschodów i zachodów słońca. „Hit Man” dystansuje już tytułem, sugerując na wejściu, iż wyrafinowany reżyser wziął się za kino typowo komercyjne czy *stricte* gatunkowe. I tu czekać może podwójna niespodzianka. Powstał film bezpretensjonalny i lekki, co wcale nie oznacza, że konwencjonalny i pusty.

Schemat wydaje się skądś znany: oto idealny przeciętniak, tęskniący za kroplą (a najlepiej za całą kroplówką) adrenaliny, zostaje wkręcony w wir wydarzeń przyprawiających o zawrót głowy. Prawie jak u Hitchcocka. Bowiem Gary Johnson, młody nauczyciel akademicki po rozwodzie, żyjący pośród kotów i roślin w domku na przedmieściach, dorabia sobie po godzinach jako Ron, policyjny tajniak. Pewnego dnia zakres jego śledczych obowiązków poszerza się – ma być teraz prowokatorem udającym płatnego zabójcę i, mimo braku profesjonalizmu, okazuje się w tym doskonały. Na dodatek, nagrywając prawdziwych zleceniodawców, wsadzając ich za prawdziwe kratki i dokonując prewencji wielu zabójstw, szary wykładowca filozofii i psychologii ma okazję prowadzić wielostronne „badania terenowe” nad naturą ludzką. I to ona zaprowadzi go w końcu na etyczne manowce.

Brzmi niewiarygodnie? Linklater, skądinąd filmowy samouk, opowiada historię „poniekąd prawdziwą”, zaczerpniętą z artykułu prasowego (pierwotnie Gary’ego zmarł przed premierą filmu), flirtując przy tym z czarnym kryminałem czy komedią romantyczną. Daje to przyjemność

obcowania z czymś dobrze znanym, a zarazem inteligentnie przetworzonym i trochę nostalgicznym.

Już staroświecka czołówka przekierowuje nas w dawniejsze rejony kina, bliżej lat dziewięćdziesiątych, choć akcja dzieje się w dzisiejszym Nowym Orleanie. Nie mówiąc o jazzującym podkładzie muzycznym w stylu Woody’ego Allena, z którym łączy Linklatera znacznie więcej. Na przykład postać intelektualisty, co to rozprawia ze studentami o nietzscheanizmie stosowanym, lecz dopiero będąc łże-killerem, może realizować swoje fantazje o życiu na krawędzi. I być charyzmatycznym twardzielem, który nie musi jeździć starą hondą civic. Aż wreszcie, pod wpływem spotkania z atrakcyjną klientką (Adria Arjona), Gary za mocno wchodzi w swoją rolę i coraz bardziej lubi w sobie cynicznego Rona.

„Hit Man”, czyli zanurzona w popkulturowych kliszach komedia omyłek, dworuje z wszelkiego teoretyzowania, bo wiadomo, że na końcu musi zwyciężyć to, co najgłębiej w człowieku ukryte. Oczywiście, samą psychoanalizę też traktuje krotkowilnie. W społeczeństwie, gdzie istnieje ogromne zapotrzebowanie na usuwanie zbędnych pań i panów, przebrany za płatnego mordercę bohater w pewnym momencie będzie nawet spełniał rolę doraźnego psychoterapeuty. Prowokacja jako metoda zapobiegania przestępstwom, chociaż kontrowersyjna z prawnego punktu widzenia (co film również pokazuje), może odświeżyć znacznie więcej – i dużo szybciej – niż niejeden psychoterapeutyczny seans.

RADIO KRAKÓW

Co środę o godz. 14.30
na antenie Radia Kraków
goszczą dziennikarze

„Tygodnika Powszechnego”.

Śluchaj nas w Małopolsce: Kraków – 101,6 FM
Nowy Sącz – 90,0 FM | Tarnów – 101,0 FM
Zakopane – 100,0 FM | Andrychów – 98,8 FM
Gorlice – 97,4 FM | Krynica-Zdrój – 102,1 FM
Rabka-Zdrój – 87,6 FM www.radiokrakow.pl



MATERIAŁY PRASOWE CANAL+

HIT MAN

– reż. Richard Linklater.
Prod. USA 2023.
Dystryb. Kino Świat.
W kinach.

Richard Linklater
zastąpił przede
wszystkim jako
twórca trylogii
„Przed wschodem
słońca” (1995, 2004,
2013). Zaczynał
w latach 90. od filmów
o amerykańskiej
młodzieży („Slacker”,
„Uczniowska balanga”).
Po drodze próbował
różnych gatunków
i stylów, by osiągnąć
artystyczne spełnienie
filmem „Boyhood”
(2014), nagrodzonym
za reżyserię na Berlinale
i nominowanym
do 6 Oscarów.

Na zdjęciu: Glenn Powel
i Adria Arjona
w filmie „Hit Man”,
reż. Richard Linklater

Tak czy inaczej, fabuła „Hit Mana”, błahej komedii poza dobrem i złem, zbudowana została z kłamstw, maszek i sytuacji *qui pro quo*, które koniec końców okazują się potrzebne. Choćby do tego, żeby się dowiedzieć, czego naprawdę się pragnie.

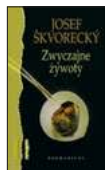
I nie ma w tym niczego (ani tym bardziej Nietzschego) odkrywczego. Linklater z dużą precyzją nakręca filmowy i moralny chaos, ironicznie zmierzający do ustanowienia nowego mieszczańskiego porządku. Zabawa w mistyfikację zdaje się nie mieć końca, ale też, na szczęście, nie zamęcza. Spora w tym zasługa Glenna Powella w roli Gary’ego/Rona, jako że aktor znany dotąd raczej z ról telewizyjnych i drugoplanowych („Top Gun: Maverick”, „Ukryte działania”) bez zbędnych grymasów potrafi oddać i dezorientację, i determinację swego bohatera. Jako aktor grający życiowego aktora czuje tę postać wyśmienicie, współtworzył ją zresztą także na papierze, debiutując przy okazji w roli współscenarzysty.

Gdyby nie wdzięk i najtisosowy sznyt, „Hit Mana” mógłby pokonać wspomniany nadmiar kamuflażu oraz natłok zgranych filmowych konwencji. Równocześnie czerpanie z kina już powstałego skazuje Linklatera na nieuchronne porównania i nie zawsze wypadają one na jego korzyść. Widzom zakochanym w starym dobrym Allenie będzie tu brakować jeszcze większej dawki inteligentnego humoru, fanom zaś braci Coenów – bardziej wyrotowego ekscesu. Kupując estetykę na granicy kiczu, można by dziś oczekiwać jej kempowego przekroczenia, a tymczasem trzeba się zadowolić dwuznacznym i dość bezpiecznym balansowaniem.

Pozostaje jeszcze pytanie, czy film Linklatera oglądany bez świadomości tych wszystkich odniesień, mrugnięć, przerysowań, tudzież bez wiedzy, jakiego kalibru reżyser pociąga za sznurki, w ogóle by się obronił. Tyle że „Hit Man” wcale nie chce być dziełem z podwójnym kodem. Bezszwowo łączy stylizację na rączy „akcyjniak” i pikantną, acz nieco staroświecką historię miłosną z przypowieścią o tym, że w życiu jesteśmy tylko wiązką ról.

Ktoś powiedział, że jest to film zarazem mądry i głupi – i trafił w punkt. Być może bierzemy udział w grze o sumie zerowej. Albo dostajemy rozrywkę, która nie obraża swojego widza, a przy tym nie obnosi się z listkami figowymi, przysłaniającymi jej proste w gruncie rzeczy intencje. ©

Lektor: Powrót do Kostelca



■ Josef Škvorecký

ZWYCZAJNE ŻYWOTY

Przekład Andrzej S. Jagodziński,
Elżbieta Lederer, Jan Stachowski.

Wydawnictwo Pogranicze,

Sejny 2024, seria Meridian, ss. 494

NIECH MI WYBACZĄ WIELBICIELE HRABALA I KUNDERY, dla mnie jednak w świętej trójcy czeskich prozaików powojennego półwiecza najważniejszy pozostaje Josef Škvorecký (1924-2012). Dwóch pierwszych też cenię, ale cóż, uczucia są stopniowalne.

Škvorecký nie miał łatwej drogi do polskiego czytelnika. Wprawdzie opowiadanie „Legenda Emöke” ukazało się u nas już w 1965 r., a napisana zaraz po wojnie i wydana w 1958 r. w klimacie wyreżyserowanego przez władze skandalu powieść „Tchórze” przesłiznęła się przez polską cenzurę u progu czeskiej „normalizacji”, gdy autor emigrował właśnie do Kanady, gdzie pozostał do śmierci, potem jednak trzeba było czekać na „drugiego obieg”. A w wolnej Polsce znakomity Andrzej S. Jagodziński długo szukał wydawcy dla arcydzieła, jakim są „Przypadki inżyniera ludzkich dusz”. Na szczęście powstało Pogranicze i opublikowało zarówno tę powieść, jak i „Batalion czołgów”, „Cud”, „Historię Kukułki i inne opowiadania” oraz piękną książkę o czeskim kinie. Gdzie indziej ukazały się m.in. „Fajny sezon”, „Lwiątko”, powieść o Dvořáku i „Gorzki świat” – obszerniejszy wybór opowiadań.

„Przez całe życie – pisze o Škvoreckim Jagodziński – pisał właściwie jedną powieść: kronikę swego nieszczonego pokolenia, miażdżonego przez różne totalitaryzmy, prawe i lewe. I o tym, że jazz i literatura były jedynym azylem”. A znaczną część jego prozy łączą bohater – Danny Smřický, wyposażony w wiele cech autora – i jego rodzinne miasto Kostelec, czyli Náchod, dziś tuż nad polską granicą. Cztery utwory składające się na „Żywoty” wiążą się z tym cyklem, a po części są do niego komentarzem.

„Saksofon basowy” (1965) i „Red Music” (1977) to wyznanie wiary w jazz jako religię wolności, tępioną z powodu swojego wyrotowego potencjału przez nazizm i stalinizm. „Neuilly”, obszerny utwór eksperymentujący z poetyką strumienia świadomości, oraz napisana pod koniec życia nowela tytułowa przynoszą melancholijny powrót do kosteleckiego świata i zaludniających go postaci. Autor, skądinąd wspaniały humorysta, ma mocne poczucie tragizmu i sporą porcję czułości dla swoich bohaterów. Jakkolwiek powikłane stały się ich losy, to przecież historia zgotowała im niezawinione piekło. Zamyka książkę rozmowa, przeprowadzona przez Jagodzińskiego ze Škvoreckim po przyznaniu mu Nagrody Angelusa. ©®

OLGA

Drenda:

Nie, syrenko



NIE MA W ŚWIECIE WIĘKSZEGO SZANTAŻYSTY od funkcji wyznaczania tras rowerowych w aplikacji z mapą. Oprócz proponowanej drogi prezentuje ona bowiem szacowany czas przejazdu. Czas ten jest zupełnie fikcyjny i z sufitu wzięty, jeśli jesteś zwykłym rowerzystą. Chyba że wejdiesz z aplikacją w pakt, który rozumiem jako wspomniany przed chwilą szantaż: dojeżdżesz w przewidywanym czasie, ALE. Ale nie możesz się zatrzymać, nie możesz zrobić przerwy na coś do picia, nie możesz się nawet uważnie porozglądać, nie mówiąc o zrobieniu zdjęcia, bo nie zdążysz.

Używam świadomie mocnego słowa „szantaż”, bo w szacowany czas dojazdu wbudowany jest potencjał nerwowości i cicha groźba: „naprawdę chcesz wypaść poniżej oczekiwań?”. Tak postawiwszy sprawę, musimy przyznać, że sam akt zauważenia czegoś czy zastanowienia się to już strata czasu, bo wymaga spowolnienia. Chcąc zdążyć, musisz obudować siebie, wraz ze swoim pojazdem, nieprzeźroczystym tunelem, który uodporni cię na pokusy świata i zmusi do skupienia się wyłącznie na tempie i dotarciu z punktu A do B. Wszystko inne musi zostać wyedytowane z pola widzenia.

Można oczywiście tak robić, lecz czy ma to sens? Od lat jestem miłośniczką jazdy na rowerze, bo uważam, że ma wiele zalet – daje swobodę manewru, sporą autonomię i przyjemność, by użyć tu sympatycznie staromodnego słowa, z dotleniania się. Niemniłym zaskoczeniem okazało się jednak to, jak łatwo mi tę przyjemność obrzydzić. Miało to miejsce w Warszawie, gdzie przy czę-

sto uczęszczanych trasach rowerowych animowana syrenka macha dłonią i oznajmia, czy jedziemy zgodnie z dozwoloną prędkością. Pewnego razu syrenka wyświetliła mi wiadomość: „możesz przyspieszyć”. Słowo daję, że poczułam z jej strony czystą, cyfrową, zapikselowaną pogardę i byłam gotowa już nigdy więcej nie wsiąść na rower.

Socjolog kultury cyfrowej Mark Carrigan napisał już 10 lat temu, a więc w czasach, gdy technologie monitorowania samego siebie były zdecydowanie mniej rozwinięte niż dzisiaj, o swoim krótkim i niefortunnym romansie z urządzeniami pomiarowymi. Nosił przez pewien czas self-trackingową opaskę, lecz zrezygnował z tego, gdy poczuł się mniej więcej tak jak ja po zniewadze ze strony syrenki. Zauważył, że o ile urządzenia monitorujące nasze czynności nie muszą całkowicie odbierać z nich satysfakcji (czyli można mimo wszystko nadal cieszyć się spacerem, licząc wykonane kroki), to skutecznie je sabotują, ponieważ przekierowują uwagę w stronę tego, czy zadanie zostało wykonane i czy wykonano je dostatecznie. Stajesz się mechanizmem zorientowanym na wypełnianie planów i zadań.

Dzisiaj częściej – i słusznie – zadajemy sobie dalsze pytania wymuszone przez wszechobecność aplikacji: komu powierzamy nasze osobiste dane, co można z nimi potencjalnie zrobić, jak dalece ingerują w wolność i prywatność użytkownika. Namysł rozpoczęty przez Carrigana nie traci jednak na aktualności: dlaczego tak chętnie rezygnujemy z doświadczania i przeżywania na rzecz wypełniania zupełnie arbitralnego planu w imię nieustannej optymalizacji? Dokąd to może prowadzić, wskazał kiedyś w pysznym cytacie francuski badacz technologii cyfrowych Edouard Kleinpeter: ustawiczny pomiar prowadzi do wytworzenia powszechnego przekonania, że nikt nie może być wystarczająco „normalny”.

Wyznam w sekrecie, że kontestuję pomiary, może z wyjątkiem niezbędnych badań zdrowotnych. Nie mam monitora prędkości na moim rowerze i nigdy nie wiem, ile przejechałam kilometrów. Nie wiem i nie chcę wiedzieć, ile składników odżywczych i w jakich proporcjach zawierają moje posiłki. Kiedy piszę, liczbę znaków sprawdzam niechętnie i tylko dlatego, że wiem, że ma to wpływ na pracę innych osób, a nie dla własnej satysfakcji czy „grywalizacji”. Nie zakładam się sama ze sobą, że zrobię ileś tam czegoś tam. Niewykluczone, że w ten sposób coś tracę, że omijają mnie emocje zbliżone pewnie charakterem do legalnego hazardu. Choć muszę przyznać, że kiedyś, na krótką chwilę, pokładałam zaufanie w pomiarach. Ściągnęłam aplikację, która obiecała monitorować „jakość snu” (zwróćmy proszę uwagę na to, jak nawet zjawiska odruchowe i naturalne muszą obecnie spełniać określony standard!), co przekładało się na nagrywanie oddechu i rejestrowanie potencjalnych anomalii, które mogłyby wykazać bezdech. Mój oddech we śnie, jak się okazało, składał się głównie z anomalii. Odpowiadał za to kot Basik, który ma w zwyczaju głośno i często chrząkać.

©

Rozważny
cyklista



OLGA DRENDA

PAWEŁ

Tygodnik Smaków – co piątek w Twojej skrzynce
przepisy na Tygodnikowy
lunch, deser, obiad.
Zapisz się na
powszech.net/tygodnik-smakow



Bravo: Naturalnie



DWA TYSIĄCE JUŻ LAT (I JESZCZE DWADZIEŚCIA cztery) trwa nasza era, a o tym, jak ją liczymy, mianowicie od czego się umownie zaczęła, wie już dziecko w podstawówce. Chyba że wyrzucono rudymenta chronologii z podstaw programowych. Słysząc jednak głosy, że skoro chrześcijaństwo, nawet w formie rozmytych

powidoków, przestaje definiować Europę (w Wielkiej Brytanii już trzy lata temu mniej niż połowa ludności deklarowała jakąkolwiek formę tożsamości chrześcijańskiej), powinniśmy darować sobie religijne konotacje datowania – w Polsce nie ma problemu, bo swego czasu władza ludowa zadbała o wyrugowanie z podręczników zwrotu „przed Chr.”, ale Anglosasi mają nadal swoje BC, czyli *before Christ*, oraz AD, w którym po-brzmiewa podejrzany *Dominus*.

Z odsieczą nadciąga nauka: dzięki niej mamy niewydu-many powód, by dalej umieszczać rok zerowy w tym samym punkcie na osi. I to bez względu na wiarę i cywilizację. Z badań genetycznych ogłoszo-nych w poważnym czasopiśmie (nie takim od zapalek Jana Pawła II) wynika niezbi-cie, iż około 2 tysiące lat temu powstał cał-kiem nowy gatunek owada z rzędu kara-czanów, znany w Polsce jako prusak. Po-wodem oddzielenia się od paskudnych kuzynów była chęć ułożenia sobie życia z człowiekiem, w ciemnych kątach jego domostw. Naukowcy dotąd biedzili się nad ustaleniem, jaki był habitat tego ga-tunku, zanim się do nas przyplątał, tak jak inne gatunki zwane synantropijnymi – choćby cudne jerzyki, które zamieniły skały na gzymsy. Otóż żaden prusak nie ist-niał i nigdzie nie mieszkał, zanim człowiek nie założył spichle-rza, spiżarni, śmietnika.

Nowa era zaczęła się zapewne w okolicach Indii, po czym prusak pomału rozlaź się na cały świat, mając za wehikuł kupieckie statki i tabor wojak. W naszych okolicach pojawił się powszechnie właśnie w związku z wojną – tą siedmioletnią, niedocenianą przez nasze podręczniki (bo „wśród ofiar nie było Polaków”), a to wszak przełomowy moment ustanawiania no-woczesnego układu sił, swego rodzaju europejskiej i amerykań-skiej ery trwającej właściwie do dziś. Nietrudno zatem zgadnąć, że nazwa zwierzaczka jest ściśle polityczna – ale tym razem winny jest nie dyżurny polski germanofob, tylko zacny Karol Linneusz i jego *Blattella germanica*. Jako poddany króla Szwecji miał wszelkie powody, by w trakcie owej wojny nie lubić Pru-saków, i tak się na nich zemścił.

Człowiek dał warunki do zaistnienia, to i człowiek unice-stwi. Badania mają pragmatyczny cel: racją dostateczną nowego

gatunku nie była nieodwzajemniona sympatia dla ludzkości, tylko układ cech zapewniający przetrwanie mimo prób tępie-nia na wszelkie sposoby. Jeśli zrozumiemy, jakimi genetycz-nymi ścieżkami powstała odporność, znajdziemy klucz do tej jednej właściwej (i niegroźnej dla ludzi) trucizny. Jestem bar-dzo ciekaw, czy faktycznie okażemy się skutecznym demiur-giem *à rebours*. I co wtedy wymyśli przyroda, jaką niszę znaj-dzie, by wcisnąć nowego towarzysza do innej szpary w naszej globalnej podłodze.

Wiem, z tym „wymyślaniem” to naiwna metafora, przy-pisywanie przyrodzie cech ludzkich. Tymczasem zdolności stwórcze naszego umysłu na razie ograniczają się do mniej lub bardziej udatnych frankensteinów. Istot niezdolnych do samo-dzielnego istnienia i rozmnażania poza strukturami hodowli i uprawy. Jest ich w naszym jedzeniowym otoczeniu znacz-nie więcej, niżbyśmy chcieli przyznać. Począwszy od kurcza-ków – nawet jeśli omijacie te z okrutnych, masowych ferm, to przecież te „z wybiegu” są w równym stopniu sztucznym bytem. Bywa, że krowy puszczane wolno adaptują się do dzi-kości i rozmnażają, ale w następnych pokoleniach nie dosta-niecie już prawie wcale mleka. To samo rośliny. Mam

w ogrodzie przepiękny zdziczały rzepak, rozrasta się cudownie wżwyz i wszecz, ale fasolek z cen-nymi ziarenkami ma coraz mniej. No to może chociaż leśne runo! Niech żyją jagódki, ko-rzonki, kłącza i grzyby, jakże miło zebrać coś prawdziwego. Cóż, jeśli nie buszu-jecie w strzeżonych rezerwatach parku narodowego, to las nad waszą zbieracką głową jest poprowadzony ludzką ręką, „sztuczny” niemal tak samo, jak pole pszenicy za jego skrajem.

„Naturalne” w sensie ścisłym w naszym bezpośrednim otocze-niu to mamy tylko prusaki. No i co z tego? Nic, chciałem wam tylko o tym przypomnieć, bo boli mnie, jak hanieb-nie dajemy się nabierać na to sponie-wierane i wyzute ze znaczenia słowo,

ilekroć słuchamy o jedzeniu (niekoniecznie tylko w rekla-mach). W sobotę Dzień Dziecka, to dobry moment, żeby sobie przypomnieć, iż już nie jesteście dziećmi. ©P



A co z naszym wewnętrznym dzieckiem? Żeby nie zakłócało trzeźwej oceny rzeczywistości, zatkajmy mu buzię czymś słodkim. Są już dobre letnie ogórki, idealne do połączenia z miodem, zwłaszcza gryczanym! Za mało słodczy? No to zrobmy lekki letni pseudosuflet. Dwa jajka ubijamy starannie z ok. 30 g cukru, stopniowo mieszamy delikatnie z 250 g ricotty, dalej trochę esencji waniliowej albo skórki z cytryny i na koniec wkręcamy łyżkę maki. Tak otrzymany krem można zapiec solo w małych foremkach w 180 stopniach przez około kwadrans, aż się lekko zrumieni z wierzchu, i podawać z owocami albo użyć jako wypełniacza do tarty.

WSZYSTKIE ODCIENIE CANNES

Błękit to kolor klasy pracującej.
Róż zarezerwowany jest dla arystokracji.
Przed bielą klękasz w kolejkach.

MICHAŁ WALKIEWICZ Z CANNES

UPAŁ TAKI, ŻE KREM Z FILTREM SKWIERCZY NA SKÓRZE. SMO-king, lakierki w szpic i obowiązkowa mucha. Na tekturowych planszach eksplikacja życiowych potrzeb: „jeden bilet na Coppole”, „dwa bilety na Furiosę”. To tzw. zwykli widzowie na tzw. niezwykłym festiwalu filmowym. Dawniej musieli liczyć na szczodrość dziennikarzy. Teraz do puli wejściówek *in blanco* dostęp mają jedynie producenci i dystrybutorzy.

Eleganckie stroje i lakoniczne komunikaty odzwierciedlają podwójną canneńską logikę przepychu i niegościnności. Niektórym się ulewa. „Stoję tu od tak dawna, że nie pamiętam już nic innego” – czytamy i myślę, że po dziesięciu latach na festiwalu mógłbym chwycić tę planszę za drugi róg. Cannes to nie tylko najważniejsze wydarzenie sezonu. To również biznesowy zwornik całej branży oraz gigantyczne symulakrum. Kolektywny zestaw wyobrażeń o tym, jak powinien wyglądać „wielki świat”.

W tym roku Złotą Palmę – po raz pierwszy od trzynastu lat, gdy statuetka za „Drzewo życia” trafiła do Terrence’a Malicka – zdobył reprezentant Stanów Zjednoczonych. „Anora” w reż. Seana Bakera to opowieść o tancerce erotycznej, która bierze ślub z synem oligarchy. I zarazem kapitalna metafora paradoksów konstytuujących tożsamość festiwalu.

Yes, you Cannes!

Jesteśmy w nocnym klubie. Kamera przygląda się tancerkom przy akompaniamencie zremiksowanego popowego hymnu „Greatest Day” zespołu Take That. Jej horyzontalny ruch to symbol strategii artystycznej reżysera – w swoich filmach Baker podąża z zachodu na wschód, od Kalifornii po Nowy Jork, pisząc kronikę społecznych marginesów. Anora (dla przyjaciół Ani), dziewczyna o „gównianym, uzbeckim imieniu”, odwraca ten wektor i wdrapuje się po społecznej drabinie do po-



DAVID NIVIERE / ABACA / EAST NEWS

siadłości rosyjskiego bogacza. Po chwili znów spada na dno, bo do domu wracają siepacze oligarchy z misją unieważnienia małżeństwa. Chłopak bierze nogi za pas, dziewczyna rusza w pogoń, a sytuacja eskaluje zgodnie z prawidłami szalonej komedii. Nastroj jest minorowy, ale Baker lubi, kiedy widz się dobrze bawi.

„Anora” to świetny film, którego triumf cieszy, a przy okazji uświadamia, jak dziwnym miejscem jest samo Cannes, w którym pogoń za duchem czasu oraz eskapistyczną rozrywką rzadko da się zakończyć satysfakcjonującym werdyktem. Podobne do „Anory” filmy z USA lądują zwykle w sekcjach pobocznych o stosunkowo niewielkim medialnym nagłośnieniu. Byłoby inaczej, gdyby związki Cannes z Hollywood stanowiły owoc artystycznej symbiozy, a nie marketingowej kalkulacji.



Jurorzy i zwycięzcy 77. Festiwalu Filmowego w Cannes. Francja, 25 maja 2024 r.

Romans festiwalu z Fabryką Snów rozpoczął się jeszcze przed wojną, lecz rozkwitł dopiero w latach 60., kiedy przyплыw nowych sponsorów z branży jubilerskiej i motoryzacyjnej wymusił konieczność ściągnięcia na Lazurowe Wybrzeże wielkich gwiazd. To dzięki ich obecności w Cannes rozkwitła celebrycka kultura, a w programie zaroilo się od filmów-wydarzeń oraz dedykowanych pokazów specjalnych, co w konsekwencji przyciągało nowych sponsorów i nowe gwiazdy.

Z jednej strony mamy więc potężny amerykański kapitał, dzięki któremu Hollywood może prezentować we Francji swoje blockbustery (w tym roku np. „Furię. Sagę Mad Max”). Z drugiej zaś – niosącą się echem po festiwalowych obiektach pieśń o „żywej glebie kina artystycznego”, czyli nutę, która uszlachetnia nawet najgorsze produkcje, by wspomnieć okropną „Grace. Księżną Monaco” z Nicole Kidman na otwarcie festi-

walu w 2015 r. Bez tego mariażu Cannes wciąż byłoby ważnym festiwalem. Ale nie najważniejszym.

To bardzo smutne

Cannes to jedyne miejsce, w którym dziennikarzy z kraju ogarniętego wojną wita przelot eskadry myśliwców (tak było na premierze „Top Gun: Maverick” w trakcie rosyjskiej agresji na Ukrainę). Na konferencjach prasowych twórcy zabierają głos w sprawach zarówno istotnych, jak i błahych, lecz sam festiwal skonstruowany jest tak, by zrównywać cały przekaz. Bojkot imprezy oraz solidarność filmowców ze strajkującymi studentami w 1968 r. znaczą w historii Cannes tyle samo, co afera o *dress code* sprzed kilku lat, w wyniku której kobietom pozwolono wchodzić na pokazy w płaskich butach, a panom przykręcono śrubę i zawiązano muszki.



→ Filmem, który w tym roku najlepiej oddawał ten paradoks, był „Limonov: The Ballad of Eddie” Kirilla Sieriebriennikowa – biografia niepokornego poety, dziennikarza oraz przewodniczącego partii Narodowo-Bolszewickiej. Poprzedni utwór reżysera w Konkursie, „Żonę Czajkowskiego”, dziennikarze potraktowali jak symbol niezdrowego symetryzmu i policzek wymierzony Ukraincom. Ten, w myśl zasady „Rosja – tak, Putin – nie”, usprawiedliwiono narracją o koprodukcji, amerykańskich pieniądzach oraz rebelianckiej naturze samego Limonowa. Pytanie, co zmieniło się przez ostatnie dwa lata, jest retoryczne. Zaś węzełek sprzecznych interesów, politycznych wpływów i artystycznych kryteriów wydaje się nie do rozsypiania. Nawiasem mówiąc, zwycięska „Anora” również obsadzona jest przez aktorów moskiewskich teatrów.

Kamień, internet, papier

Żółty symbolizuje ambicję i niemoc. Błękit to kolor klasy pracującej. Róż zarezerwowany jest dla arystokracji. Przed białą kłękasz w kolejkach. Niewielu wie, że Cannes jest imprezą branżową, wyłącznie dla krytyków, filmowców, dystrybutorów i agentów sprzedaży. Jeszcze mniej – że barwy akredytacji wyznaczają miejsce na dziennikarskiej drabince bytów. Kryteria ich przyznawania nigdy nie były transparentne, co doprowadziło do powstania rozmaitych mitów. Na przykład, że papier zawsze bije cyfrę, a rosnące doświadczenie nie gwarantuje awansu z jednej klasy do drugiej.

Po pandemii algorytmy dzielenia dziennikarzy na lepszych i gorszych ukryto w elektronicznym systemie rezerwacji – na pozór egalitarnym, w praktyce wstrzymującym „słabsze” kolory przy wirtualnych bramkach. Jak na ironię, przywiązani z oczywistych względów do konkursu głównego krytycy walczą o miejsca na pokazach, które są najmniej miarodajne, jeśli idzie o jakość festiwalowego programu.

Jednym z powodów takiego stanu rzeczy jest nadreprezentacja kiepskich, lokalnych produkcji. W kontekście spektakularnych triumfów francuskich twórczyń w ostatnich latach („Titane” Julii Ducournau oraz „Anatomia upadku” Justine Triet) ta dysproporcja może wydawać się uzasadniona, lecz pamiętajmy, że większość filmów nie trafia do polskiej dystrybucji, a niektóre kończą międzynarodowy żywot tuż po dziewczym seansie.

W tym roku o wianek z chrustu walczyli m.in. Gilles Lellouche z barokowym i niezdolnie pretensjonalnym musical „Beating Hearts”, Christophe Honoré ze swoją postmodernistyczną fantazją na temat życia i twórczości Marcello Mastroianniego („Marcello, Mio”) oraz debutantka Agathe Riedinger z publicystycznym filmem o dziewczynie, która chce zostać gwiazdą *reality show* („Wild Diamond”). I choć żadna z tych produkcji nie była zbrodnią na sztuce filmowej, to w połączeniu z monstrualnymi metrażami większości dzieł prowokowały zasadne pytanie o kształt i – przede wszystkim – rozmiar konkursu głównego.

**Romans Cannes z Hollywood
rozpoczął się przed wojną,**
a na dobre rozkwitł w latach 60.,
kiedy to napływ sponsorów z branży
jubilerskiej i motoryzacyjnej
wymusił konieczność ściągnięcia
na Lazurowe Wybrzeże
wielkich gwiazd.

Honoru Francuzów bronili w tym roku weteran Jacques Audiard (laureat Złotej Palmy za „Imigrantów” oraz Grand Prix za „Prokoka”) oraz nowa królowa „śmietciowego” kina Coralie Fargeat. Ten pierwszy w kolejnym rozdziale swojego romansu z kinem gatunków połączył musical z gangsterską odyseją. W rozwibrowanej „Emilii Pérez” bohaterowie śpiewają o codzienności potocznym językiem. Tyle że jest to codzienność transkobiety trzymającej za lejce meksykański narobiznes. Karla Sofía Gascón, nagrodzona kolektywnie wraz z koleżankami z planu (Adriana Paz, Zoe Saldaña, Selena Gomez), to pierwsza transpłciowa aktorka wyróżniona statuetką na Lazurowym Wybrzeżu.

Fargeat tymczasem nakręciła horror „The Substance”, czyli formalnie wyczelowane arcydzieło złego smaku. To opowieść o starzejącej się aktorce (Demi Moore), która wydziela z siebie *abject*, czyli głośniejsze i piękniejsze *alter ego* (Margaret Qualley), a następnie wchodzi z nim w krwawy konflikt. Film nakręcony bez hamulców i poszanowania fundamentalnych zasad dramaturgii, a jednocześnie odsyłający za pomocą oryginalnego kodu estetycznego do ciekawych kontekstów.

To opowieść o języku piętnującym starość, o szowinizmie wpisanym w tkankę popkultury, o erotycznej podszewce rozmaitych form medialnych. Francuzka musiała zadowolić się laurem za scenariusz, który uważam mimo wszystko za nagrodę pocieszenia.

Siła sióstr

Film Audiarda był połączeniem dwóch dominujących w Cannes narracji – o powrotach „przyjaciół królika”, czyli wyliniałych mistrzów kina, oraz kobiecym punkcie widzenia (nie tyle w znaczeniu reżyserskich parytetów, ile reprezentacji wśród wiodących postaci). Zaczęło się od świetnej „Dziewczyny z igłą” Magnusa von Horna, polskiej koprodukcji o duńskim podziemiu aborcyjnym po I wojnie światowej, rozpisanej na konflikt postaw, wrażliwości oraz języków ciała dwóch fantastycznie napisanych bohaterek.

Później była zwycięska „Anora”, ograbione z ważnych nagród „The Substance”, opowiadające o klinczujących z życiem nastolatkach „Wild Diamond” oraz „Bird” Andrei Arnold, a także wyróżniona Grand Prix miejska impresja „All We Imagine As Light” Payal Kapadii. Wreszcie – wyróżnione Specjalną Nagrodą Jury „The Seed of The Sacred Fig” zbiegłego z Iranu Mohammada Rasouloufa – o najróżniejszych rodzajach kobiecego buntu wobec reżimowej władzy. Wszystkie te filmy układały się w panoramę potrzeb, obsesji, lęków i marzeń współczesnych kobiet – tak na płaszczyźnie społeczno-politycznej, jak i prywatnej.

Jorgos Lantimos przyjechał do Cannes z filmem „Rodzaje życzliwości”, który przypomina autoterapię po flircie z Hollywood w „Biednych istotach”. Grek nakręcił całość w kilku lokacjach, z zaufanymi aktorami (zasłużona statuetka za rolę męską dla Jessego Plemonsa). I – jak sam tytuł wskazuje – serwuje



GUILLAUME HORCAJUELO / EPA / PAP

Sean Baker, zdobywca Złotej Palmy, po ceremonii wręczenia nagród 77. Festiwalu Filmowego w Cannes. Francja, 25 maja 2024 r.

nam przegląd okropieństw, które wyrządzamy sobie w rozmaitych miłosno-zawodowych relacjach. To niezły, choć nieco wtórny film, mylący transgresję z tiktokowym potencjałem (taniec Emmy Stone na tle błękitnego dodge'a challenger'a jest już hitem internetu).

Piątkę z Lantimosem zbił David Cronenberg, który na obecnym etapie kariery gra już w chodzonego. „The Shrouds” – historia magnata branży pogrzebowej, który za pośrednictwem nowoczesnego całunu podgląda rozkładającą się w trumnie żonę – to kino pełne intrygujących konceptów, ale mdłe formalnie i ślamazarnie narracyjnie. Już w pierwszej scenie wystylizowany na samego reżysera Vincent Cassel pyta nas: „W jaki mrok jesteście w stanie wejść?”. Choć powinien raczej spytać, jak długo będziemy w stanie iść. Jeszcze głębiej na wysypisku autocytatów i sentymentów zakopał się Włoch Paolo Sorrentino. Jego „Parthenope” to oda do kobiecości napisana przez starego satyra, podkreślająca sprawczość oraz psychologiczne skomplikowanie mitologicznej bohaterki, a jednocześnie czyniąca z niej erotyczny totem.

I wreszcie „Megalopolis”, czyli *opus magnum* Francisca Forda Coppoli. Inspirowana upadkiem Cesarstwa Rzymskiego opowieść o utopijnej Ameryce, o której duszę walczą Artysta i Polityk. Modernistyczny, gotowy do samozapłonu architekt oraz bezwzględny pragmatyk, który wolałby zredukować bezrobocie. Eros i Tanatos, gwiazdy pop i spin-doktorzy, logika rewolucji i dynamika totalitaryzmu. Po ulicach miasta przyszłości przechadzają się wszyscy, a z ich ust płyną wyłącznie pytania graniczne. I aż korci, by sprowadzić tego Hindenburga na ziemię.

Liczyby nie kłamią: uwzględniając „Megalopolis”, już połowa filmografii amerykańskiego mistrza to artystyczne porażki (w tym „projekty życia”, czyli fatalna adaptacja „Młodości stulatka” Mircei Eliadego oraz pretensjonalne „Tertio” o powinnościach bohemy). Zaś druga połowa to arcydzieła tworzone na zamówienie lub będące owocem krwawych starć z producentami. I choć niezręcznie mi to pisać, gdyż Coppola sfinansował film z własnej kieszeni, to chciałbym wiedzieć, gdzie jest te 120 mln dolarów ze sprzedanych winnic i zastawionego dobytku? Bo na pewno nie w dekoracjach, kostiumach, efektach specjalnych czy inscenizacji.

Mistrzowski happy end

W filmie Sorrentina piłkarska drużyna Napoli zdobywa mistrzostwo Włoch (po raz pierwszy od czasów Maradony!), a reżyser towarzyszy im z kamerą w trakcie zwycięskiego pochodu. Właściciel zaprzyjaźnionej neapolitańskiej knajpki z Cannes poprosił mnie o bilet na film, chciał sprezentować go nastoletniemu synowi. A ponieważ, jako dla fana AC Milanu oraz kibicowania bez barier, była to dla mnie kwestia honoru, przez tydzień latałem od drzwi do drzwi. Bezskutecznie.

Gdy w końcu zebrałem się na odwagę, by przekazać chłopcu złe wieści, okazało się, że ten dostał się na seans podstępem. Skorzystał z akredytacji dziennikarskiej faceta starszego o jakieś trzydzieści lat, o innej karnacji i kolorze tęczy. Na zdjęciu, które z dumą mi zaprezentował, miał atrapę okularów, pociągniętą srebrnym sprejem czuprynę i doklejony wąs. Ochroniarze dali się nabrać, gdyż pomylili rzeczywistość z komedią Mela Brooksa.

© MICHAŁ WALKIEWICZ

STANISŁAW

Mancewicz:

Zmęczenie



ŚLEDZENIE WYSTĄPIEŃ J. KACZYŃSKIEGO przed komisjami śledczymi jest męczące. Ostatnio, by się do tego spektaklu przygotować, zjedliśmy pierogi z kebabem. To nowość na rynku tradycyjnej kuchni polskiej. Niestety, nawet ten nieskomplikowany eksperyment na sobie i na żywym ciele polskiej kultury, mający dać nam energetycznego kopa, nie był w stanie pomóc w – pardon – rozumieniu i przyswajaniu wypowiedzi byłego Gospodarza.

Kłopoty ze zrozumieniem zniechęcają nas do śledzenia, w jakim stanie emocjonalnym i umysłowym znajduje się przywódca PiS, z drugiej zaś strony musimy mieć oczy szeroko otwarte. Słuchanie, obserwowanie, podejmowanie prób zrozumienia, co ten człowiek wymyśla, co mówi i gdzie, jest oczywiście powinnością, by nie rzec – egzystencjalnym obowiązkiem każdego próbującego choćby troszkę trzeźwo myśleć o przyszłości. Powody są oczywiste: to jednoznaczne zapowiedzi i snucie wizji na temat zmiany władzy. Przyjdzie czas odpłaty – powiada b. Gospodarz i niewątpliwie należy przyjąć, że jego powrót jest realny, a na pewno niewykluczony. Żłudzenia, że byłby to powrót w wyniku jakichś drastycznych działań, należy raczej włożyć pomiędzy baśnie, bowiem zapewne odbyłoby się to i legalnie, i ku radości większości obywateli.

Idźmyż dalej. Sami się sobie dziwimy, że J. Kaczyński nas męczy. Wiele lat słuchania różnych funkcjonariuszy, urzędników, analityków i specjalistów uodporniło nas – tak nam się zdawało – na najszerzej i najdowolniej pojętą specyfikę wyrazu czy też na brak kultury języka polskiego. Jednakowoż nigdy nie zdobyliśmy odporności na ową, na każdym kroku i w co drugim zdaniu uprawianą przez J. Kaczyńskiego „naszość” i „waszość” – my mamy rację zawsze, wy nigdy – by wyrazić jasnie,

o co nam chodzi. Otóż ten rodzaj opowiadania o świecie jest bardzo męczący. By użyć parabol, słuchanie „naszości” splecionej z „waszością” przypomina przeżycia związane z wsłuchiowaniem się w odgłosy dobywające się z kuźni. Człowiek się od tego mądrzejszy nie robi.

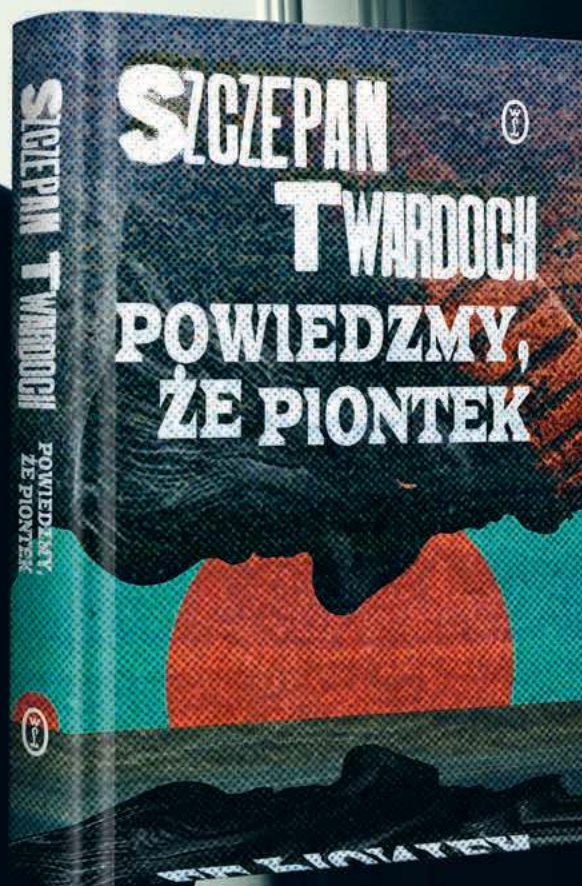
W wypowiedziach J. Kaczyńskiego uderza także infantylna interpretacja prawa, które zawsze działa na jego korzyść i zawsze na niekorzyść przeciwników. To charakterystyczne dla interpretacji kodeksu karnego przez ludzi półświatka, co nas też nieustająco wycieńcza i nudzi. Nie można też zapomnieć o elemencie istotnym dla dopełnienia tej postaci, czyli łomoczących refleksjach pana prezesa na temat zasad dobrego wychowania. Są to – rzecz trzeba – uwagi tak dalece sprzeczne z tymi zasadami, że zaiste męczące. Chciałoby się, by to było groteskowe, ale nie jest. Cały *savoir-vivre* J. Kaczyńskiego mieści się – co wiadomo od dziesiątków lat – w całowaniu kobiet po rękach.

Jest coś jeszcze – i jest to osobliwość. Otóż przesłuchaliśmy sobie kilka przemówień b. Gospodarza w sali parlamentu, na wiecach oraz w studiach telewizyjnych. Zauważyliśmy znaczący detal zmieniający aurę. Oto występy przed komisjami śledczymi różnią się od przemówień publicznych zasadniczo – w roli świadka p. Kaczyński musi słuchać, co mówią inni. To go niemiłosiernie wkurza. Na nic udawanie luzu i ciężkie bon moty. Widać, że nie jest przyzwyczajony, by ktoś siedział, jak on mówi. I to także jest dość męczące. Najmniej w tym wszystkim męczą nas oczywiście jego podwładni w owych komisjach zasiadający. Są to ludzie wypełniający rolę paziów w sposób szalenie teatralny. Jest to jednak estetyka i klasyka teatru politycznego Europy Wschodniej.

Ponieważ jesteśmy bardzo zmęczeni i rozsierdzeni, postanowiliśmy się zrelaksować i przeczytaliśmy najnowsze ustalenia Rady Języka Polskiego. Z nowinkami się zgadzamy. Jesteśmy jednak zawiedzeni brakiem rekomendacji, której nam zresztą brakuje od bardzo dawna. Oto bardzo byśmy chcieli, by wszem wobec ustanowiono zakaz używania angielskiego słowa „hejt”, które zaiste w polszczyźnie nie ma żadnego ładunku, i by przypomniano, że mamy w polszczyźnie ciężkie i mocne słowo „nienawiść”. Jego znaczenie zna każdy. Słowo „hejt” – to nasza opinia – zubaża polską nienawiść i utrudnia nazywanie jej po imieniu. ©

BARTOSZ MINKIEWICZ





NOWA POWIEŚĆ SZCZEPANA TWARDOCHA

Fot. Jacek Poremba



WYDAWNICTWO
LITERACKIE

facebook.com/wydawnictwoliterackie
instagram.com/wydawnictwoliterackie
twitter.com/wydlit



inne brzmienia

WSCHÓD
KULTURY

27-30.06
2024

LUBLIN



WSTĘP
WOLNY

KONCERTY

CZWARTEK | 27 CZERWCA

18:00 - DZ'OB | UKR
19:15 - Ketj Fusco | ITA
20:30 - Lubomir Melnyk | UKR
22:00 - Adrian Sherwood | GBR
23:30 - Si Process | UKR

PIĄTEK | 28 CZERWCA

18:00 - Bedford Falls | GEO
19:15 - Ladr Ache | BEL
20:30 - African Head Charge | GBR
22:00 - Sonido Gallo Negro | MEX
23:30 - Halina Rice | GBR

SOBOTA | 29 CZERWCA

18:00 - Ciśnienie | POL
19:15 - Mulk | POL
20:30 - Ruinszu | ITA/JPN
22:00 - Yonatan Gat | USA
23:30 - Ugory | POL

NIEDZIELA | 30 CZERWCA

18:00 - Tropical Soldiers in Paradise | POL
19:15 - Marek Pospieszalski Oktet + Anna Paśic & Tamara Kurkiewicz | POL
20:30 - Alex Henry Foster | CAN
22:00 - Coals | POL
23:30 - badfocus | CZE



WWW.INNEBRZMIENIA.eu

W PROGRAMIE TAKŻE:

spotkania literackie | wystawy | pokazy filmowe
rodzinne warsztaty muzyczne | Targi Matyoh Wydawców

WSCHÓD
KULTURY

nn:

ORGANIZATORZY | ORGANIZERS



PARTNERZY | PARTNERS



SPONSORZY | SPONSORS

